



JAMES

PATTERSON

HOWARD ROUGHAN

**WYCOFAJ SIĘ
ALBO ZGINIESZ**

JAMES PATTERSON

HOWARD ROUGHAN

**WYCOFAJ SIĘ ALBO
ZGINIESZ**

(Don't Blink)

Tłumaczenie Władysław Masiulanis



Wydanie polskie: 2014

Wydanie oryginalne: 2010

O książce

Lombardo's Steakhouse mieszczący się w elitarniej części Manhattanu cieszy się zasłużoną sławą z dwóch ważnych powodów: serwowanych w nim gigantycznych steków i klienteli – celebrytów oraz gwiazd sportu, estrady i biznesu. Trzecim tytułem do sławy staje się spektakularne, popełnione w biały dzień zabójstwo spożywającego tam akurat lunch prawnika jednego z bossów nowojorskiej mafii, Eddiego Pinera. Siedzący przy sąsiednim stoliku Nick Daniels, reporter nowojorskiego magazynu „Citizen”, nagrywa przypadkiem wiadomość, jaką morderca przekazuje swojej ofierze tuż przed wyłupieniem jej oczu. Stanowi ona niepodważalny dowód na to, kto był zleceniodawcą egzekucji – sam Pinero. Prokurator okręgowy David Sorren aresztuje mafiosa pod zarzutem zabójstwa, lecz Nicka zaczynają ogarniać wątpliwości, czy sprawiedliwości faktycznie stało się zadość. A jeśli Pinero został wrobiony? Próbując dojść do prawdy, dziennikarz nieświadomie wplątuje się w wojnę pomiędzy dwoma nowojorskimi gangami, policją oraz rywalizującymi między sobą prokuratorami. I otrzymuje wyraźne ostrzeżenie – wycofaj się, albo stracisz życie. Gdy giną prokurator z zespołu do zwalczania przestępczości zorganizowanej oraz ochraniający Nicka policjanci, jego siostrzenica zaś zostaje porwana, Daniels zaczyna w końcu rozumieć, iż w tej sprawie nic nie jest tym, czym się z pozoru wydaje...

JAMES PATTERSON

Czołowy amerykański autor powieści sensacyjnych i młodzieżowych, według rankingu „Forbesa” najlepiej zarabiający pisarz świata. W swoim dorobku ma prawie 100 książek w kilku cyklach wydawniczych, m.in. **Alex Cross** (21 tytułów z czarnoskórym detektywem Alexem Crossem; 3 tytuły sfilmowane), **Kobiety Klub Zbrodni** (13 tytułów; w latach 2007-2008 serial telewizyjny produkowany przez 20th Century Fox), **Michael Bennett** (6 tytułów) oraz **Daniel X** i **Czarownica i czarodziej** (serie dla młodzieży). Patterson jest liderem światowych statystyk sprzedaży; łącznie sprzedano ponad 220 milionów egzemplarzy jego powieści.

HOWARD ROUGHAN

Zanim został pisarzem, pracował jako copywriter i dyrektor kreatywny w agencji reklamowej na Manhattanie. Debiutował w 2001 thrillerem *The Up and Comer*. Choć książka nie osiągnęła sukcesu komercyjnego, zebrała wiele pochlebnych recenzji i została dostrzeżona przez Michaela Douglasa, który zdecydował się kupić prawa filmowe. W 2004 Roughan opublikował **Obietnicę kłamstwa**, a następnie, wspólnie z Jamesem Pattersonem, **Miesiąc miodowy**, **Ostrzeżenie**, **Rejs**, **Wycofaj się albo zginiesz** i *Second Honeymoon*, sprzedane w milionowych nakładach.

Tytuł oryginału:
DON'T BLINK

Copyright © James Patterson 2010
All rights reserved

Published by arrangement with Little, Brown and Co. Inc., New York,
USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014
Polish translation copyright © Władysław Masiulanis 2014

Redakcja: Piotr Chojnacki
Ilustracja na okładce: Pan Xunbin/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-010-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Dla Isabel Morris Patterson

J.P.

*Elaine Glass,
jednej z najdzielniejszych znanych mi osób*

H.R.

*Dla mojej ukochanej Mani,
Dla której czytanie jest wszystkim*

N.S.

Prolog

W mgnieniu oka

Lombardo's Steakhouse w Upper East Side, szalenie elitarnej części Manhattanu, cieszył się zasłużoną sławą z dwóch powodów – dwóch „specjalności restauracji”. Pierwszą były podwójnej grubości, zapychające tętnice, ponadkilogramowe steki porterhouse, których sam widok mógł przyprawić weganina o atak apopleksji.

Drugim tytułem do sławy była jego klientela.

Lombardo's Steakhouse był rajem paparazzich. Od aktorskich sław po gwiazdy sportu zawodowego, od prezesów korporacji po supermodelki, od gwiazd rapu po nagradzanych poetów – w Lombardo's można było zobaczyć wszystkich, którzy się liczyli; załatwiali interesy lub po prostu zachowywali się jak na celebrytów przystało.

Najlepiej ujął to Zagat, autorytatywna czerwona biblia przewodników gastronomicznych: *Bądźcie przygotowani na to, że wasze łokcie i ego otrą się o przedstawicieli śmietanki towarzyskiej, bo Lombardo's to bez wątpienia miejsce, gdzie jest na co popatrzeć i gdzie warto być widzianym.*

To znaczy, o ile nie było się Brunonem Torenzim.

Ten właśnie człowiek miał uczynić Lombardo's Steakhouse miejscem znanym z jeszcze jednego powodu. Z powodu czegoś straszego, wręcz niewiarygodnie okropnego.

I nikt go nie zauważał... dopóki nie było za późno... dopóki czyn omal się nie dokonał.

Rzecz jasna, o to przecież chodziło, nie? W czarnym, zapinanym na trzy guziki garniturze od Ermenegilda Zegny i przyciemnianych okularach Bruno Torenzi mógł być kimkolwiek. Mógł być każdym.

Poza tym była to pora lunchu. Biały dzień, na miłość boską.

Bo człowiek spodziewałby się, że jeśli już ma się wydarzyć coś tak makabrycznego i niemoralnego, to przynajmniej wydarzy się nocą. Niech będzie, że podczas pełni księżyca i przy wtórze wycia stada wil-

ków.

– Czym mogę służyć? – zapytała hostessa. Miała na imię Tiffany i była jedyną osobą, której udało się spostrzec Torenziego, pewnie dlatego, że zwracanie uwagi na gości należało do jej obowiązków. Była młodą, wspaniałą blondynką ze Środkowego Zachodu, o doskonałej, alabastrowej skórze, zdolną obrócić więcej głów niż kręgarz.

Dla Torenziego jednak jakby w ogóle nie istniała.

Nie zatrzymał się, nawet nie spojrzął w jej kierunku, kiedy się odezwała.

Pieprzyć to, pomyślała zabiegana hostessa i pozwoliła mu przejść. Restauracja jak zwykle pękała w szwach, a on niewątpliwie wyglądał stosownie do tego miejsca. Napływali nowi klienci, wkurzający, jak to nowojorczyki. Pewnie ten facet miał spotkanie z kimś, kto już siedział przy stoliku.

Tu akurat miała rację.

Gwar rozmów, szcęk srebrnych sztućców, boska muzyka Johna Coltrane'a sącząca się z ukrytych w suficie głośników – wszystko to wypełniało wykładaną mahoniem salę jadalną Lombardo's nieprzerwanym szumem najmiłszego rodzaju.

Nic z tego nie docierało do uszu Torenziego.

Został wynajęty z uwagi na swe zdyscyplinowanie, nieustępliwość i zdolność do skrajnej koncentracji. Dla niego w przepelnionej restauracji poza nim znajdowała się tylko jedna osoba. Tylko jedna.

Dziewięć metrów.

Toreni dostrzegł stolik w prawym rogu sali, po jej przeciwległej stronie. Niewątpliwie specjalny stolik. Dla bardzo specjalnego gościa.

Sześć metrów.

Skręcił ostro w kierunku innego przejścia między stolikami, obcasy jego czarnych dziurkowanych pantofli niczym metronom wystukiwały na wypolerowanej drewnianej podłodze rytm trzy czwarte.

Trzy metry...

Toreni skierował wzrok na łysego, bezwstydnie otyłego mężczyznę samotnie siedzącego przy stoliku, plecami do ściany. Zdjęcie, w które go

zaopatrzone, mogło pozostać w kieszeni. Nie było potrzeby powtórnego sprawdzania.

To on, na pewno. Vincent Marcozza.

Człowiek, któremu została niecała minuta życia.

Vincent Marcozza – waga powyżej stu pięćdziesięciu kilogramów – podniósł wzrok znad tego, co zostało z krwistego steku, faszerywanego pieczonego ziemniaka i okazałej porcji panierowanej cebuli. Nawet siedząc bez ruchu, wyglądał na żałośnie zdyszanego, o krok od zawału.

– Czym mogę służyć? – zapytał na pozór uprzejmie. Ponieważ jednak mówił tonem człowieka wychowanego przez ulice Brooklynu, zabrzmiało to raczej jak: „Hej, koleś, na co się, do diabła, gapisz? Ja tu jem”.

Torezni stał bez ruchu, mierząc wzrokiem rozpartego przed sobą waśniaka. Zwlekał z odpowiedzią, rozkoszując się tą chwilą. Na koniec z silnym włoskim akcentem oznajmił:

– Mam wiadomość od Eddiego.

Z jakiegoś powodu rozbawiło to Marcozzę. Zaśmiał się, jego ziemniasta twarz poczerwieniała, fałdy tłuszczu na szyi trzęsły się niczym galaretka.

– Wiadomość od Eddiego, co? Do diabła, powinienem się domyślić. Wyglądasz jak jeden z chłopaków Eddiego.

Podniósł z kolan serwetkę i otarł tłusty sok z wołowiny z kącików ust.

– O co więc chodzi, chłopcze? Wykrztuś to.

Torezni zerknął w lewo i w prawo, jakby wskazując, jak blisko znajdują się sąsiednie stoliki. Były zbyt blisko. *Capisce?*

Marcozza skinął głową. Następnie gestem przywołał nieproszonego gościa bliżej.

– Tylko dla moich uszu, co? – powiedział i znów się roześmiał, wprawiając w drżenie fałdy tłuszczu na szyi. – Tak powinno być dobrze. To jakiś kawał, tak? Posłuchajmy.

Pod przeciwległą ścianą stojący na palcach na krześle kelner ścierał

wypisaną kredą na dużej tablicy nazwę potrawy z chilijskiego okonia morskiego. Obok niego krzątał się pomocnik z szarym kubłem mieszczącym resztki z czteroosobowego stolika. Przy barze kelnerka ustawiała na tacy kieliszki i szklanki: pinot noir, wódka z tonikiem i dwa wytrawne martini z oliwkami nadziewanymi migdałami.

Torezni zbliżył się wolno i stanął u boku Marcozzy. Lewą dłoń wparł w blat stolika, jednocześnie rozwierając prawą, dotąd zaciśniętą w pięść i elegancko założoną za plecy. W ułamku sekundy zimna, stalowa rękojeść skalpela gładko wysunęła się z jego rękawa.

Następnie, pochyliwszy się, Torezni wyszeptał trzy słowa. I tylko trzy.

– Sprawiedliwość jest ślepa.

Marcozza zmrużył oczy, zmarszczył brwi. Już miał zapytać, co to, do cholery, ma znaczyć.

Nie zostało mu to jednak dane.

Bruno Torenzi łukiem wyrzucił rękę do przodu i wbił skalpel w obrzękłą powiekę nad lewym okiem Marcozzy. Błyskawicznie, z precyzją dobrego rzeźnika, wykonał koliste cięcie wokół oczodołu. Jakby wskazówka zegara sunęła po cyferblacie. Trzecia, szósta, dziewiąta, północ... Ostrze poruszało się tak szybko, że krew nie zdążyła wytrysnąć.

Aaa! W przybliżeniu taki dźwięk wydał Marcozza.

Wrzasnął z przeraźliwego bólu, w jednej chwili stając się przedmiotem zainteresowania całej restauracji. Teraz wszyscy zauważyli Torenziego. Zobaczyli kogoś, kto właśnie wycinał oko z twarzy grubego mężczyzny!

Aaaaaa!

Torenzi był lżejszy od swojej ofiary o ponad pięćdziesiąt kilogramów, ale nie miało to żadnego znaczenia. Doskonale ustawiony, w dławiającym uścisku trzymał nieruchomo głowę Marcozzy, podczas gdy reszta ciała ofiary rzucała się i szarpała. Czym było dokonane z premedytacją morderstwo, jeśli nie przemyślanym wykorzystaniem zasady działania dźwigni?

Pstryk!

Wydlubane jak kulka melona lewe oko Marcozzy spadło na biały obrus, potoczyło się i znieruchomiło.

Kolej na prawe oko. Ciach, ciach, ciach... Bez dwóch zdań, piękna ręczna robota.

Ale prawe oko nie wyskoczyło tak gładko jak lewe, lecz zawisło na upartym powrózku nerwu wzrokowego.

Torenzi uśmiechnął się, poruszył nadgarstkiem. Już prawie skończył, zaczekajcie więc chwilę z aplauzem.

Ciach!

Prawe oko Marcozzy, ciągnąc za sobą strzępy mięśni i żył, odbiło się

od talerzyka na chleb i spadło na podłogę.

Teraz dopiero z pustych oczodołów buchnęła krew. Używając terminologii medycznej, można powiedzieć, że tętnica oczna została odcięta od tętnicy szyjnej wewnętrznej, stanowiącej główną arterię zaopatrującą mózg w krew. Mówiąc językiem laika, zrobił się nieziemski, okropny, przerażający bałagan.

Kilka stolików dalej zemdlała jakaś kobieta, w sukni i butach od Chanel, inna zwymiotowała w swoje tiramisu.

Jeśli chodzi o Torezkiego, to wetknął skalpel w kieszeń garnituru od Zegny i skierował się w stronę kuchni, ku tylnym drzwiom – z powrotem w światło dnia.

Zanim to jednak zrobił, ponownie się nachylił, by powtórzyć swe przesłanie, prosto w mięsiste ucho Marcozzy, który leżał na stole, umierając powolną, nędną śmiercią.

– Sprawiedliwość jest ślepa.

Część pierwsza

Upragniona robota

Rozdział 1

Nigdy nie zapomnę tych słów: „Trzymaj się mocno, bo to będzie ostra jazda!”. Prawdę mówiąc, słowa te opisywały nie tylko kilka następnych minut, ale i kilka następnych dni mojego życia.

Spałem twardo pod jasnymi gwiazdami świecącymi wysoko na afrykańskim niebie i nic oprócz wystrzępionej, nadjedzonej przez mole maty nie dzieliło mnie od kawałka najuboższej ziemi na planecie. Nagle otworzyłem oczy, a moje serce przestało bić. No, może opuściło kilka uderzeń.

Jasny gwint! Czy to jest to, co mi się wydaje?

Odgłos wystrzałów?

Odpowiedź na moje pytanie nadeszła w ciągu następnych kilku sekund, gdyż w ciemności podbiegł do mnie doktor Alan Cole, chwycił za ramię i mocno potrząsnął. Spaliśmy pod chmurką, gdyż w naszych stożkowatych namiocikach było gorąco jak w saunie.

– Obudź się, Nick. Wstawaj! Szybko! – powiedział.

– Zostaliśmy zaatakowani. Nie żartuję.

Zerwałem się na równe nogi, a tymczasem w powietrzu znów niósł się odgłos wystrzałów. *Puk! Puk! Puk!*

Coraz bliżej. Ten, kto strzelał – zbliżał się. I to szybko.

– Dżandżawidzi? – zapytałem. – To oni, tak?

– Taa – odparł Alan. – Obawiałem się, że do tego dojdzie. Musiała się rozejść wiadomość, że tu jesteśmy.

– To co robimy?

– Zasuвай za mną – powiedział i machnął uzbrojoną w latarkę ręką.

– Szybko, Nick. Ruszaj się.

Złapałem poduszkę – a właściwie swój plecak. Kątem oka dojrzałem jeden ze swoich notatników, leżący na stosie pustych skrzynek, który służył mi za biurko. Zrobiłem krok w tę stronę, ale Alan znów złapał

mnie za ramię, tym razem po to, by mnie zatrzymać.

– Nie ma czasu, Nick. Musimy stąd spieprzać – rzucił ostrzegawczo.
– Inaczej nas zabiją. A wcześniej będą nas torturować.

No cóż, skoro tak stawiasz sprawę...

Ułamek sekundy później biegłem za Alanem. Minęliśmy kilka baraków z dykty i zardzewiałej blachy, które służyły jako sale operacyjne w tym prowizorycznym szpitalu na obrzeżach Zalingei na południu Sudanu. Uświadomiłem sobie, jak bardzo opanowany wydaje się doktor. Nawet teraz. Żadnego biadolenia, żadnych wrzasków.

Nawiasem mówiąc, sam właśnie na to miałem ochotę.

A jeśli już mowa o głośnym płaczu, Nick, to co z twoim pragnieniem śmierci? Czy naprawdę musiałeś brać to zlecenie?

Wiedziałeś, że ta część Darfuru nadal jest zbyt niebezpieczna dla dziennikarzy. Nawet Courtney tak powiedziała, proponując ci to zlecenie.

Wiedziałem jednak, że na tym zasadzał się cały sens artykułu, który pisałem – być tutaj i widzieć wszystko na własne oczy. Ta część Darfuru była wciąż zbyt niebezpieczna także dla lekarzy. Ewidentnie. Ale to nie powstrzymało doktora Alana Cole'a od przybycia tutaj, nie? Nie. Uznanym specjalistą w zakresie chirurgii klatki piersiowej zostawił w Marylandzie żonę i dwójkę ślicznych dzieciaków i od czterech miesięcy pracował tutaj dla Korpusu Pomocy Humanitarnej i ratował życie sudańskim cywilom, którzy inaczej cierpieliby i umierali bez opieki medycznej.

Teraz także ja złożyłem swoje życie w ręce Alana Cole'a.

Puk! Puk, puk, puk, puk! Puk, puk, puk, puk!

Biegłem za Alanem i przymglonym blaskiem jego latarki, nie zwracając uwagi na kłujące mnie w boscie stopy ostre kamyki i kolczaste gałęzie.

Zauważyłem jakiś ruch w przodzie: dwie sudańskie pielęgniarki zatrudnione w szpitalu na pełny etat. Jedna z nich uruchamiała rozklekotanego starego jeepa, którego Alan pokazał mi, kiedy przyjechałem tutaj przed kilkoma dniami.

Nazwał go „ucieczkowozem”. Myślałem, że żartuje.

Ha! Ha! Ha! Przemyśl to jeszcze raz, Nick.

– Wsiadaj! – polecił Alan, kiedy dobiegliśmy do samochodu. Pielęgniarka na siedzeniu kierowcy wyskoczyła z jeepa, aby zwolnić dla niego miejsce. Rzuciłem się na siedzenie obok kierowcy i czekałem, aż pielęgniarki usadowią się z tyłu. Nie zrobiły tego.

Obydwie wyszeptały tylko:

– *Salaam alaikum*.

Wiedziałem już, co to znaczy. „Pokój z tobą”. Byłem jednak zdezorientowany.

– Nie jadą z nami? – spytałem Alana.

– Nie – odpowiedział, przesuwając skrzypiącą dźwignię zmiany biegów z luzu na jedynekę. – Dżandżawidzi nie chcą ich. Chcą nas. Amerykanów. Cudzoziemców. Bruździmy im tutaj.

W kilku słowach podziękował pielęgniarkom i wyraził nadzieję na rychłe spotkanie.

– *Wa alaikum salaam* – dodał. – „I pokój z wami”.

Następnie jak młotem huknął stopą w pedał gazu, aż wbiło mnie w oparcie fotela.

– Trzymaj się mocno – zawołał, przekrzykując grzechot blach i ryk silnika – bo to będzie ostra jazda!

Rozdział 2

Podmuch gorącego pustynnego powietrza niemal parzył mnie w twarz, kiedy wypadliśmy na drogę czy na coś, co uchodziło za drogę w tym zapomnianym przez Boga kraju. Nie było asfaltowej czy betonowej nawierzchni, tylko ubita ziemia, teraz pryskająca spod kół naszego jeepa. Jechaliśmy zygzakami, a Alan robił, co mógł, by omijać pojedyncze drzewa cytrusowe, które jakoś zdołały przeżyć w potwornym upale i panującej tu suszy.

Czy wspomniałem, że reflektory jeepa były wyłączone? Witamy na rajdowym Grand Prix imienia Raya Charlesa.

– Jaka jest sytuacja?! – krzyknął Alan najgłośniejszym głosem, jak mógł. – Widzą nas? A ty ich widzisz?

Siedzieliśmy ze trzydzieści centymetrów od siebie, ale musieliśmy krzyczeć, by się porozumieć. Daję głowę, że odrzutowiec przekraczający barierę dźwięku byłby cichszy niż silnik naszego jeepa.

– Czy nas widzą? Na pewno nas słyszą! – odkrzyknąłem. – Na razie nikogo nie widzę.

Odrobiłem pracę domową i przed wyjazdem ze Stanów przeczytałem o dżandżawidach. Byli to członkowie milicji złożonej z arabskich muzułmanów z Chartumu. Od dawna zwalczali i zabijali czarnych muzułmanów na prowincji, między innymi z powodu sporów o ziemię. Rozlew krwi trwał nieprzerwanie i była to zwykle krew jednej strony. Stąd napływające stale doniesienia o ludobójstwie.

Ale czytanie artykułów i nielicznych książek poświęconych dżandżawidom na wygodnej kanapie we własnym mieszkaniu na Manhattanie to jedno. To, co się działo teraz, to coś zupełnie innego.

Odwróciłem się, aby spojrzeć do tyłu, ale przez ciągnącą się za nami chmurę kurzu nie dawało się nic zobaczyć. Wtedy poczułem podmuch powietrza i kula gwizdnęła mi koło ucha. Rany boskie, niewiele brako-

wało.

– Szybciej, Alanie! – zawołałem. – Musimy jechać szybciej! Możesz jechać szybciej, prawda?

Alan odpowiedział szybkim skinieniem głowy. Mrużył oczy, starając się przebić wzrokiem ciemność i unoszący się nad drogą pył.

Ja tymczasem rozmyślałem o przedwczesnej śmierci w wieku trzydziestu trzech lat, licząc nieodfajkowane pozycje na swojej liście rzeczy do zrobienia. Zdobyć Nagrodę Pulitzera. Nauczyć się grać na saksofonie. Przejechać się ferrari po Pacific Coast Highway.

No i w końcu znaleźć w sobie dość ikry, żeby powiedzieć pewnej kobiecie, że kocham ją bardziej, niż dotąd chciałem przyznać – nawet przed sobą.

Co mógłbym powiedzieć, czego jeden z kilku moich ulubionych pisarzy, John Steinbeck, już nie wymyślił? Coś o tym, że najlepiej obmyślane plany myszy i ludzi często spalają na panewce?

Ale poczekajmy!

Skoro mowa o planach, doktor najwyraźniej miał jakiś własny.

– Potrzebujemy czegoś ciężkiego – oznajmił.

Ciężkiego?

– Czego na przykład? – zapytałem.

– Nie wiem. Poszukaj z tyłu, w bagażniku – odparł, podając mi latarkę. – I schyl się! Nie chcę cię mieć na sumieniu.

– Ja też tego nie chcę, Alanie!

Niczym dodatkowy wykrzyknik, kula odbiła się rykoszetem od metalowego pałąka bezpieczeństwa. Ping!

– Lepiej schyl się naprawdę nisko – dodał Alan.

Ująłem gruby, gumowy korpus latarki i szybko prześliznąłem się na ciasne tylne siedzenie. Zajrzałem do bagażnika, ale nie zauważyłem nic ciężkiego. Tylko kilka pustych butelek po wodzie obijało się o siebie niczym skaczące fasolki.

Już miałem przekazać Alanowi złą wiadomość, kiedy zauważyłem coś błyszczącego, przymocowanego do bocznej ściany bagażnika, obok koła zapasowego. Nasadowy klucz do kół. To jest to!

Ale czy był dość ciężki? Nie miałem pojęcia, gdyż nie wiedziałem, do czego był potrzebny.

Wręczyłem go Alanowi, który potrząsnął nim, jakby waząc go w dłoni.

– Może być – powiedział, a następnie włączył reflektory. – Teraz trzymaj nieruchomo kierownicę, dobra? Zupełnie nieruchomo, Nick!

Wróciłem na przednie prawe siedzenie i złapałem kierownicę, a tymczasem Alan podniósł lewą nogę i ściągnął but. Mignął mi znak firmowy Nike.

– Zaraz wracam – powiedział.

Zaraz wracam? Dokąd się, u licha, wybierasz, doktorze?

Co teraz robisz?

Nie opuszczaj mnie, stary.

Rozdział 3

Alan zanurkował pod kierownicę, klucz niczym batutę trzymając w jednym ręku, but zaś – w drugim.

Próbowałem podejrzeć, co robi. Oczywiście powinienem był skupić się na tym, co mi polecił – na trzymaniu nieruchomo kierownicy.

O, cholera! Uważaj! Uważaj!

Jeepem nagle szarpnęło, obydwie lewe koła oderwały się od ziemi i niewiele brakowało, a wóz by się przewrócił. Próbując wyrównać, słyszałem, jak Alan wali głową w lewe drzwi samochodu. Au!

– Przepraszam! – zawołałem. – Jesteś cały?

– Tak, ale poświęć mi tu trochę. Upuściłem ten przeklęty klucz.

– Przepraszam, stary.

– Nie, dobrze ci idzie. Tylko trzymaj nieruchomo kierownicę!

Włączyłem latarkę, skierowałem światło na niego. Klucz upadł za pedał hamulca. Alan złapał go i z prawą nogą wciąż na pedale gazu wsunął narzędzie do zdjętego buta. Nadal nie miałem pojęcia, co robi.

Potem zaskoczyłem.

Alan obciążał pedał gazu, czyż nie?

Jasne. Spoglądałem to na drogę, to na niego, a on zdjął nogę z pedału i ustawił na nim obciążony but. Posłużył się sznurowadłami, aby go szybko umocować najlepiej, jak się dało.

Wynurzył się, wyciągnął pasek ze spodni i unieruchomił kierownicę, mocując ją do stalowego pręta pod swoim siedzeniem.

Jechaliśmy teraz ze stałą prędkością i w ustalonym kierunku.

Co dalej?

Chodzi o to, że właściwie nie musiałem o to pytać i czekać na odpowiedź. Po prostu nie chciałem uwierzyć w to, co się działo.

– Jesteś gotowy? – zapytał Alan. – Lepiej, żebyś był. Wynosimy się stąd!

– Żarty sobie robisz!

– Nie, jestem śmiertelnie poważny. Widzisz ten głąz z przodu po prawej? Tuż za nim jest skarpa – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Byłem skautem, Nick. Zawsze gotowi. Musimy tylko skoczyć na bark, zwinąć się i poturlać, a na pewno nas nie zauważą! Zaufaj mi.

Skierowałem światło latarki na prędkościomierz. Sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Że niby co? Skoczyć i się poturlać?

Nie było jednak czasu na dyskusje czy kłótnie. Głąz i skarpa były tuż-tuż. Obok nas gwizdnęła następna kula. Wzięłem głęboki oddech i powiedziałem to, co Alan chciał usłyszeć:

– Dobra, kurwa, zróbmy to.

Porwałem plecak i odwróciłem się, żeby uchwycić się pałaka bezpieczeństwa. Ping! – nadleciała następna kula. I jeszcze jedna: ping! A potem tuzin pingów i puków.

Zgrzytając zębami, żeby dodać sobie otuchy, czułem głęboko w ustach smak kurzu. Przez cztery lata studiów dziennikarskich na Northwestern University ani razu nie uczestniczyłem w kursie „Skacz i się turlaj”. Szkoda. Większy byłby z tego pożytek niż z części tego, czego nauczyłem się na zajęciach z gramatyki i etyki.

Geronimo!

Skoczyłem w ciemność, trzasnąłem o ziemię. Tylko że to nie była ziemia. Raczej beton. Moje ciało eksplodowało bólem.

Chciało mi się wrzeszczeć.

Nie krzycz, Nick! Usłyszają cię!

I tyle o moich umiejętnościach skoczka. Jeśli chodzi o turlanie się, w jednej chwili opanowałem je do perfekcji – toczyłem się, toczyłem i toczyłem w dół zbocza, aż zatrzymałem się bliski wymiotów, z kołowrotem w głowie. Odwróciłem się i spojrzałem w górę.

Naszego jeepa ścigał inny jeep pełen rwących się do użycia broni dżandżawidów, niewątpliwie przekonanych, że już za chwilę utłuką dwóch kłopotliwych Amerykanów. Szybko dogonią naszego jeepa – kilometr czy dwa dalej – ale wtedy już Alan i ja będziemy głęboko skryci

w ciemnościach nocy.

Nigdy nas nie znajda. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

– W porządku? – usłyszałem głos Alana. Znajdował się nie więcej niż trzy metry ode mnie.

– Tak – odparłem. – Co z tobą?

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Dostrzegłem znajomy blask oświetlający wnętrze dłoni Alana. Telefon satelitarny. Przy sobie miałem taki sam.

– Do kogo dzwonisz? – zapytałem.

– Do Domino's Pizza – zażartował. – Lubisz pepperoni? Roześmiałem się i nigdy śmiech nie sprawił mi takiej przyjemności.

– Dzwonię po wsparcie – powiedział. – Już najwyższa pora, żebyśmy spieprzali z tego Dodge City. Martwy chirurg i martwy reporter nie działają wiele dla pokoju na świecie i dla wszystkich tych dobrych rzeczy, na których tak nam zależy. Co, Nick?

Rozdział 4

Posiniaczeni, poobijani, potłuczeni – ale, co najważniejsze, żywi – o świecie Alan i ja odlecieliśmy samolotem ONZ-owskiego Światowego Programu Żywnościowego do Chartumu. Pocziwy doktor postanowił zostać w stolicy Sudanu jeszcze kilka dni, żeby pomóc prowadzącym inny szpital. Niesamowity facet – szczerze tak o nim myślałem.

– Zapraszam ze mną – zaproponował półzartem. – Potrzebna mi muza.

– Nie. – Uśmiechnąłem się. – Myślę, że na razie mam dość egzotycznych przygód. I myślę, że mam więcej niż dość materiału na artykuł.

– Tylko nie rób ze mnie bohatera – ostrzegł. – Bo nim nie jestem.

– Opiszę tylko to, co widziałem, Alanie. Jeśli niektórzy dopatrzą się w tym heroizmu, niech im będzie.

Po czym podziękowałem mu po raz dwudziesty za ocalenie mi życia, dodając:

– *Salaam alaikum.*

Uścisnął mi dłoń.

– I pokój z tobą – odpowiedział.

Niestety, to życzenie nie miało się spełnić. Ni cholery.

Po południu, po czterogodzinnym locie nad Morzem Czerwonym i Zatoką Perską, przybyłem do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, do Dubaju, ojczyzny pierwszego sklonowanego wielbłąda. To surrealistyczne miejsce. Jeśli tam byliście, to wiecie, o czym mówię. Kilka lat wcześniej spędziłem w Dubaju cały tydzień, zwiedzając wszystkie „atrakcje turystyczne” i zbierając materiał do tekstu, który zatytułowałem *Disneyland na hajju*. Nie muszę wspominać, że ministerstwo turystyki Dubaju nie było zachwycone tym tytułem, ale czego się spodziewali? Zbudowali stok narciarski pod dachem, Ski Dubai. Jest tam też archipelag trzystu sztucznych wysp ułożonych na podobieństwo mapy świata,

rozsciągający się na obszarze pięćdziesięciu kilometrów. Mimo wszystko jest to zaiste mały świat.

Tym razem jednak bawiłem w Dubaju tylko przejazdem. Po krótkiej drzemce w sąsiadującym z lotniskiem Dubai International Hotel – najczystszy miejscu, w jakim można się zatrzymać na godzinę za takie pieniądze – znów ładowałem się do samolotu, tym razem do Paryża. Miałem tam przeprowadzić wywiad z jednym z europejskich dyrektorów Korpusu Pomocy Humanitarnej, kończąc tym samym zbieranie materiałów do artykułu.

A przynajmniej sądziłem, że znajduję się w drodze do Paryża.

Kiedy stałem w kolejce do wejścia na pokład samolotu, poczułem wibrowanie telefonu satelitarnego. Z Nowego Jorku dzwoniła moja naczelna, Courtney.

– Jak się miewasz? – zapytała.

– Żyję – odparłem. Zdecydowanie było to słowo dnia. Pokrótce opowiedziałem, jak to niczym Mad Max uciekałem przed dzandzawidzką milicją. Nie bardzo mogła uwierzyć w moją opowieść. Ja, cholera, też nadal nie mogłem.

– Jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku? – zapytała. – Mówisz jakoś niepewnie. Jak na ciebie.

– Uwzględniając wszelkie okoliczności, tak, czuję się dobrze. Dowiedziałem się nawet czegoś bardzo ważnego. Jestem śmiertelny. Naprawdę, naprawdę śmiertelny.

– Dokąd więc się teraz wybierasz?

– Do Paryża.

– *Paris?*

– *Oui.*

– *Je crois que non* – powiedziała Courtney.

Tylko przez rok uczyłem się francuskiego, jeszcze w St. Patrick's High School w Newburgh w stanie Nowy Jork, byłem jednak całkowicie pewien, że właśnie powiedziała: „Nie sądzę”.

– Dlaczego nie? – zapytałem.

Było to dobre pytanie – i na czasie, bo przede mną stały już tylko

dwie osoby. Zaraz oddam kartę pokładową i odleczę do Paryża, który jest chyba moim ulubionym miastem. Rzecz jasna, lubię tam wszystko oprócz ludzi. Niektórych. Zasmarkańców.

– Musisz wracać – powiedziała Courtney.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Coś dobrego, Nick. Coś naprawdę dobrego. Pokochasz to. To wystarczyło, bym na pół kroku wysunął się z kolejki.

Courtney Sheppard miała kilka ewidentnych wad, ale nie było wśród nich skłonności do przesady.

– Okay – powiedziałem. – No to wal.

I oczywiście to właśnie Courtney zrobiła. Przywaliła tak, że omal nie zgubiłem butów.

Rozdział 5

Pozwolę tu sobie na pewne zwierzenie. Wiem, że to zabrzmie nieco komicznie, ale jestem wielkim fanem baseballu. Od dziecka, kiedy to w Hudson Valley dla nabrania wprawy rzucałem jabłkami w pnie drzew.

Wróćmy jednak do zasadniczego wątku opowieści. Mocno przyciskałem telefon do ucha, starając się dosłyszeć każde słowo Courtney. Na lotnisku roiło się od ludzi. Głównym źródłem hałasu była sąsiednia otwarta bramka, przy której zgromadziła się setka mężczyzn ze schludnie przystrzyżonymi czarnymi brodami i w bielutkich luźnych szatach, skądinąd znanych jako diszdasze.

A oto ja.

Szopa ciemnoblonde włosów na czubku stuosiemdziesięciopięciocentymetrowej sylwetki odzianej w spłowiałe džinsy i jeszcze bardziej spłowiałą koszulkę polo. W tym otoczeniu nie wyróżniałbym się bardziej, nawet gdybym był Gene'em Simmonsem, w pełnym przedkoncertowym makijażu członka grupy Kiss, czytającym na głos Koran.

Courtney wzięła głęboki oddech.

– Pamiętasz Dwayne'a Robinsona? – zapytała.

Jasne, że pamiętałem, wiedziała o tym.

– Masz na myśli tego Dwayne'a Robinsona, który kosztował Janeków – moich Janeków – zwycięstwo w World Series? Tego szurniętego sukinsyna? Nieprzeniknionego człowieka zagadkę?

– Minęło dziesięć lat, a ty wciąż chowasz paskudną urazę. Masz świ-
ra na punkcie baseballu, co?

– Absolutnie. Może minąć i sto lat, a ja nie zapomnę... i nie przebaczę – najeżyłem się.

Cóż mogę powiedzieć? Byłem zagorzałym fanem Bombardierów z Bronxu, od kiedy w wieku pięciu lat przyjechałem z ojcem z Newburgh do Nowego Jorku na swój pierwszy mecz. Siedzieliśmy na najwyższej

trybunie, jakieś cztery kilometry od pola, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Od tamtej pory nieomal utożsamiam się z prążkami na janke-
skim kostiumie. I, owszem, to trąci świrem.

– Po namyśle dochodzę do wniosku, że może to kiepski pomysł –
powiedziała Courtney. – Leć do Paryża, Nick.

– Co to ma znaczyć? Jak mam to rozumieć? Dlaczego odsyłasz mnie
teraz do Paryża?

Przez kilka sekund rozkoszowała się przewagą.

– On chce ci udzielić wywiadu.

Miałem dziwne przeczucie, że to właśnie zamierza powiedzieć, lecz
mimo to byłem zaskoczony. Bardzo zaskoczony. Dwayne Robinson zo-
stał J.D. Salingerem baseballowego świata, od kiedy w atmosferze skan-
dału zakazano mu udziału w rozgrywkach ligowych. Jego ostatnie
oświadczenie dla prasy brzmiało: „Nigdy więcej nie odezwę się do żad-
nego z was”. I przez ostatnie dziesięć lat dotrzymywał słowa.

Na szczęście wszystko się zmienia. Chodziło o coś wielkiego. Byłoby
to największa sprawa w całej mojej dotychczasowej karierze. Byłoby to
także spełnienie moich marzeń.

– Courtney, czarodziejko, jak wyciągnęłaś od niego zgodę na wy-
wiad?

– Chciałabym przypisać sobie tę zasługę – odparła – ale po prostu
odebrałam telefon. Wczoraj dzwonił agent Robinsona.

– Facet nadal ma agenta? Już samo to jest zadziwiające.

– Wiem, wyobraź sobie. Może mają nadzieję na przywrócenie
uprawnień zawodniczych? Może o tym chce z tobą rozmawiać?

– Nie stawiałbym na to – powiedziałem. – Jest dobrze po trzydziest-
ce, nie rzucał od lat.

– Niemniej to by jakoś tłumaczyło chęć udzielenia wywiadu, praw-
da? Przyznaje się do wszystkiego, wyjaśnia całą sprawę... To mógłby
być pierwszy krok do powrotu – zastanawiała się Courtney. – Może nie
na górkę miotacza, ale przynajmniej do łask opinii publicznej, do swoje-
go dziedzictwa.

– Taa, jak dotąd to cudownie zadziało w przypadku Pete’a Rose’a

– zażartowałem. – Jeśli jednak o to chodzi, to dlaczego nie udzieli wywiadu telewizyjnego?

Ledwie zadałem to pytanie, a odpowiedź nasunęła mi się sama. Dwayne Robinson, Wielka Czarna Nadzieja z Harlemu i swego czasu leworęczny as zespołu miotaczy Jankesów, cierpiał między innymi na ostre zaburzenia lękowe. Był w stanie wyjść na środek kwadratu i wspaniale rzucać na oczach pięćdziesięciu pięciu tysięcy wrzeszczących fanów, ale z trudem znosił rozmowę sam na sam. Zwłaszcza przed kamerą.

– Zapomniałem o czymś – powiedziałem. – Facet był chodzącą reklamą przeciwdepresyjnego paxilu.

– Bingo – odparła Courtney. – Prawdę mówiąc, agent Robinsona oznajmił, że obawia się, iż jego klient mógłby zmienić zdanie. Dlatego już zaklepał lunch dla was dwóch, Nick. Dla ciebie i Dwayne’a. Dla Dwayne’a i dla ciebie. Milusio, co?

– Kiedy? – zapytałem, a moje podniecenie z wolna przestawało być nieznaczące.

– Jutro – odpowiedziała. – W Lombardo’s, o dwunastej trzydzieści.

– Courtney, ja jestem w Dubaju.

– Mam nadzieję, że nie zabawisz tam długo, Nick. Masz jutro ważny lunch. W Nowym Jorku.

Jak na umówiony znak, w tym momencie podszedł do mnie pracownik lotniska obsługujący bramkę. Wyglądał jak Niles Crane z serialu *Frasier*. Upiornie.

– Przepraszam, czy leci pan z nami do Paryża? – zapytał z ironicznym uśmiechem. – Właśnie zamykamy bramkę.

Rozejrzałem się. Wszyscy już byli w samolocie. To znaczy wszyscy oprócz mnie.

– Nick, jesteś tam? – zapytała Courtney. – Muszę wiedzieć, czy możesz to zrobić. Powiedz, że w to wchodzisz.

Teraz przyszła moja kolej, by przez kilka sekund porozkoszować się przewagą.

– Nick? Nick? Jesteś tam? Nick? Niech cię diabli... przestań się wy-

głupiać.

– No wchodzę – powiedziałem w końcu. – Wchodzę.

Już wiem, że to zostało postanowione za moimi plecami.

– Nigdy w to nie wątpiłam – stwierdziła Courtney. – Przecież ty się utożsamiasz z prądkami Jankeśów, nieprawdaż, Nick?

Rozdział 6

Dwa loty, osiem stref czasowych i dwadzieścia niepomiernie długich godzin później wylądowałem w końcu na lotnisku JFK. Dochodziła jedenasta następnego ranka. Wsiadając z samolotu, czułem się jak zombie. I prawdopodobnie tak też wyglądałem i śmierdziałem.

Kiedy zamieniłem telefon satelitarny na iPhone'a, okazało się, że czeka na mnie tylko jedna wiadomość. Od Courtney, oczywiście.

– Lombardo's. Dwunasta trzydzieści – przypominała. – I nie spóźnij się! To duża sprawa, Nick. Prawdopodobnie zrobisz z tego książkę. I film. Nie spieprz roboty, facet.

Dzięki, szefowo...

Jest kilka rzeczy, których – jak sądzę – w tym miejscu musicie się dowiedzieć o Courtney Sheppard. Przede wszystkim, mimo stosunkowo młodego wieku (trzydzieści cztery lata) jest redaktorem naczelną magazynu „Citizen” – tego samego magazynu, który w ciągu zaledwie dwóch lat istnienia wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dokonał czegoś, co wielu nowym periodykom na rynku nigdy się nie uda. Zaczął przynosić zyski.

Znając ograniczenia zarówno „Vanity Fair”, jak i „The Atlantic”, Courtney znalazła dla „Citizena” formułę, która zapewniła pismu sukces. Z tych dwóch magazynów o na pierwszy rzut oka przeciwstawnym charakterze wzięła to, co najlepsze, i połączyła w jedno. Sprytne posunięcie. Bo też jest sprytną kobietą.

Do tego bardzo ładną. I nieszczęśliwie przejmującą się swoją urodą.

W tym momencie powinienem podzielić się z wami jeszcze jedną informacją o Courtney Sheppard.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że tą informacją zajmiemy się nieco później.

Z lotniska Kennedy'ego pojechałem taksówką do swojego mieszka-

nia na Manhattanie, w Upper East Side. Żyję głównie na walizkach i ma to swoje dobre strony, bo moje mieszkanie nie jest dużo większe od walizki.

To jasne, że nie jestem dziennikarzem dla pieniędzy. Ale kto – może poza Thomasem Friedmanem z „Timesa” – jest? Nie znaczy to, że Friedman nie kocha tego, co robi, tylko że robiąc to, zgarnia kupę drobniaków.

Tak czy inaczej, kiedy miałem jedenaście lat, obejrzałem z rodzicami film *Wszyscy ludzie prezydenta*. Mój ojciec uwielbiał go, bo gardził Richardem Nixonem. Wystarczyło wymówić nazwisko Nixona, a niczym pies Pawłowa niezmiennie reagował, wyrzucając z siebie: „Ten kanciarz!”.

Moja matka także była entuzjastką tego filmu, ale jestem zupełnie pewien, że kierowała nią słabość do Roberta Redforda. A może także do młodego Dustina Hoffmana.

Rodzice właściwie nie mieli zamiaru ciągnąć mnie ze sobą. Miałem zostać w domu pod okiem starszej siostry, Kate. Zbajerowałem ich jednak i mnie zabrali.

– Kto wie, może kiedy dorosnę, zostanę sławnym reporterem – powiedziałem, wykładając swoją rację. – Mógłbym zostać drugim Woodwardem, drugim Bernsteinem.

Wszystko to, oczywiście, było pieprzenie w bambus. Chciałem z nimi iść dla kubelka popcornu, butelki mountain dew i może paczuszki rodzynek w czekoladzie, jeśli tatko był w dobrym humorze.

Ale kiedy już chrupiąc i siorbiąc, siedziałem w kinie, zdarzyło się coś zadziwiającego. Niemal magicznego. Na ekranie dwóch młodych gości wypuściło się na największą w swoim życiu wyprawę w poszukiwaniu skarbów, tyle że szukali czegoś cenniejszego niż złoto, diamenty czy nawet Arka Przymierza. Miałem ledwie jedenaście lat, ale pojąłem to – i do dzisiaj nie chcę tego zapomnieć.

Oni szukali prawdy.

Tak więc nawet po dwóch lotach, ośmiu strefach czasowych i dwudziestu niepomiarnie długich godzinach nie mogłem się doczekać, aż przejadę jeszcze dodatkowe kilka kilometrów. Wziąłem szybki gorący,

potem zimny prysznic, przebrałem się w jakieś czyste ciuchy.

Wyszedłem i znów taksówką pojechałem wzdłuż Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy i Trzeciej Alei.

Punktualnie o dwunastej trzydzieści wkroczyłem do Lombardo's Steakhouse gotów spotkać się z jednym z najlepszych miotaczy i najbardziej zagadkowych ludzi, jacy kiedykolwiek grali w baseball.

I jeśli załatwię sprawę jak należy, będę miał historię, dla której setka innych dziennikarzy i pisarzy z całego Nowego Jorku gotowa byłaby zabić.

Dwayne Robinsonie, co naprawdę zdarzyło się tego wieczoru, kiedy miałeś rzucać w siódmym, decydującym meczu World Series? Dlaczego nie pokazałeś się na boisku?

Jak mogłeś złamać tak wiele serc, łącznie z moim własnym?

Rozdział 7

– Jedną chwileczkę, proszę pana – usłyszałem w Lombardo’s, kiedy podałem hostessie swoje nazwisko. – Zaraz wracam i zajmę się panem. Za sekundę.

Zniknęła w sali jadalnej, a ja pochyliłem się nad jej pulpitem, żeby zerknąć do książki rezerwacji. Kiedy jada się poza domem tak często jak ja, nabiera się niezłej wprawy w odczytywaniu swojego nazwiska do góry nogami.

No i proszę, obok godziny dwunastej trzydzieści napisane było „Robinson/Daniels”. Za nazwiskami widniała narysowana gwiazda.

Może chodziło o specjalne traktowanie, należne tylko gwiazdom? Nie ze względu na mnie, oczywiście. Może ze względu na magazyn „Citizen”?

Kilka sekund później wróciła hostessa.

– Zarezerwowaliśmy dla pana przyjemny, cichy stolik, panie Daniels. Proszę za mną.

Skoro nalegała.

Tak się złożyło, że była bardzo ładną blondynką, a jak aż do śmierci zwykł mawiać ojciec mojego ojca, Charles Daniels: „Jeśli mam do czegoś słabość, to do ładnych blondynek. Tuż za nimi są ładne brunetki i ładne rudowłose”.

Dotarliśmy do stolika pod tylną ścianą lokalu.

– Jak pani na imię? – zapytałem, zajmując miejsce.

– Tiffany – odpowiedziała.

– Jak takie śliczne niebieskie pudełeczko?

Uśmiechnęła się, jej oczy lśniły jak klejnoty.

– Właśnie.

To dla ciebie, dziadku Charlesie. Mam nadzieję, że patrzyłeś na mnie i się śmiałeś.

Tiffany odeszła, i zostałem sam. Tak też spędziłem następne dziesięć minut. Potem dwadzieścia. I pół godziny. Co to miało znaczyć?

Na szczęście Lombardo's Steakhouse to doskonałe miejsce, by wypełnić sobie oczekiwanie fascynującymi obserwacjami przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Czas szybko mijał, kiedy liczyło się wygładzone boktoksem czoła albo w myśli zgrywało hollywoodzkiego Hamleta przed rozszanymi po sali celebrytami.

Isć na odwyk czy nie isć na odwyk? Oto jest pytanie.

Zdziwiłem na wieść, że Dwayne Robinson zgodził się ze mną spotkać właśnie tutaj, zwłaszcza że to on wybrał miejsce spotkania.

Jasne, w świecie sportu chodził w glorii sławy. Choć może teraz lepszym określeniem byłoby „w glorii niesławy”. Ale nawet wtedy, gdy był ulubieńcem Nowego Jorku – ba, ulubieńcem Ameryki – nigdy nie jadłby w Lombardo's. Tak silne dręczyły go lęki.

Może więc już się wyleczył? Może więc cały dowcip z tym wywiadem polega między innymi na tym, że on dokonuje publicznej spowiedzi nie na jeden, ale na wiele sposobów?

A może i nie.

Po raz kolejny spoglądając na zegarek, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest tak, że on się wcale nie zmienił i mój lot na łeb na szyję przez pół świata był całkowicie bezcelowy. Dwayne Robinson spóźnił się już godzinę.

Co on kombinuje? Gdzie się, do diabła, podziewa? Co za dupek z tego gościa.

Zadzwoiłem do Courtney, która oddzwoniła zaraz po skontaktowaniu się z agentem Robinsona. On też był całkowicie zbity z tropu, tym bardziej że wcześniej tego ranka potwierdził wywiad z Dwayne'em. Teraz nie mógł go namierzyć.

– Przykro mi, Nick – powiedziała Courtney.

– I tobie, i mnie. Ano, przynajmniej Robinson przez te lata nie wyzyił się żadnej ze swoich cech. Nadal nie przychodzi na umówione spotkania. Co za jełop.

Zaczekałem jeszcze piętnaście minut i ostatecznie zrezygnowałem.

Dwayne Robinson był oficjalnie ZWA, zaginionym w akcji – zupełnie jak wtedy, gdy został wyznaczony do rzucania w siódmym, decydującym meczu World Series i zniknął bez śladu.

Nagle poczułem się jak dzieciak, który podczas afery Black Sox w 1919 roku spotyka Shoeless Joe Jacksona na schodach sądu w Chicago¹.

Powiedz, że to nie tak, Dwayne.

Powiedz, że to nie tak...

Ale... było tak.

A Robinson nie był jełopem – tylko ja.

¹ Afera Black Sox polegała na celowym przegrywaniu meczów przez zawodników drużyny baseballowej White Sox z Chicago. Shoeless Joe Jackson zeznał przed sądem, że przyjął łapówkę za przegranie meczu, i został dożywotnio zdyskwalifikowany. Później odwołał swoje zeznanie.

Rozdział 8

Nazwijcie mnie gnuśnym leniem, ale następny dzień po ucieczce przed bandą krwiożerczych, rwących się do użycia broni milicjantów, skakaniu z pędzącego jeepa i przebyciu tysięcy kilometrów na być może decydujący dla mojej kariery wywiad, który nie doszedł do skutku, postanowiłem spędzić na nieróbstwie. Nie wyprawiłem się do swojego gabinetu w „Citizenie” ani nie zamierzałem sięść do pracy w domu, co czasem robiłem z całkiem przyzwoitym skutkiem.

Spędziłem rano na wylegiwaniu się w łóżku, z kawą (ze śmietanką, bez cukru), „New York Timesem” (najpierw dział sportowy, potem sztuka i przegląd najnowszych doniesień agencyjnych) oraz ulubioną płytą Elvisa Costella (*My Aim Is True*).

A płyta to dla mnie dosłownie płyta. Nie mam nic przeciwko CD czy MP3, ale nie wyobrażam sobie słuchania czegokolwiek bez odgłosu igły sunącej po winylu. Obawiam się, że jestem jednym z tych ludzi, purystów, którzy nadal trzymają się swojej kolekcji longplayów.

Tak czy inaczej, tuż po południu odważyłem się wyjść do pobliskiego baru, Sunrise Diner, kilka przecznic na południe od mojego mieszkania. Właśnie podano mi lunch (omlet z serem, kiełbasa, czarna kawa), kiedy zadzwoniła Courtney.

– Gdzie jesteś? – zapytała, najwyraźniej bliska paniki.

– Za chwilę wgrzyzę się w apetyczny omlet w Sunrise.

– Nie! – zawołała. – Zostaw te jajka!

– A to dlaczego?

– Bo już jesteś spóźniony.

Na co?

Nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi. Potem, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień z jej strony, zaskoczyłem.

– Żarty sobie ze mnie robisz – rzuciłem.

– Bynajmniej. Właśnie odebrałam telefon od jego agenta. W tej chwili Dwayne Robinson siedzi w Lombardo's i czeka na ciebie.

– Sądził, że to dzisiaj mieliśmy się spotkać na lunchu?

– Nie wiem. Nie traciłam czasu na wysłuchiwanie usprawiedliwień – powiedziała Courtney. A przynajmniej zdawało mi się, że to powiedziała, bo już się rozłączałam.

– Proszę o rachunek!

– Coś jest nie tak z omletem, Nick? Przyniosę ci inny, złociutki.

– Nie, nie, wygląda wspaniale, Roso. Po prostu muszę lecieć. Przepraszam.

Szczyściem miałem ze sobą torbę na ramię – tę samą podniszczoną skórzaną torbę, której używałem od czasu ukończenia studiów na Northwestern University. Leżało w niej coś absolutnie niezbędnego do przeprowadzenia jakiegokolwiek wywiadu – mój magnetofon. Jest to właściwie „cyfrowy rejestrator głosu”, ale purystę we mnie drażni ta nazwa. I tak już pewnie zostanie.

Wypadłem jak strzała z Sunrise, złapałem kierującą się na południe taksówkę i zaproponowałem kierowcy pięć dolarów za każde czerwone światło, które zignoruje. Osiem minut i dwadzieścia pięć dolarów później z piskiem opon zatrzymaliśmy się przed Lombardo's.

Drugi dzień z rzędu wkraczałem do gwarnej restauracji na lunch. Jak powiedział mój ulubiony łapacz Jankesów, Yogi Berra: „To powtarzające się bez końca déjà vu”.

Dobrze się złożyło, że powitała mnie ta sama hostessa – Tiffany, tak? Odebrała ode mnie skórzaną kurtkę i zaprowadziła mnie do tego samego cichego stolika z tyłu sali.

A tam siedział on we własnej osobie. Dwayne Robinson. Gigant. Upadły gigant. I zdecydowanie największa sportowa tajemnica.

– Właśnie miałem wychodzić – powiedział.

Już jestem, stary.

Rozdział 9

Przyznaję, że siadając naprzeciw niego, nie wiedziałem, czego mam oczekiwać. Zdawałem sobie sprawę, że moim zadaniem jest zachować obiektywizm, ale całkowite wyłączenie emocji jest czasami trudne, jeśli nie niemożliwe. Swego czasu ogromnie szanowałem Dwayne'a Robinsona, ale to było dawno temu. Teraz był facetem, który zaprzepaścił szansę trafienia do Baseball Hall of Fame, galerii sław baseballu, i czułem się z tego powodu urażony.

Może dlatego teraz byłem tak zdziwiony swoją reakcją na jego obecność.

Raz tylko spojrzałem mu w oczy, te same oczy, którymi kiedyś bez cienia strachu wpatrywał się w pałkarza przeciwnej drużyny, i całkowicie owładnęło mną jedno jedyne uczucie: cholerny żal. Bo w tej chwili widziałem w tych oczach tylko strach.

Patrz: Paul McCartney i The Beatles: *Nawet w połowie nie jestem tym człowiekiem, którym byłem kiedyś.*

– Co pan pije? – zapytałem, zezując na jego szklanke, napełnioną na trzy kciuki czymś, co wyglądało jak whisky.

– Johnniego walkera – odparł. – Czarnego.

– Może być.

Plotki o tym, że Dwayne Robinson bierze narkotyki, zaczęły się w trzecim roku jego gry w Major League Baseball, kiedy miał już na koncie dwadzieścia wygranych meczów. Wyobraźcie sobie, że w tamtych czasach nikt nie przejmował się narkotykami podnoszącymi gotowość do gry. Prawdopodobnie Dwayne brał kokainę i czasem heroinę. Jak na ironię, połączenie tych dwóch narkotyków nazywa się *speedball* – szybka piłka.

Ale jeśli nawet te uporczywe plotki odpowiadały prawdzie, dwukrotny laureat Cy Young Award nie dopuszczał do tego, by narkotyki

wpływały na jego grę. Poza boiskiem bywał nieobliczalny, ale kładziono to na karb jego fobii społecznej.

Potem przyszło sławetne „włamanie”.

W World Series grali wtedy Jankesi i Dodgersi z Los Angeles, każda z drużyn miała wygrane po trzy mecze i w decydującym, siódmym meczu w Bronxie na górcie miotacza miał stanąć Dwayne. Wygrał już dwa mecze w serii, nie dając rywalom większych szans. Innymi słowy, wydawał się nie do pokonania.

Tylko że tym razem w ogóle nie pokazał się na boisku.

Zniknął na ponad siedemdziesiąt dwie godziny. I zniknąłby na dłużej, gdyby zarządca jego luksusowego wieżowca na Manhattanie – ni mniej, ni więcej tylko zagorzały fan Jankesów – nie użył klucza uniwersalnego, by dostać się do apartamentu gwiazdy na ostatnim piętrze budynku. Wewnątrz znalazł Dwayne’a Robinsona niemal bez przytomności, leżącego nago na podłodze. W kręgach dobrze poinformowanych mówiło się, że zarządca wymierzył gwiazdzie kilka kopniaków.

Leżąc w Mt. Sinai Hospital, Dwayne powiedział policjantom, że do jego mieszkania wtargnęli dwaj mężczyźni i przemocą wstrzyknęli mu narkotyk. Pewnie chcieli zwiększyć swoje szanse na wygraną w zakładach. To dlatego badanie krwi wykazało obecność niemal śmiertelnej dawki heroiny. Z powodu „włamania”.

Rzecz jasna, zrobiła się z tego jedna z najbardziej sensacyjnych historii dotyczących sportu – nie, jeden z najbardziej sensacyjnych newsów i kropka. „Po aferze Watergate to drugie najgłośniejsze włamanie w historii”, dowcipkowałem wtedy, pisząc dla „Esquire”.

Różnica naturalnie polegała na tym, że w Watergate rzeczywiście coś się wydarzyło.

Chociaż niektórzy wierzyli Robinsonowi, przeważała opinia, że kłamie, że bez względu na gwałtowne zaprzeczenia nieprzyjemna prawda jest taka, iż sam przedawkował heroinę.

Fakt, że owi dwaj złoczyńcy, których rysopisy podał policji, nigdy nie zostali odnalezieni, też raczej nie przydał mu wiarygodności.

Nie minął rok, a Robinson został dożywotnio zdyskwalifikowany.

Żona opuściła go, zabierając dwójkę małych dzieci, i po pewnym czasie wygrała proces o wyłączne prawo do opieki nad nimi. Jeśli się nad tym zastanowić, a ja się zastanawiałem, było to urzeczywistnienie się najgorszego ze złych snów. Wszystko, czym żył, przepadło. Wszystko zniknęło. Tak jak on.

Do teraz. Do tej chwili. Pierwszy wywiad od dziesięciu lat.

Z leżącej na podłodze torby wyjąłem magnetofon. Położyłem go na środku stołu i włączyłem nagrywanie. Prawdę mówiąc, ręce mi się odrobinę trzęsły.

– Jak więc ma to wyglądać? – zapytał ostrożnie Dwayne, pochylając się nad stołem. Miał na sobie białą koszulę od wieczorowego garnituru, wielkie łokcie delikatnie umieścił na stole. – Od czego chce pan, żebym zaczął?

Ta część była łatwa.

Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, Dwayne? Czy po tych wszystkich latach jesteś w końcu gotów opowiedzieć inną historię? Prawdziwą historię? Rozwiąż dla nas tę zagadkę. Rozwiąż ją dla mnie.

Zanim jednak zadałem pierwsze pytanie, usłyszałem straszliwy wrzask, jeden z najokropniejszych, najbardziej gardłowych, ohydnych wrzasków, jakie kiedykolwiek słyszałem.

A dochodził z sąsiedniego stolika. Nie mogliśmy znaleźć się bliżej.

Rozdział 10

Gwałtownie odwróciłem głowę, szukając wzrokiem źródła tych makabrycznych dźwięków. Znalazłem i zaraz tego pożałowałem. Było już jednak za późno, nie byłem w stanie się odwrócić. Właściwie nie byłem w stanie nic zrobić. W jednej chwili było po wszystkim. Nie zdołałem nawet wstać z krzesła, by pospieszyć z pomocą.

Dwaj mężczyźni.

Jeden nóż.

Obydwoje oczu!

Chór okrzyków i jęków wypełnił restaurację, kiedy mężczyzna z nożem puścił głowę tego drugiego. Krew trysnęła z pustych oczodołów, ranny bezwładnie zwałił się na stół. W głowie zapaliło mi się światełko. Znam go. Poznaje gościa.

Nie mężczyznę z nożem, nie zabójcę. Nie wyglądał znajomo; nie wyglądał nawet na istotę ludzką.

Poruszał się z szybkością błyskawicy, a w jego zachowaniu nie było śladu emocji. Spokojnie schował nóż do kieszeni marynarki, a potem nachylił się, by szepnąć coś do ucha ofiary.

Nie słyszałem tego... ale bez wątpienia szeptał prosto do ucha umierającego.

Po raz pierwszy od początku zajścia spojrzałem na Dwayne'a, który wyglądał dokładnie tak, jak ja się czułem. Był w głębokim szoku. Na pewno on też nie słyszał, co szeptał zabójca. To, co działo się później, słyszeli wszyscy w Lombardo's.

Zabójca ruszył w kierunku drzwi do kuchni, gdy nagle jakiś mężczyzna za nim zawołał:

– Stać!

Odwróciłem się i ujrzałem dwóch mężczyzn z dobytą bronią. Gliniarze? Jeśli tak, to po cywilnemu.

– Powiedziałem: stój! – powtórzył jeden z nich.

Trzymali zabójcę na muszkach pistoletów. Nie mogliby chybić z odległości sześciu metrów. Na to w każdym razie wyglądało.

Naczynia, sztuce i całe stoliki z hałasem sypały się na podłogę, kiedy goście rzucili się do ucieczki, by znaleźć się jak najdalej od tego, co mogło teraz nastąpić.

Zabójca zatrzymał się, odwrócił w kierunku mężczyzn z bronią. Oczy przysłaniały mu okulary przeciwsłoneczne.

Milczał. Prawie się nie ruszał.

– Powoli podnieś ręce! – warknął drugi z mężczyzn. Faktycznie zachowywali się jak gliniarze.

Zabójca tylko się uśmiechnął, obrzydliwym, krzywym uśmiechem, idealnie dopasowanym do zbrodni, którą właśnie popełnił. Niemniej jego ręce pozostały opuszczone.

– Ręce, kurwa, do góry! – padło kolejne ostrzeżenie.

Wodziłem wzrokiem od zabójcy do mężczyzn z bronią i z powrotem. Jak dotąd znajdowali się w impasie. Coś jednak musiało ustąpić. Albo ktoś. I wszystko, łącznie z lufami dwóch pistoletów, wskazywało na zabójcę.

Nagle jego ręce wyskoczyły do góry, bynajmniej jednak nie nad głowę. W mgnieniu oka zabójca sięgnął do marynarki i wydobyl własne dwa pistolety.

Mówicie do mnie? Do mnie mówicie?

Myślicie, że z kim, kurwa, rozmawiacie?

Okazało się, że Dwayne nie stracił refleksu. Rzucił się na podłogę, ja tuż za nim. Zamknąłem oczy, bo nad naszymi głowami rozpętało się prawdziwe piekło. Słyszałem odgłos niezliczonych wystrzałów. Ludzie krzyczeli.

Ludzie umierali.

Na koniec, gdy wszystko to ustało, kiedy słyszałem tylko szlochanie i sapanie leżących wokół mnie ludzi, otworzyłem oczy.

I omal nie zwymiotowałem.

Przede mną, na wypolerowanej drewnianej podłodze restauracji, le-

żało świeżo wydłubane ludzkie oko i patrzyło na mnie.

Rozdział 11

Nogi miałem jak z waty, żołądek podchodził mi do gardła. Wstałem powoli i spojrzałem na morze poprzewracanych stołów i krzeseł, potłuczonych talerzy z resztkami jedzenia, porozrzucanych sztućców. Zszokowani i niedowierzający własnym oczom goście pytali się nawzajem: „Jesteś cały?”.

Odpowiedzi niebawem utonęły w przenikliwym dźwięku syren. Ledwie zdążyłem złapać magnetofon, a już w restauracji pojawili się policjanci. Zablockowali wszystkie wyjścia i otoczyli nas niczym stado owiec.

Teraz wszyscy jęli zadawać inne pytanie: „Czy nie dość już przeszliśmy?”.

Kilku ambitniejszych mundurowych wmieszało się w naszą gromadkę, by zebrać jak najwięcej informacji, nim dochodzenie przejmą detektywi. W zamian za swój trud spotkali się z wrogością i pretensjami elitarnych klientów. W tej chwili gościom zależało tylko na tym, by wynieść się stąd do diabła.

– Gówniana sprawa. – Podśledzałem, jak jeden z funkcjonariuszy mówi to do czerwonego na gębie, nadętego kutafona, który skarżył się, że musi się pojawić na ważnym posiedzeniu zarządu aż w centrum.

Złość policjanta nabrała oczywistego sensu, kiedy rozeszła się wiadomość, że dwaj mężczyźni, którzy zmierzyli się z zabójcą, istotnie byli gliniarzami po służbie. Ich komisariat, dziewiętnasty, znajdował się w pobliżu, toteż po nocnej zmianie wpadli na szybkie piwo z hamburgerem przy barze.

A teraz nie żyli.

Jak to się mogło stać? Byłem tam i wydawało się to nieomal niemożliwe. Mieli tego faceta na widelcu!

Najwyraźniej zabójca wiedział, co robi, i został fatalnie niedoceniony. Szybki jak błyskawica, załatwił dwóch świetnych nowojorskich gli-

niarzy. I to nie strzałami na oślep, przypadkowo celnymi. Mówię o dwóch śmiertelnych trafieniach w czoło. Gliniarze nawet nie wiedzieli, co ich ugodziło.

Potem zabójca zniknął. Najwidoczniej nietknięty uciekł przez kuchnię i kuchenne drzwi.

W sumie zostawił za sobą trzech zabitych, czworo rannych i kilka dziesiątek naprawdę bardzo wstrząśniętych tym, czego mieli nieszczęście być świadkami.

Wśród tych ostatnich Dwayne'a Robinsona, który teraz stał u mego boku. Czułem się prawie jak jego ochroniarz. Albo jego agent sportowy. Ktoś, kto znalazł się tam, by się nim zaopiekować.

– Proszę, wypij to – powiedziałem, podając mu nieco czarnego johniego walkera zgarniętego zza baru. Formalnie – dopuszczałem się kradzieży. W rzeczywistości – miałem to w nosie.

– Dzięki – wymamrotał Dwayne, sięgając po szklankę. Właśnie wtedy spostrzegłem, że mocno trzęsą mu się ręce. Czy jest tu valium?

A może chodziło o atak jego fobii? Wyglądał tak, jakby waliły się na niego ściany restauracji. Niech będą dwa valium...

Co gorsza, ludzie zaczęli go rozpoznawać. Nie trzeba jednak było wykazywać się umiejętnościami pokerzysty, by rozumieć język jego ciała. Zasadniczy przekaz brzmiał: „Won!”.

Niestety, znalazł się jeden idiota, który nie mógł się powstrzymać. Mijając o krok Donalda Trumpa, Orlanda Blooma i Elisabeth Hasselbeck, skierował się prosto ku nam.

– Hej, czy ty nie jesteś Dwayne Robinson? – zapytał, wyciągając z kieszeni marynarki jakiś kawałek papieru. – Myślisz, że mógłbyś mi dać...

– To naprawdę nie najlepszy moment – przerwałem mu.

Gość odwrócił się w moją stronę, unosząc wyregulowane brwi. Ewidentnie wyglądał na palanta, może z Madison Avenue, pozującego na luzaka.

– Kim jesteś? – zapytał.

Dobre pytanie. Kim w tej chwili byłem dla Dwayne'a Robinsona?

Ale odpowiedź nasunęła mi się sama.

– Jestem jego przyjacielem – odparłem, a potem zaprezentowałem swoją najlepszą imitację twardziela. – I, jak powiedziałem, to naprawdę nie najlepszy moment.

Musiałem być dość przekonujący, bo facet cofnął się i nawet wymamrotał:

– Przepraszam.

– Dzięki – raz jeszcze powiedział Dwayne.

– Nie ma za co. Co cię tu zatem sprowadza? – powiedziałem i uśmiechnąłem się, żeby wiedział, iż próbuję żartować dla rozładowania napięcia. Nie był to dobry żart, po prostu żart.

Dwayne pociągnął solidny łyk johnniego walkera i wreszcie udało mu się przemówić swoim normalnym głosem.

– Człowieku, nie wiem, czy dam radę – powiedział. – Jak myślisz, długo będą nas tu trzymać?

To było kolejne dobre pytanie. Już miałem powiedzieć, że nie mam pojęcia, kiedy podszedł do nas jakiś facet z odznaką przypiętą do paska i przedstawił się jako detektyw Mark Ford. Przyniósł nam odrobinę dobrych wiadomości, jeśli można to tak nazwać. On i jego partner chcieli spisywać zeznania po kolei, zaczynając od tych, którzy siedzieli najbliżej miejsca pierwszego zabójstwa.

– Załatwimy to stolik po stoliku – oznajmił. – Gdy z wami skończymy, możecie iść.

Spojrzałem w stronę Dwayne'a, spodziewając się ujrzeć na jego twarzy wyraz ulgi. Mieliśmy się znaleźć wśród pierwszych przesłuchiwanym.

Tyle że Dwayne'a tam nie było. Nie było go nigdzie. Po prostu wstał i zniknął.

Ulotnił się.

Ponownie.

Rozdział 12

Dopiero dwie godziny później opuściłem wreszcie Lombardo's. Przesłuchiwany przez jednego z detektywów, przez cały czas spodziewałem się, że padnie pytanie na temat zniknięcia Dwayne'a. Ale nie padło. Tu prawdopodobnie kryło się wyjaśnienie, jakim sposobem zdołał niepostrzeżenie wymknąć się z Lombardo's – po prostu znajdowało się tam zbyt wielu ludzi, by policja mogła ich ogarnąć, panowało zbyt wielkie zamieszanie. Prawdziwie masowa impreza mafijna.

Proroczy sens tych słów miałem odkryć niebawem.

Tak czy inaczej, ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę tego wieczoru, było pójście na przyjęcie, ale Courtney nie zwykła przyjmować odmowy nawet w takich okolicznościach.

– Idziesz i koniec. Obiecałeś – powiedziała mi przez telefon. – Poza tym musisz przestać myśleć o tym, co się dziś stało. Jakoś to zaszufładować, Nick. Po prostu wsadzić na chwilę do pudełka.

Nie mogłem nie zaśmiać się cichutko. Zaszufładować?

Wsadzić do pudełka? Oto Courtney w najlepszej formie. I, jak sądzę, najgorszej.

Od kiedy przed dziesięciu laty poznałem ją na bankiecie z okazji rozdania National Magazine Awards, nie spotkałem nikogo, kto umiałby – z braku lepszego słowa – szufładować lepiej od niej. Jak każdy normalny człowiek była wstrząśnięta i przerażona tym, co tego popołudnia zdarzyło się w Lombardo's. Była też jednak rodowitą nowojorczanką i wiedziała, jak ważna jest zdolność do dalszego życia bez względu na to, co ci się przydarzyło.

W przypadku Courtney nie była to czcza gadanina. Jej młodszy brat pracował w południowej wieży World Trade Center. Na dziewięćdziesiątym piętrze. A ona naprawdę go kochała.

Tak więc o dwudziestej wkroczyłem między białe marmury Astor

Hall w gmachu New York Public Library. Przyjęcie miało stanowić benefis na rzecz New York Smarts, miejskiego programu edukacyjnego dla uczniów szkół podstawowych. Courtney należała do rady zarządzającej programem i wykupiła dla „Citizena” stół na dziesięć osób. Brawo. Wszystko dla dzieciaków. Tysiąc dolarów za osobę – można za to kupić mnóstwo dodatkowych lekcji.

– Tu jesteś! – usłyszałem za plecami. Courtney znalazła mnie tam, gdzie zawsze można mnie znaleźć na tego rodzaju imprezach: w barze. – I widzę, że odkryłeś prawdziwą szkocką.

W rzeczy samej. Była to piętnastoletnia laphroaig, całkiem przypadkowo moja ulubiona whisky. Najwyraźniej Courtney miała jakiś wpływ na organizatorów przyjęcia w kwestii zaopatrzenia baru.

– Dziękuję – powiedziałem, unosząc szklankę. – Zdecydowanie tego potrzebowałem.

– Proszę bardzo. Tylko zostaw trochę dla innych gości, jeśli to możliwe – odparła z udawaną powagą.

– Okay, ale tylko trochę.

Courtney poczęstowała się szampanem roznoszonym przez obsługę.

– No tak, i to tyle, jeśli chodzi o odrywanie twoich myśli od dzisiejszych wydarzeń.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo wszyscy na tym przyjęciu rozmawiają o Lombardo’s, Nick. Diabła tam, całe miasto o tym gada.

Nie byłem specjalnie zdziwiony.

Z pierwszej strony najnowszego „New York Posta” krzyczał nagłówek: ZABÓJSTWO DNIA! Dla lokalnych i kablowych sieci informacyjnych nastąpiła tymczasem pora żniw. Kiedy tylko ich reporterzy zaczęli nadawać na żywo sprzed Lombardo’s, już byli w stanie określić tożsamość pierwszej ofiary – gościa, który siedział nieopodal Dwayne’a i mnie. Mógłbym wtedy przysiąc, że go znam, i miałem rację. Nazywał się Vincent Marozza i był długoletnim prawnikiem – przepraszam, *consigliere* – znanego brooklyńskiego bossa mafijnego, Eddiego „Księcia” Pinera.

- Wszyscy są przekonani, że to była zemsta – powiedziała Courtney.
- Pewnie tak – przytaknąłem.

Eddie „Książę” Pinero przed tygodniem został skazany za uprawianie lichwy czy – inaczej – udzielanie pożyczek na bandycki procent, którego wysokość nawet wystawcę waszych kart kredytowych przyprawiłaby o rumieniec.

Chodzi o to, że po raz pierwszy Vincent Marcozza – prawnicza waga ciężka, w każdym znaczeniu tego terminu – nie zdołał wybronić swojego najważniejszego klienta. No, ale przecież nawet Bruce Cutler nie wygrywał wszystkich spraw dla Johna Gottiego.

Tyle że zachowanie Marcozzy podczas procesu zostało ostro skrytykowane przez znawców prawa. Stwierdzono, że był wyjątkowo jak na siebie niestaranny, a chwilami robił wrażenie źle przygotowanego. Jak to ujął Jeffrey Toobin w rozmowie z Andersonem Cooperem z CNN: „Tym razem Marcozza naprawdę stracił piłkę z oczu”.

Z oczu, co?

Courtney uniosła kieliszek z szampanem. A potem mrugnęła do mnie porozumiewawczo tym swoim wielkim niebieskim okiem.

– A więc... twoje zdrowie, Nick.

– Moje? Dlaczego? – zapytałem.

– Pozostałeś żywy. Nie miałam pojęcia, że ostatnio tak przyciągasz niebezpieczeństwo. Trzymając się ciebie, dziewczyna naprawdę mogłaby wpaść w tarapaty.

Trąciliśmy się kieliszkami, ale wtedy zapadło krępujące milczenie. A wszystko za sprawą podtekstu tego, co właśnie powiedziała.

I tu muszę wrócić do tej drugiej rzeczy, którą powinniście wiedzieć o Courtney Sheppard.

Jestem wam to winien, pamiętacie?

Rozdział 13

Jeśli chodzi o to, co było między nami, problem był równie jasny, jak dziesięciokaratowy diament w jej pierścionku.

Courtney była zaręczona.

I to z Thomasem Ferramore'em, jednym z najbogatszych gości w Nowym Jorku. Znaczący się – nadziany. To wielokrotny milioner. Jednoosobowy stymulator rozwoju gospodarczego, jeśli wolicie.

Ferramore jest właścicielem biurów. Mnóstwa biurów. Ma linię lotniczą. Kilkanaście rozgłośni radiowych. Dwie drużyny piłki nożnej.

A tak, ma jeszcze magazyn „Citizen”.

Po roku „burzliwych zalotów”, o których więcej pisano pogrubionym drukiem na plotkarskich stronach tabloidów niż o Lindsay Lohan, Britney Spears i Brangelinie, tych dwoje planowało pobrać się tej jesieni. Ślub miał się odbyć w superluksusowym hotelu San Sebastian, tu, w mieście. No, zgadujcie... Tak, jego właścicielem jest Ferramore.

Zanosilo się na największe wydarzenie towarzyskie sezonu. Ślub jak z romantycznej powieści. Problem w tym, że dopisano do niej nieoczekiwany rozdział. Wiedziało o tym tylko dwoje ludzi, a Thomas Ferramore nie był jednym z nich.

Noc przed moim odlotem do Darfuru Courtney i ja spędziliśmy razem.

Natychmiast uzgodniliśmy, że była to sprawa jednorazowa, błąd w ocenie sytuacji spowodowany wieloletnimi bliskimi relacjami zawodowymi. I przyjaźnią, jak dotąd – platoniczną. Czasem nieszczerą, często komiczną.

„Nie możemy udawać, że to się nie stało, i wcale tego nie chcę – powiedziała Courtney następnego ranka. – Musimy jednak postępować tak, jakby się nie stało, Nick, okay? I tyle”.

Znów szufladkowanie.

Podjrzywałem jednak, że to nie będzie takie łatwe, jak powiedzieć „i tyle”.

Toteż po jej żartobliwym toaście z „tego” zrobił się nagle wielki biały słoń stojący w wielkiej białej Astor Hall. Nie mogliśmy tego zignorować, przynajmniej dopóki trochę więcej nie porozmawiamy na ten temat. Jeśli nie spróbujemy, nie da się tego słonia wsadzić do pudełka.

Co ważniejsze, wcale nie chciałem go tam wsadzać. Bez względu na to, co z tego wyniknie, Courtney musiała się dowiedzieć, co do niej czuję, i może trzeba mi było znaleźć się pod ostrzałem tam, w Afryce, żebym to w pełni zrozumiał.

Pociągnąłem więc łyk piętnastoletniej szkockiej marki Laphroaig i wziąłem głęboki oddech. Teraz to zrobię, myślałem. Wszystko.

Odwróciłem się ku niej. Miała na sobie długą czarną suknię, przy dekolcie zdobioną kamieniami szlachetnymi, kasztanowate włosy zaczesana elegancko za uszy. Była piękna i taka słodka.

– Courtney, jest coś, co musisz...

– Oho – przerwała mi.

Oho?

Bynajmniej jednak nie szło o przewidywanie przyszłości. Jej reakcja nie miała nic wspólnego z tym, co zamierzałem powiedzieć. Bo oto Courtney zerknęła ponad moim prawym ramieniem. Kogoś zobaczyła, prawda?

– Na dwunastej szykują się duże kłopoty – oznajmiła.

Rozdział 14

– Cześć, Nick – dobiegło zza moich pleców.

Odwróciłem się i ujrzałem Brendę Evans, bardzo blond, bardzo atrakcyjną, radiowo-telewizyjną analityczkę rynku z WFN – World Financial Network – z siedzibą w Nowym Jorku. Jej przezwisko, używane głównie przez mężczyzn, brzmiało: „Rynkowa dupa”. Ja jednak nadałem Brendzie inny przydomek: moja eksdziewczyna.

– Cześć, Brendo – powiedziałem. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem do niej od czasu, kiedy blisko rok temu ze mną zerwała. Następne trzy słowa nie zawierały ani grama prawdy. – Miło cię widzieć.

– Ciebie też, Nick. – Prawdopodobnie spomiędzy jej cudownie białych zębów płynęło kłamstwo, ale pewności nie miałem. Taka była dobra.

Kiedy Brenda i Courtney wymieniały w powietrzu szybkie pocałunki, udając przy tym, iż lubią się nawzajem, zorientowałem się, że Brenda nie jest sama. Towarzyszył jej David Sorren, wszechmocny prokurator okręgowy Manhattanu, w dodatku jeden z „25 najbardziej pożądaných kawalerów do wzięcia” magazynu „People”.

– Cześć – powiedział do mnie, nie czekając, aż Brenda nas sobie przedstawi. – Jestem David Sorren.

– Jasne, że jesteś – odparłem żartobliwie. Rany, ten facet także miał olśniewająco białe zęby.

Poza okładką „People” ze sto razy widziałem go w wiadomościach, zwykle stojącego na schodach budynku Manhattan Criminal Court i ogłaszającego wszem wobec skazanie kolejnego łobuza. Przy odrobinie szczęścia Sorren prywatnie okaże się kompletnym palantem i będę mógł natychmiast go znienawidzić.

– A ty jesteś Nick Daniels – stwierdził, kiedy już mocno uścisnęliśmy

sobie dłonie. – Jestem wielkim fanem twojego pisarstwa. Właściwie to uważam, że w zeszłym roku okradli cię z Nagrody Pulitzera.

I to tyle w kwestii zniechęcenia tego gościa.

– Jak to mówimy my, zajmujący drugie miejsce, pora była stosowna tylko po temu, by zdobyć nominację. Ale dzięki – powiedziałem.

– Nie daj mu się wykiwać. Płakał przez trzy dni z rządu – wtrąciła Courtney. Miała patent na tego rodzaju cięte uwagi. Zaczęła się przedstawiać, ale także w jej przypadku okazało się to zbędne.

– Tak, cześć, Courtney. – Sorren zafundował jej ekstraprzyjacielski uścisk dłoni oburącz, jakby zapożyczony od Billa Clintona. – Od pewnego czasu chciałem się z tobą spotkać. Cieszę się, że nasze ścieżki w końcu się skrzyżowały.

Courtney nie urodziła się wczoraj.

– Nie chodzi ci o to, żeby, gdy w przyszłym tygodniu ogłosisz swoją kandydaturę do fotela burmistrza, „Citizen” opublikował pochlebny artykuł na twój temat, prawda?

Sorren też nie urodził się wczoraj.

– Oczywiście, że tak. Daj mi znać, jeśli da radę – odparł z porozumiewawczym mrugnięciem. – A tymczasem gratulacje z okazji niedawnych zaręczyn. Czy pan Ferramore jest tutaj?

– Nie, podróżuje w interesach. Jest w Europie. Wraca w przyszłym tygodniu.

Brenda szybko i sprawnie przejęła ster konwersacji. W tym też zawsze była dobra.

– A zatem, Nick, rozumiem, że miałeś popołudnie pełne wrażeń – powiedziała. – To na pewno było straszne. Przykro mi, że musiałeś oglądać takie rzeczy.

Już miałem zapytać, skąd wie, że byłem w Lombardo’s, ale przypomniałem sobie, iż mam do czynienia z Brendą Evans, wziętą reporterką. Korzystała ze źródeł informacji sięgających daleko poza jej poletko na Wall Street.

– Tak, to było straszne – przyznałem. – Też mi przykro, że się tam znalazłem. – Właściwie nie miałem ochoty niczego dodawać.

Uratowała mnie Courtney. Zwróciła się do Sorrena, w jednej chwili wchodząc w rolę dziennikarki śledczej, którą kiedyś była.

– Davidzie, na pewno znasz te wszystkie spekulacje na temat Eddiego Pinera. Jakoby to on odpowiadał za zamordowanie Marcozzy. Jak ty to widzisz?

Za tym pytaniem kryło się natarczywe żądanie deklaracji. Sorren, podobnie jak Rudy Giuliani (aczkolwiek o lepszej prezencji i z głową porośniętą bujnymi włosami zupełnie jak z reklamy szamponu dla mężczyzn), oczyszczenie miasta z przestępczości zorganizowanej uczynił jednym ze swoich priorytetów.

– W tej chwili – oznajmił – jestem myślami przede wszystkim z rodzinami tych dwóch zastrzelonych funkcjonariuszy. – Przerwał i wziął głęboki oddech. – I mogę cię zapewnić, że przygwoździmy sprawcę tych morderstw. A jeśli się okaże, że miał z nimi jakiś związek Eddie Pintero, sam dobiore mu się do skóry. I nie będę miał litości...

No, no. Przystopuj nieco, Popeye...

Widziałem nabrzmiałe żyły na szyi Sorrena, kiedy skończył ostatnie zdanie. Tu już nie chodziło tylko o skazanie, lecz o coś graniczącego z zemstą.

Siłą rzeczy rozmowa zamarła. Zostały już tylko obowiązkowe pożegnalne grzeczności.

Miło było znów cię zobaczyć... Tak, naprawdę powinniśmy się kiedyś spotkać... Ple-ple, ple-ple...

I tyle.

Dość rozmów z Brendą i jej nowym kochaniem na ten wieczór. Tak przynajmniej sądziłem.

Rozdział 15

– O czym to mówiliśmy, kiedy przerwała nam Blond Ambicja? – zapytała Courtney, gdy znów zostaliśmy sami. – Miałeś mi coś powiedzieć, tak? No więc powiedz, Nick. Tak. Miałem. Ale odpowiedni moment jest... hm... eee... wszystkim, a stosowna chwila na tę z głębi serca płynącą deklarację pojawiła się i minęła. Zniknęła razem z moją odwagą powiedzenia jej prawdy. Tym bardziej iż nagle przestałem liczyć na to, że coś tu ugram.

– To pewnie skutki długiego lotu – wyjaśniłem Courtney. – Muszę się przespać. W porządku... szefowo? Prawdopodobnie wiedziała, że szukam pretekstu do opuszczenia przyjęcia, ale wiedziała też, że przyszedłem tu tylko na jej prośbę. Poza tym miałem za sobą kilka ciężkich dni, nie?

– Porozmawiamy jutro – oznajmiła i obdarowała mnie słodkim całusem w policzek. – Musimy jak najszybciej ponownie umówić cię z Dwayne'em Robinsonem.

Potrzebujemy tego wywiadu, Nick.

Nie mogłem się z nią nie zgodzić. Zależało mi na tej historii tak samo jak jej.

Mniej więcej minutę później znajdowałem się na schodach przed New York Public Library – dokładnie między zdobiącymi je charakterystycznymi posągami lwów, Cierpliwością i Męstwem – kiedy z tyłu ktoś mnie zawołał.

Odwróciłem się i zobaczyłem Davida Sorrena. Biegł za mną truchcikiem.

– Masz chwilkę? – zapytał.

– Jasne – odparłem.

Sorren sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę marlboro lights. Zdziwiłem się na ten widok, choćby ze względu na jego powszechnie znane

ambicje polityczne. Z sondaży Gallupa: kandydat + papierosy = spadek zaufania. Obama przerzucił się na plastry nikotynowe nie tylko ze względów zdrowotnych.

– Zapalisz? – zaproponował.

– Nie, dzięki.

– Tak, wiem, paskudny nałóg. Nie mów dziennikarzom – powiedział, przypalając papierosa. – Nie, zaraz, ty jesteś dziennikarzem.

– Uznam tę sytuację za nieoficjalną. Poza tym raczej nie zajmuję się bzdetami.

– Dobrze, bo właściwie chciałem cię prosić o przysługę. – Sorren schował papierosy do kieszeni, a wyjął z niej coś innego.

– Proszę – powiedział. – Śmiało, weź ją.

Trzymał w dłoni swoją wizytówkę. Spojrzałem na nią, jakby mówiąc: „A po co?”.

– Teraz to niemożliwe, ale mam nadzieję, że na przykład w poniedziałek moglibyśmy porozmawiać o tym, czego byłeś świadkiem w Lombardo’s – rzucił. – Nie powinienem ci tego mówić, ale jestem pewien, że stał za tym Eddie Pinero. Teraz muszę wypracować sposób udowodnienia tego. Wierz mi lub nie, ale ci dwaj detektywi całkowicie mnie zdominowali.

– Rozumiem. – Wziąłem wizytówkę. – Zadzwoń w poniedziałek.

– Świetnie... Będę zobowiązany. Bo choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię, zamierzam na dobre załatwić tego skurwiela Pinera.

Skinałem głową. To znaczy zdaje się, że skinąłem. Prawdę mówiąc, nadal byłem zaskoczony gwałtownością prokuratora okręgowego. Bardzo chciał dopaść Pinera. Naprawdę bardzo.

Sorren raz jeszcze mocno uściśnął mi dłoń i już w połowie drogi z powrotem w górę schodów odwrócił się i powiedział:

– Hej, jeszcze jedno. Brenda mówiła mi, że byliście kiedyś parą. – Przerwał, zachichotał i pokręcił głową. – Mały ten świat, co?

– Istotnie – odparłem. – Mały.

Może nieco za mały.

Rozdział 16

Pora koszmarów.

Wiedziałem, że tej nocy będę miał kłopoty ze snem. Nie pomoże mi całe ciepłe mleko i cały ambien świata. Gdy tylko zamykałem oczy, ponownie znajdowałem się w Lombardo's, w nieskończoność, raz za razem przeżywając wszystko od początku. Słyszałem krzyki, chór przerażonych głosów wypełniający restaurację. Widziałem lśnienie skalpela w dłoni mordercy, ciemny szkarłat krwi, która nagle tryskała na wszystkie strony.

W pewnym momencie to moje oczy wydłubywano.

Musiałem się wreszcie poddać.

Wstałem z łóżka i usiadłem przy biurku. Skoro nie mogłem spać, może uda mi się coś napisać.

Chyba jedyną korzyścią z faktu, że wywiad z Dwayne'em Robinsonem nie doszedł do skutku, było to, iż mogłem się całkowicie skupić na artykule o doktorze Alanie Cole'u i jego pracy w Darfurze z Korpusem Pomocy Humanitarnej. Na początek musiałem przesłuchać nagrane z nim rozmowy, wiele godzin rozmów, porobić szczegółowe notatki i sklecić szkic tekstu. (Nota dla czytających to dzieci i młodzieży: najpierw szkic – zawsze!).

Chodzi o to, że im dłużej zajmuję się dziennikarstwem, tym lepiej rozumiem, że w tym fachu nie ma dróg na skróty. Przynajmniej wartych uwagi.

Tak więc włączyłem laptop i sięgnąłem po magnetofon. Już miałem wcisnąć guzik cofania do początku zapisu, kiedy moja dłoń znieruchomiała. Coś sobie uświadomiłem.

W grozie tamtych chwil w Lombardo's, oszołomiony i wzburzony, leżąc potem na podłodze, zapomniałem, że kiedy Vincent Marcozza i tamci gliniarze byli mordowani, miałem już włączony magnetofon.

Nie nagrałem wywiadu z Dwayne'em Robinsonem.

Ale co nagrałem?

Cząstka mnie niemal nie chciała tego wiedzieć. Po przewracaniu się z boku na bok przez pół nocy nieszczęśliwie miałem chęć ponownie przywoływać wspomnienie morderstw.

Co innego mogłem jednak zrobić?

Wziąłem głęboki oddech, przygotowując się wewnętrznym na to, co – jak wiedziałem – miało nadejść. Znów usłyszałem, jak Marcozza krzyczy w agonii. I odgłos strzałów, które pozbawiły życia dwóch detektywów.

Ale przed tym wszystkim w zapisie było coś innego, coś, w co wręcz nie mogłem uwierzyć.

Ja pierdziele!

To zmieniało wszystko.

Rozdział 17

Dla pewności trzykrotnie odsłuchałem fragment nagrania, a serce waliło mi jak młotem. Czy naprawdę to słyszę? Czy on naprawdę to powiedział?

Owszem. Powiedział.

Słyszałem głos zabójcy, słowa wypowiedziane przed tym, jak z zimną krwią popełnił trzy morderstwa. Mówił do Marcozzy coś, czego miałem nie usłyszeć i czego nie powinienem był słuchać teraz.

„Mam wiadomość od Eddiego”.

Mój magnetofon ledwie wychwycił te słowa, dodatkowo zniekształcone przez silny włoski akcent mówiącego. Niemniej ponad wszelką wątpliwość zostały nagrane – groźne, przejmujące dreszczem.

Dowód.

Nie mogło chodzić o innego Eddiego, skoro Vincent Marcozza pracował dla Eddiego Pinera. Krążące po mieście domysły były niemal całkowicie zgodne w tym punkcie – zabójstwo zlecił Pinero. Teraz, z każdym słowem dobywającym się z magnetofonu, stawały się czymś więcej niż domysłami.

„Mam wiadomość od Eddiego”.

Zabójca przekazał tę wiadomość bardzo akuratnie. Wysłuchałem jego kwestii raz, drugi, trzeci.

Potem odepchnąłem się od biurka, a fotel na kółkach zaniósł mnie w pobliże łóżka. Tam, na poręczy w nogach, wisały spodnie od garnituru, w którym byłem na benefisie w New York Public Library. Przetrzęsnałem kieszenie w poszukiwaniu wizytówki Davida Sorrena. Nie zgubiłem jej, prawda?

Nie, była w kieszeni, razem ze spinaczem do banknotów, napoczętym rulonikiem miętówek i dwoma kawałkami gumy do żucia.

Pod numerem telefonu do biura Sorrena widniał numer jego komór-

ki. Spojrzałem na zegarek stojący na stoliku u wezłowie łóżka. Docho-
dziła trzecia rano.

Nie wariuj, Nick. Nie możesz teraz do niego dzwonić. Zaczekaj do
rana.

Odebrał po czwartym sygnale.

Rozdział 18

– Halo?

– David? Tu Nick Daniels – powiedziałem. – Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Minęło kilka sekund, nim oprzytomniał na tyle, by odpowiedzieć.

– Eee... cześć, Nick – powiedział szeptem. – Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Wiedziałem, dlaczego szepcze. Nie spał sam. Byłem pewien, że w tle słyszę drugi szept.

– Nick Daniels? O tej porze?

Brenda.

Nie pękaj, mówiłem mu bezgłośnie. Jesteś w łóżku z moją eksdziewczyną. Rozumiem. Nie graliście w scrabble.

Zamiast to jednak powiedzieć, udałem, że jej nie słyszę, i szybko wyjaśniłem Davidowi, dlaczego dzwonię w środku nocy. Ani chybi dźwięk, który usłyszałem później, oznaczał, iż wyleciał z łóżka z szybkością pocisku raketowego.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Śmiertelnie poważnie – odparłem. – Przed chwilą kilkakrotnie odsłuchałem nagranie.

Spodziewałem się, że teraz rzuci bez tchu: „Czy mógłbyś odtworzyć mi je przez telefon?”. Albo nawet: „Jak szybko możemy się spotkać?”.

Nieważne przecież, która jest godzina. To właśnie ten facet kilka godzin temu, patrząc mi w oczy, oznajmił: „Choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię, zamierzam na dobre załatwić tego skurwiela Pinera”.

Dzięki swojemu magnetofonowi mogłem mu to umożliwić. Miałem to, czego rozpaczliwie pragnął i potrzebował, by przygwoździć pierwszego gangstera Nowego Jorku.

I dlatego tak zdziwiło mnie to, co powiedział.

Rozdział 19

Nieco po dziewiątej następnego ranka udałem się na dziewiętnasty posterunek przy Sześćdziesiątej Siódmej Wschodniej, gdzie detektyw Mark Ford mnie powitał, a następnie poprowadził do swojego biurka. Stało między wieloma podobnymi biurkami w obszernym, pozbawionym jakichkolwiek przepierzeń pomieszczeniu, znanym mi z wszystkich filmów policyjnych, tyle że bez bzdurnych dodatków w postaci żujących gumę dziwek w siatkowych pończochach i wojowniczych pijaków przykutych kajdankami do ławek.

Ale, z drugiej strony, może w sobotnie poranki życie tu, w realnym świecie, toczyło się w nieco zwolnionym tempie.

– Proszę siadać – powiedział detektyw Ford, wskazując metalowe krzeselko przyczepione do szafy na akta.

– Dzięki – odrzekłem. Mój tyłek wisiał jeszcze w powietrzu, a detektyw już przystąpił do rzeczy.

– A więc ma pan to? – zapytał. – Przy sobie, panie Daniels?

Co, żadnych pogaduszek na początek? Żadnej wymiany grzeczności?

Jasne, że nie. Gdy detektyw Ford odebrał ode mnie zeznanie w Lombardo's, zrozumiałem, że wszystko, co dotyczyło tego człowieka, było proste, bezpośrednie i do rzeczy. Jego krótko ostrzyżone siwe włosy. Podwinięte rękawy. Sposób, w jaki wypowiedane przez niego zdania najkrótszą drogą zmierzały do kropki lub znaku zapytania.

– Tak, mam to – powiedziałem. – Ale najpierw chciałbym o czymś z panem porozmawiać. Muszę coś wiedzieć.

Wspaniale, mówił wyraz jego twarzy. Zupełnie jakbym przekazał mu jakąś straszną, przerażającą wiadomość, na przykład że na antenę wraca serial telewizyjny *Cop Rock*. Detektyw Ford chciał tylko wysłuchać nagrania, niczego więcej, a tu ja mu oznajmiałem: „Nie tak szyb-

ko”.

Dokładnie to samo powiedział mi David Sorren.

Choć uszczęśliwiony wiadomością o moim nagraniu, prokurator okręgowy Manhattanu nie chciał go wysłuchać. Przynajmniej na razie. Dopóki nie zostaną spełnione pewne wymogi „proceduralne”, wyjaśnił mi.

– Nie mogę publicznie zgrywać detektywa, chyba rozumiesz?

Rozumiałem. Nawet jeśli dokładnie to właśnie robił w mojej obecności na schodach New York Public Library.

I oto w zgodzie z procedurą siedziałem przed detektywem Fordem. Był tylko jeden problem.

– O co więc chodzi? Proszę mi powiedzieć – rzekł detektyw. – Co takiego musi pan wiedzieć?

Odchrząknąłem. Właściwie to nawet dwukrotnie.

– Chodzi mi... no, troszkę mnie niepokoi...

Uciszył mnie, unosząc dłoń.

– Niech zgadnę... Fajda pan w portki ze strachu, że Eddie Pinero ze chce i panu wydłubać oczy. Zgadza się?

Może „fajda pan w portki” było trochę za mocne, ale chwilowo nie kwapiłem się do roztrząsania semantycznych subtelności. Najchętniej jako anonimowy informator podrzuciłbym nagranie Davidowi Sorrenowi, a potem wyniósł się jak najdalej od tego zabójstwa, policyjnych procedur i wszystkiego, co mogło się jeszcze w związku z tą sprawą pojawić.

– Czy Eddie Pinero dowie się, że to ja dostarczyłem nagranie? – zapytałem. – Poważnie, detektywie. Proszę o szczerą odpowiedź.

Ford szybkim ruchem skrzyżował ręce na piersi.

– W tej chwili Pinero nie może nawet wiedzieć, że to nagranie w ogóle istnieje. Jeśli jest tym, za co je pan uważa, po raz pierwszy wysłucha go po postawieniu w stan oskarżenia. – Wzruszył ramionami. – A czy może się dowiedzieć, że to pan jest tym samarytaninem, który je przyniósł? Jasne. Nie będę panu pieprzył głodnych kawałków. Czy z tego powodu będzie chciał pana zabić? Bardzo wątpię. Zabicie pana by-

łoby bezcelowe. Bo niby po co?

Skinąłem głową, a detektyw Ford odchylił się na oparcie fotela, którego nóżki zaskrzypiały przeraźliwie na pokrytej linoleum podłodze. Gdybym musiał zgadywać, wysłuchałem właśnie najdłuższego nieprzerwanego ciągu zdań, jakie ten facet złożył do kupy od bardzo, bardzo dawna.

– Skoro zabicie mnie byłoby bezcelowe, jaki cel miało zabicie Vincenta Marcozzy? – zapytałem. – Wyglądałoby to tak samo, po prostu zemsta.

Wgapiłem się w detektywa, czekając, aż rozwieje moje lęki, przedstawi mi jakieś nieodparcie przekonujące argumenty, wyjaśni, że naprawdę nie mam się czym martwić. Ale najwyraźniej to nie było w jego stylu.

– Niech pan posłucha, panie Daniels – powiedział. – Sprawa wygląda tak: Eddie Pinero to sadystyczny, pokrecony skurwiel, który bez skrupułów zabija z byle powodu. Osobiście nie sądzę, by miał się pan czego obawiać. Z drugiej strony Vincent Marcozza prawdopodobnie sądził to samo. Decyzja należy do pana. A więc czy ma pan zamiar przekazać mi to nagranie, czy nie?

Rozdział 20

– Rany boskie, rany boskie.

Dwayne Robinson siedział samotnie w mroku swojego dwupokojowego mieszkania w Upper West Side. Prawie pozbawione mebli, było niemal tak puste, jak butelka po czarnym johnniem walkerze leżąca u jego stóp.

Mamrotał coś do siebie, myśląc o tym, jak bardzo tęskni za dziećmi. Czuł się tak, jakby serce wydarto mu z piersi. Przed laty matka wywiozła Kishę i Jamala do Kalifornii, jak najdalej od niego. Ale wiedział, że choćby dzieci mieszkały po sąsiedzku, prawdopodobnie wstydziłby się z nimi spotkać. Od ponad roku nie płacił alimentów. Ostatni wysłany przez niego czek nie miał pokrycia i tego też się wstydził.

Nie miał już czego zastawić. Jego dwie nagrody Cy Young dawno poszły. Podobnie stare trykoty Jankesów. Na eBayu piłki z jego podpisem chodziły co najwyżej po osiemnaście i pół dolara. Jego młodzieńcza karta baseballowa w ogóle nie weszła do licytacji.

Znów zadzwonił telefon.

Dzwonił przez całe popołudnie, do późnego wieczoru. Ani razu nie odebrał, ani nawet nie sprawdził tożsamości dzwoniącego. Nie musiał, wiedział kto to.

Był pewien, że ten pisarz, Nick Daniels, to przyzwoity facet, co jeszcze pogarszało sprawę. Zwyczajnie oddzwonił do niego i powiedz, że u ciebie wszystko w porządku, błagał sam siebie.

Po prostu kłam, jak zawsze kłamałeś.

Nie był jednak w stanie zrobić nawet tyle. Za bardzo się bał. Nieulekły miotacz, który postanowił zostać w Nowym Jorku nawet po tym, jak sprawił zawód całemu miastu, był zbyt przerażony, żeby porozmawiać z jakimś dziennikarzem.

Mógł tylko zamknąć oczy i pozwolić, by najczarniejsze z czarnych

myśli wpełzały do jego mózgu niczym cienie sunące po polu zewnętrznym i wokół pomników na stadionie Jankesów.

Nie musieć nigdy więcej otwierać oczu. Nigdy. Byłoby tak przyjemnie.

– Niech to diabli! – wrzasnął, wyrzucając w ciemność wielką pięść. Ale niewidoczne demony zawsze pozostawały poza jego zasięgiem.

Wstał, otworzył oczy i zapaliwszy światło, zaczął miarowym krokiem przemierzać pokój od ściany do ściany. Jego strach przeistoczył się w gniew. Alkohol krążący w żyłach już nie tłumił bólu. Tylko go nakręcał – i kiedy Dwayne rzucił się po pustą butelkę po johnniem walkerze, w jednej chwili zapłonęły wszystkie jego mięśnie, zakończenia wszystkich nerwów. Schwycił butelkę, odwiódł ramię do tyłu.

To nie będzie mierzona *curveball*².

I była to szybka, blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, piłka prosto w gołą ścianę naprzeciw niego.

Trzask!

Okruchy szkła rozsypały się po mieszkaniu, a on opadł bezwładnie na fotel i szlochał, ukrywając twarz w dłoniach. Co do jednego Dwayne miał pewność.

Nie mógł dłużej utrzymywać swojego sekretu.

Musiał porozmawiać z tym cholernym dziennikarzem... – jak mu tam...? – Nickiem Danielsem.

² Rodzaj rzutu w baseballu, kiedy podkręcona piłka zmienia tor w czasie lotu.

Rozdział 21

Po powrocie z dziewiętnastego posterunku, gdzie detektyw Ford gładkimi słówkami nakłonił mnie do wydania zapisu pod groźbą wezwania sądowego, resztę dnia spędziłem na dzwonieniu do Dwayne'a Robinsona i rozmyślaniu, jak będę żył, kryjąc się przed Eddiem Pinem.

Jakaś pociechą była mi myśl, że długotrwały udział w programie ochrony świadków mógłby zaowocować nielichem artykułem.

Pozostawało mi tylko się modlić, by okazało się, że wyolbrzymiałem zagrożenie ze strony Pinera.

Niemożliwość dodzwonienia się do Dwayne'a Robinsona stawała się cholernie frustrująca – a łatwo nie rezygnuję. Zwłaszcza gdy chodzi o tak świetny materiał, jakim mógł się okazać ten wywiad.

Korzystając z uprzejmości agenta Dwayne'a, Courtney podała mi numer jego telefonu stacjonarnego, ale jeśli był w domu – nie odbierał. Nie miał nawet sekretarki, więc nie mogłem zostawić wiadomości w rodzaju: „Oddzwoń, ty egoistyczny sukinsynu. Pora dorosnąć, Dwayne”.

Próbowałem więc godzina po godzinie przez resztę dnia. I przez pół nocy.

Chciałbym powiedzieć, że miałem wielkie plany na ten wieczór, jak na rasowego, cieszącego się dużym wzięciem kawalera z Manhattanu przystało, ale nie spodziewałem się, że spędzę weekend w domu, a tym bardziej w kraju. Mogłem zadzwonić do przyjaciół, ale właściwie nie byłem w nastroju do robienia czegokolwiek.

Jedyna osoba, być może zdolna zmienić moje nastawienie, przebywała w towarzystwie swojego narzeczonego. Niestety, przypadkiem wiedziałem, że przyszli państwo Ferramore'owie byli gośćmi burmistrza i zaprzyjaźnionego miliardera, Mike'a Bloomberga, i bawili w domu tego ostatniego w Upper East Side. Najwidoczniej zaproszenie

dla mnie zaginęło na poczcie.

Tak więc zamówiłem pizzę hawajską, otworzyłem heinekena i poglądałem sobie telewizję. Przeskakując z kanału na kanał, kilka minut poświęciłem Larry'emu Kingowi i jego szelkom, następnie obejrzałem lokalne wiadomości o dwudziestej drugiej.

W tym, co spotkało mnie potem, kryła się zupełnie niewyobrażalna ironia.

Oto spod daszka naciągniętej na czoło czapki wpatrywały się we mnie intensywnym, nieulekłym spojrzeniem oczy, które – jak pamiętałem – były oczami Dwayne'a Robinsona. Kanał ESPN Classic retransmitował mecz, który przyniósł Dwayne'owi sławę, mecz przeciwko drużynie Oakland Athletics rozegrany w sierpniowym upale dziesięć lat temu. Dwadzieścia zbić.

Mając w pamięci bezowocne próby skontaktowania się tego dnia z Robinsonem, czułem pokusę zmiany kanału, choćby jemu na złość. Nie byłem jednak w stanie. To był naprawdę klasyczny mecz i niezależnie od tego, ile razy go oglądałem, zawsze musiałem obejrzeć go po raz kolejny.

I zdaje się, że nie tylko ja.

Niespodziewanie rozdzwonił się telefon stojący obok mnie na kanapie. „Numer zastrzeżony”, przeczytałem na wyświetlaczu.

– Halo?

Nikt nie odpowiedział, ale miałem pewność, że na drugim końcu linii ktoś się znajdował, i nie było to tylko przeczucie. Słyszałem odgłosy tego samego meczu, który właśnie oglądałem.

– Dwayne? – zapytałem. – To ty?

To była moja pierwsza myśl. Chodzi o to, że gdybym kiedyś zbił dwudziestu graczy drużyny przeciwnej, też bym oglądał powtórki tego meczu. Istniała więc jakaś szansa!

Jeśli to jednak był Robinson – nie odpowiadał.

Spróbowałem jeszcze raz.

– To był dla ciebie cudowny wieczór, ten mecz z Oakland. Wart uwiecznienia w podręcznikach historii. Nigdy go nie zapomniłeś,

prawda?

Po kolejnej chwili ciszy w słuchawce zabrzmiał w końcu głos. Jego głos.

– Tak. To był wyjątkowy wieczór. Chwilami mam wrażenie, że to nie byłem ja. Albo że to nie jestem ja. Nie bardzo wiem, panie Daniels.

Odetchnąłem głęboko.

– Dobrze, że się odezwałeś – powiedziałem. – Trochę się martwiłem.

– Tak, wiem, że próbował się pan do mnie dodzwonić. Przepraszam, że...

– Nie musisz się tłumaczyć. Chciałem się tylko upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku. A jest w porządku, prawda?

Brzmienie jego głosu na pewno na to nie wskazywało. Nie wiedziałem, czy pił – albo coś brał – ale mówił wyraźnie. Robił wrażenie raczej przygnębionego niż pijanego.

Pozostawił moje pytanie bez odpowiedzi.

– Dwayne, jesteś tam? – zapytałem.

– Jestem. – Przerwał na nieskończenie długą chwilę.

– Proszę posłuchać, jest pewna sprawa, o której muszę z panem porozmawiać.

– Jasne. Oczywiście. Powiedz tylko gdzie.

– Nie w tej chwili. Jutro.

Nie, nie jutro. Teraz! – chciałem wrzasnąć.

Ewidentnie nie chodziło już o dokończenie wywiadu. Szło o coś innego. Tylko o co, u licha?

– Gdzie teraz jesteś, Dwayne? W domu? Mogę być u ciebie za dziesięć minut.

– Nie, jestem padnięty, Nick. Prawdę mówiąc, odrobinę zalany. Muszę się przespać.

– Ale...

– Załatwimy to jutro. Obiecuję. Proszę mi wierzyć, potrafię dotrzymać obietnicy.

Miałem chęć cisnąć dalej w nadziei, że zmieni zdanie. Opuściłem jednak.

– Okay, może więc zjemy razem śniadanie?

– Rano mam coś do załatwienia. Umówmy się jeszcze raz na lunch.

Rejestr naszych spotkań przy lunchu nie przedstawiał się zbyt ciekawie, ale nie chciałem teraz tego wyciągać.

– Może być, ale pod jednym warunkiem – powiedziałem.

– Jakim? Jaki muszę spełnić warunek, żeby doszło do wywiadu? – zapytał i zaśmiał się cicho.

Sprawa była prosta, najoczywistsza pod słońcem.

– Tym razem to ja wybiorę restaurację.

Rozdział 22

Tuż przed dwunastą wszedłem do pubu U Jimmy'ego D. trzy przecznice na południe od mojego mieszkania. Każdy szanujący się pisarz ma jakiś nieodległy bar, który jest mu drugim domem. Wyczytałem to w pamiętniku Pete'a Hamilla, zatem musi to być prawda, nie?

Kilka kroków przed wejściem do pubu dałem dolca żebrakowi, którego znałem jako Reubena. Był niemal ślepy bezdomny bez szans na znalezienie pracy. Mam taki może dziwaczny zwyczaj, że co rano wychodzę z domu z dziesięcioma banknotami jednodolarowymi w kieszeni. Rozdaję je na ulicy. Podczas wspólnych wizyt w Nowym Jorku mój ojciec robił to samo z pięcioma jednodolarówkami. Nie uważał tego za nic szczególnego i ja też nie.

– Cześć, Nick – dobiegło zza baru, kiedy zacząłem gramolić się na stołek. Nie było to chóralne „Norm!” jak w *Zdrówku*, ale sprawiało taką samą przyjemność.

– Cześć, Jimmy.

Jimmy Dowd był właścicielem pubu i za dnia jednocześnie barmanem. Skąpo lał do kieliszków i potrafił kiwnąć klienta na solidne pół litra guinnessa. Nie miałem pojęcia, jak smakują jego mieszane drinki, bo nigdy ich nie próbowałem. Pub U Jimmy'ego D. należał do lokali dla tych, którzy zamawiając alkohol, muszą podjąć tylko jedną decyzję: czysty czy z lodem?

Ja jednak nie zamierzałem zamawiać ani tego, ani tego. Przynajmniej do chwili przybycia Dwayne'a Robinsona.

Jimmy skinął głową, gdy mu to oznajmiłem, i przez kilka minut gawędziliśmy na temat zbliżających się meczów Jankesów z drużyną Red Sox na Fenway.

– Złapiemy dwie na trzy – przewidywał Jimmy. – Tak będzie, dopó-

ki rzucamy na Big Papięgo³. W formie czy nie, zawsze daje nam popalić!

Istniało wiele powodów, dla których lubiłem przesiadywać w pubie U Jimmy'ego D., i nie najmniej ważnym z nich był sam Jimmy. Weteran wojny w Wietnamie, zarobił trochę pieniędzy na giełdzie i postanowił zrealizować marzenie swojego życia, zostając właścicielem pubu. W grę wchodził także fakt, że pewnej nocy przed trzema laty Jimmy ocalił mi życie. Ale o tym przy innej okazji.

Teraz liczył się tylko Dwayne Robinson. Spojrzałem na zegarek. Powinien zjawić się lada moment. Wiedziałem, że Jimmy, rodem z Bronxu, podzielał moje namiętne przywiązanie do Bombardierów, toteż powiedziałem mu, na kogo czekam.

– Nie chrzań, naprawdę? – Ze zdziwioną miną podniósł znad baru głowę porośniętą kruczoczarnymi włosami. Potem w trzech słowach wyraził uczucia całego miasta. – Złamał mi serce.

Zaczęliśmy porównywać ulubione występy Dwayne'a Robinsona jako miotacza. Sporo ich było, więc szybko straciłem poczucie czasu.

– O której miał się z tobą spotkać? – zapytał w końcu Jimmy, spoglądając na zegarek.

– W południe – odparłem i też sprawdziłem czas.

Cholera! Była dwunasta trzydzieści. Znów to samo!

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Robinsona do domu.

Po sześciu sygnałach już miałem się rozłączyć, kiedy aparat zasygnalizował połączenie przychodzące. Przerzuciłem się na drugą linię, nie sprawdzając nawet numeru dzwoniącego. Byłem pewien, że to Dwayne.

Dzwoniła Courtney.

Rzuciłem „cześć” i od razu przeszedłem do rzeczy, wściekły i sfrustrowany.

– Nie pokazał się – powiedziałem. – Dwayne Robinson znów zrobił mnie w konia.

– Wiem – odparła Courtney.

³ David Ortiz, zawodnik Red Sox.

Wiem?

– Masz tam gdzieś telewizor? – zapytała.

Skinałem na Jimmy'ego, żeby włączył odbiornik.

– Który kanał?

– Wszystko jedno – odrzekła. – Ja oglądam ESPN.

Nie powiedziała więcej ani słowa.

Rozdział 23

– ESPN! – zawołałem do Jimmy'ego.

Wcisnął spiesznie guzik pilota, na ekranie pojawił się obraz. Kilka sekund później serce we mnie zamarło.

Na tle typowej sceny ulicznej gadał jakiś reporter. Widziałem wóz policyjny, kręcących się wokół niego ludzi.

Sens tego wszystkiego streszczał jednak prosty napis u dołu ekranu: DWAYNE ROBINSON NIE ŻYJE.

Reporter głądził chaotycznie, ale ja jakbym oślepnął. Jimmy powiedział coś, jednak jego słowa też do mnie nie dotarły. Po prostu gapiłem się w szoku w ekran telewizora, coraz bardziej zmartwiały.

Obraz na ekranie zmienił się i w końcu pojedyncze słowa reportera zaczęły przenikać do moich uszu.

Skok... budynek... wygląda na samobójstwo... tajemniczy człowiek... teraz ta tajemnicza śmierć.

Wziąłem się w garść i skupiłem na ekranie. Wypełniał go rozedrgany obraz, jakby zarejestrowany trzymaną w ręku cyfrową kamerką. Widziałem podłogę jakiegoś przedpokoju i różowe kapcie biegnącej z kamerą kobiety. Biegła w kierunku rozsuwanych szklanych drzwi na balkon.

Słowo po słowie docierał do mnie komentarz reportera.

„Obejrzymy zaraz dramatyczny film zrobiony amatorską kamerą przez jedną z sąsiadek Dwayne'a Robinsona, która najpewniej usłyszała huk dochodzący zza okna jej mieszkania. Ostrzegam naszych widzów, że film ten jest bardzo drastyczny”.

Kamera przestała wreszcie podskakiwać, zamazany obraz nabrał ostrości. Sąsiadka Dwayne'a filmowała z usytuowanego wysoko nad ulicą balkonu.

Studziewięćdziesięciocentymetrowe ciało Dwayne'a Robinsona spo-

czywało twarzą do dołu na dachu białej furgonetki. Siła uderzenia utworzyła wokół niego krater z pociętej blachy.

Znów częściowo ogłuchłem. Tymczasem na ekranie ponownie zjawił się reporter stojący na ulicy, przy której mieszkał Dwayne.

I na której umarł.

– Chyba nie przyjdzie – powiedział Jimmy, wstrząśnięty nie mniej ode mnie. – Biedny skurczybyk. Znów nas olał, co, Nick?

Część druga

Wrobiony

Rozdział 24

Bruno Torenzi otworzył drzwi pokoju z widokiem na Central Park w hotelu San Sebastian i przyjrzał się stojącej przed nim w korytarzu wysokiej blondynce. Miała na sobie połyskliwą czerwoną sukienkę koktajlową, pantofelki oczywiście na wysokim obcasie, na szyi złote łańcuszki.

– Jak ci na imię? – zapytał. – Chodzi mi o twoje prawdziwe imię.

– Anastazja – odparła. Jej rosyjski akcent był niemal tak silny, jak jego włoski. – A jakie jest twoje prawdziwe imię?

Torenzi zignorował pytanie, odwrócił się i wrócił do pokoju.

– Miło cię poznać – powiedziała blondynka, zamykając za sobą drzwi. – Będę cię więc nazywać Sebastianem. Tak jak ten hotel.

– Rozumiem, nawet dowcipne – odparł Torenzi.

Preferował włoskie dziewczyny, ale te z tej strony Atlantyku były jak jedzenie w restauracjach sieci Olive Garden – nie do pomylenia z domowym żarciem. Jeśli chodzi o Amerykanki, to za dużo gadały o sobie. Azjatki zaś były za chude jak na jego gust, nie było za co złapać.

Dzięki Bogu za Rosjanki. Albo Polki czy Greczynki.

– Rozbierz się – powiedział Torenzi, wyjmując sobie piwo z minibaru. Dziewczynie niczego nie zaproponował.

– Po kolei – odpała. – Sebastianie.

– Jasne – mruknął. Podeszedł do rozsznurowanego płóciennego worka marynarskiego umieszczonego na okrągłym stoliku w kącie i wydobyl z niego plik banknotów. – Dwa tysiące, zgadza się? – zapytał, zdejmując gumową opaskę, którą były ściągnięte.

– Nie licząc napiwku – odrzekła Anastazja. Miała nadzieję, że ten Włoch, najwyraźniej bogaty, nie znał reguł gry.

Torenzi wyłuskał z pliku dwadzieścia nowych studolarowych banknotów i wyciągnął rękę.

– Nie urodziłem się wczoraj... Anastazjo.

Przyjęła swoje dwa tysiące, myśląc, że dobre i to – na początek.

Pieściła potem nosem jego ucho, sunąc jednocześnie dłonią w kierunku rozporka czarnych spodni. Świetny materiał, włoski.

– Wiesz, co to znaczy Anastazja? – szepnęła. Usta miała pomalowane wiśniową szminką. – To znaczy „kwiat wskrzeszenia”.

Torezni pociągnął łyk piwa.

– Bardzo ładnie. A teraz się rozbierz – powtórzył. – Daruj sobie lekcje historii.

Duzi faceci lubią rządzić, pomyślała Anastazja, ten nie był inny. Sięgnęła do suwaka sukienki na plecach. Niech się tym cieszy, póki może.

* * *

Większość mężczyzn, nie licząc może byłego gubernatora stanu Nowy Jork, wie, że dwa tysiące dolarów to dużo, jak na zapłatę dla call girl. Lepiej więc, żeby była ładna i dobra w swoim fachu.

Anastazja nie zawiodła Torezniego. Gdy tylko sukienka koktajlowa zsunęła się z jej ramion, niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe stały się nieznaczącym dodatkiem do reszty. Pod sukienką nie miała staniaka ani majtek. Były tylko naturalny talent i uroda niepodlegającego prawu grawitacji ciała.

– Wiesz co, Sebastianie? – zamruczała. – Lubię cię.

Torezni roześmiał się wreszcie i zaczął rozpinać koszulę.

Kiedy ją zdjął razem z białym podkoszulkiem, Anastazja wlepiła w niego skonsternowane spojrzenie. Solidnie umięśniony, mięśnie miał wyrzeźbione do perfekcji. Ale to nie było wszystko.

– Mój Boże, co ci się stało, złotko? – zapytała. Nie mogła się powstrzymać.

Prościej byłoby zapytać, co się nie stało Brunonowi Torezniemu. Jego lewy bark i przedramię poryte były bliznami po trafieniu ze śru-

tówki. Ciemne jak krople smoły krążki miały wielkość dziesięcio – i dwudziestopięciocentówek. Zliczywszy je wszystkie, otrzymano się półtora dolara drobnymi.

Na drugim ramieniu widniały ślady poważnego oparzenia – piętnastocentymetrowy pas skóry o fakturze wołowiny przez miesiąc suszonej na słońcu.

To nie wszystko. Z boku brzucha znajdowały się sterczące z ciała na podobieństwo pępeków dwie blizny po ranach kłutych. Trudno było na to patrzeć.

Torezni spojrzali w dół, na swoje ciała, ale nic nie powiedzieli. Zdjęli spodnie, slipy i włożyli na łóżko.

Anastazja nie naciskała. Poniekąd zaczynała facetowi współczuć.

– Ach, rozumiem – powiedziała figlarnie, wierzchem dłoni delikatnie gładząc piersi. – Jesteś jednym z nich. Prawdziwym twardzielem, prawda?

O niczym nie miała zielonego pojęcia.

Podobnie jak dwaj mężczyźni, którzy właśnie wysiadali z windy, zmierzając do jednego z pokoi hotelowych. Jej współnicy.

Od roku tej trójce wychodziły doskonale przekręty, ale tym razem nie uwzględnili jednej rzeczy.

Nawet zawodowi zabójcy miewają czasem ochotę na seks.

Rozdział 25

Bracia Bielowowie, Wiktor i Dmitrij, napompowani adrenaliną i nagrzani koka, zjawili się przed pokojem numer 1204 hotelu San Sebastian. Rozejrzeli się po eleganckim korytarzu, by się upewnić, że są sami.

– Ojciec by tego nie pochwalił – powiedział Dmitrij. Zawsze to mówił przed robotą. Zawsze.

– Pieprzyć go – odrzekł Wiktor, który uważał, że z dnia na dzień wyraża się coraz bardziej po amerykańsku. – Pieprzyć ojca, Dmitrij.

Wcześniej już kilkanaście razy stali pod drzwiami drogich pokoi hotelowych w różnych punktach Manhattanu, oddychając szybko, niemal sapiąc, z palcami na bezpiecznikach pistoletów Jarygina. Pistolety Jarygina były od pewnego czasu standardową bronią boczną w armii rosyjskiej, głównie ze względu na siedemnastonabojowe, dwurzędowe magazynki z jednorzędowym wprowadzaniem. Dla Wiktora i Dmitrija najważniejsza była jednak wspaniale smukła lufa ze stali nierdzewnej. Wyglądała na mocniejszą niż lufa starego makarowa, bardziej niezawodną.

Nie żeby przy okazji któregoś z tych robót musieli kiedykolwiek naciśnąć spust.

Na tym polegały uroda i doskonałość przekreću. Zazwyczaj zastawali swoje ofiary ze spuszczoneymi portkami.

Co ważniejsze, frajer czuł się potem zbyt zażenowany, by iść na policję.

Byli to mężczyźni na stanowiskach, zwykle wyższego szczebla, dyrektorzy korporacji podróżujący w interesach. Musieli dbać o reputację. Mieli żony i dzieci. Cokolwiek im się ukradło, nie było to warte tłumaczenia detektywowi policji nowojorskiej: „Właśnie zostałem oskubany przez prostytutkę i jej dwóch wspólników”.

I wymagało to tylko ogłoszenia na ostatniej stronie „212 Magazine”, oferującego najwyższej jakości damskie towarzystwo wymagającym

dżentelmenom. Na nagłówek ogłoszenia składały się słowa: „Pozdrowienia z Rosji”.

Okazał się wystarczająco chwytny, by przyciągnąć dobry tuzin mężczyzn. Wiktor i Dmitrij stracili już rachubę swych ofiar, zbyt zajęci liczeniem laptopów, złotych rolexów, włoskich garniturów i żywej gotówki.

Bracia wymienili szybkie znaki głowami. Wszystko grało. Anastazja jak zwykle zablokowała zamek taśmą klejącą. Im pozostało tylko przekręcić klamkę i wmaszerować do środka – spokojnie, bez hałasu.

Tylko gdzie w tym była zabawa?

Wpadli do pokoju niczym huragan. Natychmiast dostrzegli golutkiego Brunona Torenziego, leżącego na nierozesłanym łóżku.

– Nie ruszaj się, skurwielu! – warknął Wiktor. Zaletą lepszych nowojorskich hoteli były grube ściany.

Toreni był zdeorientowany, ale trwało to ledwie sekundę. Spojrzał na stojącą w nogach łóżka Anastazję. Potwierdziło się to, co już wiedział. To złodziejski numer; ona była przynętą, a on dzisiejszym frajerem.

Rzecz jasna, zaczęła się na powrót ubierać.

– Worek marynarski – oznajmiła. – Główna wygrana. Dmitrij odebrał wzrok od Torenziego i podszedł do czarnego worka marynarskiego na stoliku w kącie pokoju. Na widok znajdującej się w nim gotówki twarz rozjaśnił mu uśmiech szeroki jak plac Czerwony.

Potem ten uśmiech zgasł. Zniknął. Bez śladu.

– Co to jest, do jasnej cholery?

Rozdział 26

Dmitrij wsadził rękę do worka i wyjął szarą prostopadłościenną kostkę C-4. Przewód detonatora zwisał z jednej strony niczym mysi ogon. Następnie wyciągnął rewolwer Smith & Wesson Magnum model 500, prawdziwego potwora w świecie broni krótkiej. I jeszcze pudełko naboju kalibru.50.

To był nie byle jaki worek marynarski.

Dmitrij wrócił wzrokiem do Torenziego, jego zmrużone oczy nadały twarzy podejrzliwy wyraz. Zupełnie jakby zobaczył drugi obraz na jakimś hologramie.

Facet leżał nagi, z wycelowanymi w niego dwiema lśniącymi lufami pistoletów. Był jednak całkowicie spokojny i opanowany. Ani śladu strachu.

Kim jest ten gość? Ma jakieś powiązania? I dlaczego w tym pokoju zrobiło się tak kurewsko gorąco?

Dmitrij poprawił klejącą mu się do piersi jasnoniebieską koszulę.

– Pracujesz dla kogoś? – zapytał.

Torezni patrzył mu prosto w oczy, nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nie twój interes.

Dmitrij ruchem głowy wskazał worek marynarski.

– Do czego używasz tych rzeczy?

– Nie twój interes.

– Teraz już mój! – warknął Rosjanin. – Powtarzam, do czego używasz tych rzeczy? Lepiej zacznij mówić.

Torezni nadal wpatrywał się w Dmitrija, tyle że teraz w milczeniu. Potem ni mniej, ni więcej, tylko uśmiechnął się i podrapał po jądrach. Niespodziewanie Wiktor rzucił się ku niemu, wbił mu w policzek lufę jarygina.

– Myślisz, że to jest śmieszne? Jakiś żart? Mój brat zadał ci pytanie! –

wrzasnął.

Torezni jednak nawet nie spojrział na Wiktora. Jego wzrok wciąż spoczywał na stojącym przy stoliku Dmitriju. W worku znajdowało się jeszcze coś. Pudełko, którego Rosjanin dotąd nie odkrył.

Wiktor odwiódł kurek pistoletu.

– Hej, mówię do ciebie. Ogłuchłeś?

– Na miłość boską, odpowiedz mu! – niemal błagalnym tonem wtrąciła Anastazja. – Ci faceci się nie opieprzają.

Bruno Torezni też nie.

Nim Wiktor zdążył nacisnąć spust, Torezni zamachnął się i odtrącił przyciśniętą swojej do twarzy lufę jarygina. Drugą ręką sięgnął pod poduszkę za sobą i wyciągnął stamtąd pistolet Bersa Thunder kalibru.380.

Drugie pudełko w worku mieściło zapasową amunicję do niego. Nie żeby akurat teraz jej potrzebował.

Pierwszy strzał Torezniego trafił Dmitrija Biełowa w górną część klatki piersiowej. Drugi rozłupał mu czoło między oczami. Dopiero wtedy zareagował Wiktor. Próbował skierować broń na Torezniego, by pokonać jego opór, ale bez skutku. Torezni był zbyt silny, zbyt szybki, zbyt dobry w tym, co robił.

Trzy kule w brzuch rzuciły Rosjanina na dywan. Leżącemu na wznak w kałuży krwi Bruno wsunął lufę w usta. Wystrzał sprawił, że mózg wytrysnął z czaszki i utworzył doskonały półokrąg wokół głowy.

To był zły dzień dla braci Biełowów.

W pokoju słychać było teraz tylko rozpaczliwe szlochanie Anastazji.

Osunęła się na kolana, wciąż niezapięta sukienka koktajlowa zwisała jej z ramion. Chciała pobiec ku drzwiom, ale nie była w stanie – zszokowana, sparaliżowana, śmiertelnie przerażona, że będzie następna.

– Właż do łóżka! – rozkazał Torezni. – I zdejmij tę cholerną sukienkę.

– Proszę – błagała. Jasne włosy opadły jej na zapłakaną twarz. – Proszę, nie... – Potem jednak zrzuciła sukienkę i weszła do łóżka.

– Na czym więc stanęliśmy? – powiedział Torezni. – A przy okazji, Anastazjo, na imię mi Bruno. To moje prawdziwe imię.

Słyszając te słowa, zaczęła płakać jeszcze żałośniej. Wiedziała, co oznaczają.

– Ano tak. Znasz moje imię. Wiesz, jak wyglądam – szepnął. – Dlaczego tego ostatniego razu w łóżku nie miałabyś spędzić przyjemnie?

Rozdział 27

Niewypowiedzianie smutny pogrzeb Dwayne'a Robinsona odbywał się w deszczu tak rzęsiстым, że gdyby to był mecz baseballowy, na pewno zostałyby odwołany. Zabrakło postugi duchownej. Zgromadziliśmy się wokół grobu pod przewodem pastora nieokreślonego wyznania. Rozległy Woodlawn Cemetery był miejscem ostatniego spoczynku między innymi Josepha Pulitzera, Milesa Davisa i Fiorella La Guardi.

Orszak pogrzebowy nie był zbyt liczny, ale liczniejszy, niż się spodziewałem. Pojawiło się wielu kolegów Dwayne'a z drużyny – byłych Jankesów, moich idoli. Każdego innego dnia spotkanie z nimi wprawiliby mnie w nieliche podniecenie.

Ale nie tego dnia.

Obecna była też ekszona Dwayne'a, która opuściła go kilka dni po tym, jak został dożywotnio zdyskwalifikowany. Była miss stanu Delaware zjawiała się z dziećmi, teraz nastolatkami. Czytałem gdzieś, że podczas procesu rozwodowego żądała wyłącznego prawa do opieki nad nimi i uzyskała je bez większego oporu ze strony Dwayne'a. Człowiekowi nieprzywykłemu przegrywać na boisku musiało to uświadomić, że z chwilą opuszczenia go poniósł klęskę.

– Módlmy się – powiedział pastor stojący nad mahoniową trumną Dwayne'a.

Stałem z tyłu, pod parasolem, jak wszyscy. Dziwnie się tutaj czułem. W gruncie rzeczy spotkałem się z Dwayne'em tylko raz. Z drugiej strony byłem jednym z ostatnich ludzi, którzy z nim rozmawiali.

Może nawet ostatnim. Któż to mógł wiedzieć.

Na pewno nikt ze stojących obok mnie. Kiedy ceremonia dobiegła końca, zaczęła się gadanina o „człowieku, którego kiedyś znali”. Jakby biedak, który podobno zabił się, wyskakując z wysoko położonego balkonu swojego mieszkania, był dla wszystkich obecnych na jego pogrze-

bie kimś zupełnie obcym.

– Po dyskwalifikacji Dwayne jakby przestał żyć – powiedział ktoś.
Teraz rzeczywiście przestał.

Wyników autopsji nie podano do wiadomości publicznej, ale do mediów, szalejących po śmierci Dwayne'a, przeciekła ekspertyza toksykologiczna, z której wynikało, że był pod wpływem dużej dawki heroiny. Kolosalnie dużej. Prawdopodobnie tłumaczyło to brak listu pożegnalnego.

Jedna tajemnica mniej. Być może.

Pozostałe nadal niewyjaśnione.

Co, u diabła, Dwayne chciał mi powiedzieć?

Dziwne, że czułem się tak, jakbym też skrywał jakiś sekret.

Tylko Courtney wiedziała, że w noc samobójstwa Dwayne do mnie zadzwonił.

Mój sekret był jednak dość błahy. Jego – to już była wielka tajemnica, którą zabrał do grobu.

Wróciłem do samochodu. Stary saab 9000 turbo był moją jedyną „ekstrawagancją”, jeśli można tak powiedzieć o posiadaniu samochodu w mieście zdominowanym przez metro, taksówki i przejścia dla pieszych.

Zamykając parasol i sadowiąc się za kierownicą, odtwarzałem w pamięci ostatnią rozmowę z Dwayne'em. Zastanawiałem się, czy czegoś nie przeoczyłem. Czy nie umknął mi jakiś istotny wątek.

Na razie nic nie przychodziło mi do głowy. Może moja pamięć była marnym substytutem taśmy magnetofonowej, a miałem przecież nagranie tej ostatniej rozmowy.

Już miałem przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy zadzwonił telefon.

Spojrzałem na wyświetlacz.

No cóż, raczej nie podzielałam przekonania, że nic nie dzieje się za sprawą przypadku, ale ten telefon właśnie w tej chwili... To już nie wyglądało na zbieg okoliczności. Prawdę mówiąc, było to makabryczne.

Na wyświetlaczu widniała identyfikacja dzwoniącego: „Lombardo's Steakhouse”.

Rozdział 28

– Cześć, szukam Tiffany – zwróciłem się do mężczyzny stojącego z książką rezerwacji w holu Lombardo's. Zdawało mi się, że go poznaję, ale dopiero po kilku sekundach nabrałem pewności.

No oczywiście. Kierownik. Widziałem, jak detektyw Ford przesłuchiwał go w dzień zabójstw.

– Zaraz będzie. Usadza kogoś – odpowiedział, prawie na mnie nie patrząc. Średniego wzrostu, niezbyt masywnie zbudowany, mówił tonem zabarwionym poczuciem wyższości, co prawdopodobnie miało związek z jego pracą. – To pan jest tym mężczyzną z kurtką? – zapytał.

W gruncie rzeczy byłem mężczyzną bez kurtki.

Chociaż niebawem miało się to zmienić.

Zanim odpowiedziałem kierownikowi, zza jego pleców dobiegło:

– Jest pan.

Pamiętała mnie. Ja, rzecz jasna, nie mogłem jej nie pamiętać.

– Tiffany – powiedziałem, wyciągając rękę. – Jak śliczne niebieskie pudełeczko.

Uśmiechnęła się. Wspaniale.

– Czołem, panie Daniels.

– Nick, proszę.

Poszedłem za Tiffany do szatni naprzeciwko baru.

– Tu jest twoja kurtka – powiedziała, oglądając się w moją stronę. – Przechowaliśmy ci ją bezpieczną i całą.

Skinąłem głową.

– Słuchaj, jestem wdzięczny za telefon. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że ją tutaj zostawiłem.

– To całkowicie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę zamieszanie panujące tu tamtego dnia. Zamieszanie. To słowo nie bardzo oddaje istotę rzeczy, prawda?

– Obawiam się, że nie.

Tiffany pokręciła głową.

– Wiesz, następnego dnia miałam zamiar rzucić tę pracę. Wrócić do Indiany, skąd pochodzę. Rozmawiałam o tym nawet z Jasonem.

– Z Jasonem?

– To facet, z którym rozmawiałeś przy wejściu. Kierownik.

– I co ci powiedział?

– Że to Nowy Jork i po prostu nie powinnam się przejmować. A jeśli tu pasuję, to nie będę.

– Przyjemniaczek.

– Wiem. Ale popatrz na ten tłum upiorów. Już nie wiem, czy mam się dziwić, czy wpaść w depresję.

Wiedziałem, co ma na myśli. Lombardo's Steakhouse był jeszcze bardziej zatłoczony niż zwykle, o ile to możliwe. Nazwijmy to perwersyjną logiką szpanerstwa, zwłaszcza gdy chodziło o Manhattan i, jak sądzę, Los Angeles. Jako scena trzech okrutnych morderstw, knajpa jeszcze zyskała na popularności.

Tiffany wyniosła z szatni moją kurtkę.

– Proszę – powiedziała. – To twoja, prawda?

– Zgadza się, moja. – Tę długą skórzaną kurtkę kupiłem przed laty za psie pieniądze na wyprzedaży w Barneys.

Złożyłem ją na przedramieniu i wtedy coś zaświtało mi w głowie.

– Tiffany, skąd wiedziałaś, że to moja kurtka? – Dobre pytanie, pomyślałem. Przecież pod kołnierzem nie miałem wyhaftowanego swojego imienia, jak miewają dzieciaki na letnich obozach.

– Przeszukałam kieszenie. Chyba nie masz nic przeciwko temu? – odparła. – Znalazłam elektroniczny bilet lotniczy na niedawny lot do Paryża. Były na nim twoje nazwisko i numer telefonu. W ten sposób...

Zamilkła.

– Co się stało? – spytałem.

Tiffany zrobiła osłupiałą minę. Przez ciemnopiwnie oczy widziałem niemal, jak kręcą się tryby w jej umyśle.

– O mój Boże! – wyrzuciła z siebie. – To ty byłeś tu wtedy z tym mio-

taczem, prawda? Tym biedakiem, który właśnie się zabił?

– Tak, z Dwayne’em Robinsonem – powiedziałem. Wymawianie jego nazwiska nadal sprawiało ból. – Prawdę mówiąc, przyjechałem prosto z jego pogrzebu. Bardzo smutnego.

Z wolna pokręciła głową.

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy usłyszałam o tym w wiadomościach.

– Zapamiętałaś go, tak? Z tego dnia, gdy był tu ze mną? – zapytałam.

– Tak – odrzekła. – Iz poprzedniego.

Spojrzałem na nią z ukosa, a jej ostatnie zdanie wciąż dźwięczało mi w głowie.

Z poprzedniego?

Rozdział 29

To nie miało ani odrobiny sensu. Dwayne Robinson nie zjawił się w Lombardo's tego pierwszego umówionego dnia. Wystawił mnie do wiatru.

A jednak tu był. Przynajmniej zdaniem Tiffany.

– Kiedy? – zapytałem. – O której godzinie? Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale to dla mnie ważne. Miałem pisać o Dwayne. Dla magazynu „Citizen”.

– Dokładnie nie wiem. Było dość wcześnie. Może dwunasta?

Czyli przed moim przybyciem, pół godziny przed umówionym terminem. Dziwne. Pokręcone.

– Jesteś pewna, że to był on? – spytałem.

– Tak. Wtedy, oczywiście, nie zwróciłam na niego uwagi. Przypomniałam go sobie dopiero wtedy, kiedy pokazali jego zdjęcie w telewizji. Nie jestem wielką fanką baseballu. Przedtem nie wiedziałam, kim był.

– Odprowadzałaś go do stolika?

– Nie. Nawet z nim nie rozmawiałam.

– Co robił? Może przypadkiem zauważyłaś? Może cokolwiek zauważyłaś?

– Bo ja wiem... Byłam zajęta innymi klientami. Pamiętam, że w pewnym momencie go zobaczyłam. Rozglądał się.

Za mną?

Czyżby sądził, że umówiliśmy się w południe, a nie o dwunastej trzydzieści?

Całkowicie skołowany próbowałam rozwikłać tę nową zagadkę. Na pewno następnego dnia o wpół do pierwszej Dwayne znajdował się w restauracji. Courtney powiedziała, że nie będzie sobie zawracać głowy pytaniem jego agenta, dlaczego nie przyszedł na spotkanie. Czy Dway-

ne mógł pomyśleć, że to ja go zawiodłem? Ale w takim razie dlaczego zadał sobie trud spotkania się ze mną następnego dnia?

Przez minione kilkanaście lat zadawanie pytań było częścią mojej natury. Tak pracuję. Zadaję pytania, otrzymuję odpowiedzi, dowiaduję się tego, co chciałem wiedzieć. Raz, dwa, trzy. Proste. Zwłaszcza gdy jakaś historia naprawdę mnie porwie.

Tym razem jednak było inaczej. Im dłużej wypytywałem Tiffany, tym mniej wiedziałem o tym, co zaszło.

– Wybacz, że cię tak naciskam, ale czy możesz sobie przypomnieć jeszcze coś? – zapytałem. – Cokolwiek?

Odwróciła głowę, zastanawiała się przez chwilę.

– Właściwie nie. Może...

– Może co?

– Robił wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– To znaczy co, spacerował nerwowo?

– To nie było nic tak oczywistego. Raczej coś w jego oczach. Duży facet, a wyglądało na to, że niemal boi się być tutaj.

Klepnąłem się w czoło. Dosłownie. Z czasów gdy u Świętego Patryka uczyłem się łaciny, wróciła do mnie sentencja: *Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*.

Z łaciny zawsze byłem słabiutki, ale to i owo udało mi się zapamiętać. Owa sentencja dotyczy zasady popolicie nazywanej brzytwą Ockhama. Znaczą mniej więcej: „Nie należy mnożyć bytów nad potrzebę”. Innymi słowy, w danych stałych warunkach najlepsze jest najprostsze wyjaśnienie.

A o czym to tyzącym się Dwayne’a Robinsona po prostu zapomniałem?

Rzecz jasna, o jego fobii społecznej.

Teraz wszystko nabrało sensu. Ten pierwszy raz przyszedł na lunch ze mną nieco wcześniej. Według Tiffany wyglądał na przestraszonego. Dlatego że był przestraszony. Denerwowała go perspektywa udzielenia wywiadu i być może samo przebywanie w zatłoczonej restauracji. I kropka. Ludzie go widzieli i niektórzy z nich na pewno rozpoznali w

nim Dwayne'a Robinsona.

Stracił więc resztkę pewności siebie i wyszedł.

Podziękowałem Tiffany za kurtkę, pomoc i poświęcony mi czas. Pomyślałem, że posłała mi podkreconą piłkę, mówiąc o pierwszej wizycie Dwayne'a, ale wychodząc z Lombardo's, byłem przekonany, że wszystko rozwikłałem jak należy. *Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*.

Niestety, nie wiedziałem wtedy – nie mogłem wiedzieć – że wszystko właściwie pochrzałem. Bo jak to bywa z różnymi teoriami, także brzytwa Ockhama nie jest niezawodna. Czasami najprostsze wyjaśnienie nie jest najlepsze.

Jak powiedziałem, nie byłem specjalnie dobry z łaciny. Prawdę mówiąc, byłem zupełnie *horribilis*.

Rozdział 30

David Sorren uwielbiał lustra weneckie. W nich materializowała się cała istota jego pracy jako prokuratora okręgowego Manhattanu. To one stanowiły najtrafniejszą metaforę jego sukcesu.

Zawsze mam cię na oku.

I nigdy nie mrugam.

Już jako wschodząca gwiazda prokuratury po prawie na New York University stawał za tymi lustrami – ręce założone na pierś, krawat rozluźniony – i obserwował, szacował, oceniał setki przestępców. Czasem w tej zbieraninie znalazła się jakaś niewinna osoba, ale to nie zdarzało się często.

Jest oczywiste, że jeśli znalazłeś się na posterunku policji po niewłaściwej stronie lustra weneckiego, to najprawdopodobniej masz coś do ukrycia.

A zadaniem Davida Sorrena – nie, jego misją – było ustalenie co.

Później zaś przyparcie cię do ściany i ukaranie z całą surowością.

– Proponuję puścić cwanemu sukinsynowi nagranie i popatrzeć, jak się wije – dobiegło zza pleców Sorrena. – Niech się wije i skręca.

A potem pójdzie na ugodę i dostarczy dowodów przeciw sprawcy.

Sorren słyszał wszystko, co mówiła jego zastępczyni, Kimberly Joe Green, ale jego spojrzenie nadal przykuwał widok Eddiego „Księcia” Pintera siedzącego po drugiej stronie lustra.

Pinero miał na sobie elegancki szary garnitur w prążki z czarną chusteczką w kieszonce na piersi. Był to jego znak firmowy. Towarzyszył mu adwokat – nowy adwokat – a znajdowali się w pokoju przesłuchań na piętrze dziewiętnastego posterunku.

Nie było to miejsce obce Pinerowi, toteż wiedział, że jest obserwowany i nagrywany. Nie odzywał się do adwokata i patrzył prosto w lustro weneckie. Uśmiech na jego przystojnej, rumianej twarzy mówił:

„Oto ja, ludziska. Gapcie się na mnie do woli!”.

– Taa, puśćmy mu taśmę – powiedział drugi głos za plecami Sorrena, głos detektywa Marka Forda. – Pinero ma właśnie wrócić na odczytanie wyroku. Jeśli chcemy z nim zawrzeć ugodę, to tylko teraz. Wyjątkowo zgadzam się w tym przypadku z Kimberly Joe.

Detektyw pierwszej klasy Ford i Green, mówiąc ogólnie, pozostawali w nie najlepszych stosunkach. Mieli za sobą wiele kłótni i nieporozumień, ale oboje doceniali swoje kompetencje zawodowe. W organach ścigania szacunek, nawet zabarwiony niechęcią, był czymś bardzo ważnym.

Sorren odwrócił się wreszcie do Green i Forda. Czuł ogarniający go, sięgający głowy żar.

– Ugodę? Ni cholery – powiedział. – Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek zagwarantował nietykalność temu skurwielowi.

– Ale...

Sorren nie dopuścił Green do głosu.

– Zamach na Marcozzę doprowadził do śmierci dwóch detektywów. Dwóch porządnych ludzi, żonatych, z dziećmi. Siódemką dzieci. Nie, chcę mieć Pinera na jeden tylko sposób. Chcę mieć jego głowę na tacy.

Bardziej jednak niż słowa znaczący był sposób, w jaki je wypowiadał.

Zaciśnięte zęby.

Nieruchome spojrzenie.

Jakby życie wszystkich w pokoju zależało od tej właśnie sprawy.

– Jezu, czy ja mówiłam o nietykalności? Ciekawe, co miałam na myśli? – zażartowała Green, odwołując się do swojego przewrotnego poczucia humoru. Zastępczyni prokuratora okręgowego była wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, kiedy nie dyskutować z szefem. – Okay, odtwórzmy taśmę i zaczekajmy, co z tego wyniknie. Kto wie? Może Pinero sam wykopie sobie grób.

Grymas na twarzy Sorrena powoli przeistoczył się w uśmiech zadowolenia.

– I o to chodzi – powiedział. – Dajmy więc palantowi łopatę.

Rozdział 31

Na widok trojga ludzi wchodzących do pokoju przesłuchań Eddie Pinero poprawił mankiet kupionej u Armaniego koszuli z wykładanym kołnierzykiem. A to kto? Trójka pajaców!

Gdyby mógł zakatrupić każde z nich po kolei i nie ponieść kary – zrobiłby to. Z rozkoszą. Osobiście nacisnąłby spust i uśmiechałby się przy tym.

Zwłaszcza gdyby przyszła kolej na Sorrena, tego niedorobionego Eliota Nessa⁴ z wielkimi aspiracjami!

Pinero miał pewność, że gdyby nie forsowane przez prokuratora okręgowego obostrzenia w stosunku do przestępczości zorganizowanej, nie czekałaby go teraz odsiadka – od dwóch do czterech lat w więzieniu stanowym. Oczywiście to jego były adwokat, Marcozza, w znacznym stopniu przyczynił się do tej sytuacji. Pinero nadal nie pojmował, jak jego *consigliere* mógł dopuścić do skazania go z bzdurnego oskarżenia o uprawianie lichwy. Podczas procesu Marcozza zachowywał się tak, jakby olewał całą tę sprawę.

Teraz Pinero miał nowego adwokata, Conrada Hageya, wśród nowojorskich obrońców znanego jako „Rycerz w białym kołnierzyku”. Do-
tąd jego klientami były grube ryby z Wall Street i dyrektorzy generalni korporacji, głównie biali Anglosasi wyznania protestanckiego. Prawdę mówiąc, Hagey początkowo odrzucił propozycję reprezentowania Pine-
ra, gdyż nie chciał narażać na szwank swojego wizerunku.

Wtedy to Pinero wyjął z kieszeni książeczkę czekową i wysadzane diamentami pióro marki Montblanc. Pół tuzina zer później wysoki, chudy Hagey nagle zmienił zdanie. Zabawnie się plecie na tym bożym świecie.

⁴ Eliot Ness – dowódca oddziału walczącego z gangiem Ala Capone.

– Panowie – zaczął Hagey – chciałbym prosić o odnotowanie faktu, że mój klient przybył tu dobrowolnie i, oczywiście, wyjdzie stąd z własnej woli. Ponadto zakładam, że jedynym powodem jego obecności tutaj jest udzielenie odpowiedzi na pytania dotyczące śmierci...

– Zamordowania – przerwał mu Sorren.

– Przepraszam?

– Vincent Marcozza został zamordowany. Podobnie jak dwaj funkcjonariusze policji miasta Nowy Jork. Wszyscy trzej zostali zamordowani.

– Sercem jestem z rodzinami ich wszystkich – oznajmił Pinero, włączając się do rozmowy.

– Na pewno – z drwiącym uśmieszkiem odrzekł Sorren. – Jest pan tym po prostu wstrząśnięty.

Hagey chciał kontynuować swoje wystąpienie, ale Pinero machnął ręką i zarządził:

– Przejdźmy do pytań. – Następnie zwrócił się do Sorrena: – Pasuje, panie burmistrzu?

Sorren uśmiechnął się, ale poza tym nie zareagował na przytyk. Chciał przycisnąć Pinera, a nie dyskutować na temat własnych aspiracji politycznych. W rzeczy samej – przejdźmy do pytań.

– Czy domyśla się pan, kto mógłby chcieć śmierci Vincenta Marcozzy? – zapytał na początek. – To znaczy poza panem?

– Kochałem Vincenta – odparł Pinero. – Byliśmy bardzo blisko, przez wiele lat.

– Nawet po tym, jak całkowicie spartaczył pańską obronę? Chodzi o to, że naprawdę dał plamę, nie dał panu szans. Zresztą po co to panu mówię, pan tam był.

Pinero odwrócił się ku Kimberly Joe Green, zastępczyni prokuratora okręgowego. Green oskarżała w jego procesie.

– Pani szef wyraźnie nie pokłada w pani zbyt wiele wiary. Green nie chwyciła przynęty. Czekala po prostu, aż Sorren podejmie przesłuchanie, co też uczynił.

– Chodzi o to, panie Pinero, że skoro Marcozza był panu tak bliski,

kto byłby na tyle szalony, by go zabić i sprawić panu taką przykrość? – zapytał.

– Cholernie dobre pytanie. Chyba będę musiał pooglądać wiadomości, żeby się dowiedzieć – odparł Pinero. – A przy okazji, jak się miewa pańska dziennikareczka, Brenda Evans? Trafiła się panu milusia kobitka, że tak powiem. – Z rękami skrzyżowanymi na piersi pochylił się nad metalowym stołem.

– Naprawdę uważa pan, że byłbym tak głupi, żeby załatwić własnego adwokata?

Sorren obojętnie wzruszył ramionami.

– Tak głupi? Tego nie wiem. Taki wściekły? Może. – Zwrócił się do Hageya. – Niech pan uważa na tego człowieka, mecenasie. Albo niech pan zadba o to, żeby nigdy nie przegrywać jego spraw. Takich jak ta.

– Nie ma obawy – odparł Hagey, były skrzydłowy koszykarskiej drużyny Princeton University. Na boisku przyjął wiele ciosów łokciem, z rzadka tylko się rewanżując. – Wszystko, co tu dotąd usłyszałem, to tylko dużo gadaniny i zero dowodów. Pamiętaj pan, co to jest dowód, prawda, panie Sorren?

– W rzeczy samej, pamiętam – odparł Sorren. – Nie tylko pamiętam, ja go mam.

Pinero ryknął śmiechem. Głośnym, dobywającym się z trzewi, jakby siedział w pierwszym rzędzie Caroline's Comedy Club. Śmiał się, dopóki wszyscy obecni w pokoju przesłuchań nie spuścili z niego wzroku.

To była ostatnia rzecz, jakiej Sorren by się po nim spodziewał. No, może przedostatnia.

Ostatnią było to, co nastąpiło potem.

– A poznamy ten dowód, kiedy puści nam pan nagranie z Lombardo's? – zapytał Pinero. – Jezu, nie mogę już się doczekać.

Wyraz twarzy Sorrena mówił wszystko. Prokurator nie był w stanie ukryć swoich uczuć. Skąd, u licha, on wie o nagraniu?

Pinero znów poprawił mankiet koszuli, z uśmiechem satysfakcji tak szerokim, że odsłaniał pokryte ceramiczną koroną zęby trzonowe, i odchylił się na oparcie krzesła.

– Co jest, panie Sorren? – zapytał. – Zapomniał pan języka w gębie?

Rozdział 32

– Wezmę jednego hot doga ze wszystkimi dodatkami – powiedziałem. Kulinarni snobi stwierdziliby, że zamawianie hot doga na nowojorskiej ulicy to jak gra w rosyjską ruletkę ze swoim układem pokarmowym. Może i tak. Ale jak inaczej sprawdzić, czy trawi się to miasto, czy nie?

Nigdy dotąd nie chorowałem. No, może raz. Ale to było na promie do Staten Island.

Właśnie minęło południe, a ja przed chwilą wyszedłem z redakcji „Daily News”, gdzie od pracującego tam kumpla, Iry, odebrałem komplet biletów na mecze Jankesów. Przed laty pomogłem mu zatrudnić się w tej gazecie w charakterze dziennikarza sportowego. Od tamtej pory regularnie lokował mnie w pierwszym rzędzie za stanowiskiem trenera Jankesów, tuż obok miejsca, gdzie zawsze siaduje Rudy Giuliani. To takie moje *quid pro quo*.

– Proszę – powiedział sprzedawca hot dogów z za swojego wózka. Najwyraźniej praca była dla niego źródłem satysfakcji, gdyż obdarował mnie arcydziełem z doskonale ułożonej cebuli, keczupu, musztardy i kiszzonej kapusty. Przyjąłem je z nadzieją, że gdzieś pod tym wszystkim znajduje się parówka.

Nie żeby to w tej chwili miało dla mnie znaczenie. Umierałem z głodu, przepracowawszy porę śniadaniową. Miał to być mój pierwszy posiłek od rana, więc kiedy ruszyłem Zachodnią Trzydziestą Trzecią, nie mogłem się doczekać chwili, gdy zatopię w nim zęby.

I właśnie wtedy usłyszałem za plecami męski głos:

– Hej, czy ty nie jesteś Nick Daniels?

Raczej rzadko bywam rozpoznawany na ulicy. Zdarza mi się to raz – dwa razy w roku, głównie dlatego, że moje zdjęcie co tydzień pojawia się w dziale współpracowników magazynu „Citizen”.

Skłamałbym, twierdząc, że tego rodzaju doznania nie łechtały mojej próżności, ale ten facet wybrał się bardzo nie w porę.

Odwrociłem się z hot dogiem w garści, modląc się, żeby nie zechciał wdać się w rozmowę na temat jakiegoś napisanego przeze mnie artykułu.

Okazało się, że na dobrą sprawę wcale nie chciał ze mną rozmawiać.

Przede mną stał wielki jak szafa facet w ciemnych okularach i bluzie od dresu New York Knicks. Przynajmniej wydawało mi się, że to dres knicksów – pomarańczowo-niebieskie logo wyblakło, bardziej nawet niż sama drużyna po przejściu jej przez Jamesa Dolana.

– Taa, jestem Nick Daniels – odpowiedziałem. – O co chodzi?

– Właż, kurwa, do samochodu! – brzmiała odpowiedź.

Hę? Co proszę?

Ruchem głowy facet wskazał poobijaną czarną furgonetkę zaparkowaną przy krawężniku. Boczne drzwi miała już otwarte. W formie zachęty facet uniósł nieco bluzę, odsłaniając pistolet wetknięty między dżinsy a pękaty brzuch.

Zmartwiałem. Czy to naprawdę się dzieje? Tu, w biały dzień?

Tak, cholera, działo się.

Na wypadek gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości, facet wytrącił mi z ręki hot doga. Chlap! Cebula, keczup, musztarda i kiszona kapusta wylądowały na chodniku.

I tym sposobem w środku Manhattanu powstała jeszcze jedna brzydka, lepka plama.

Ja.

Jechałem „na przejazdzkę”.

Rozdział 33

Więc to już teraz, w kółko powtarzałem w myślach. To tak umrę. Ale numer.

Nie podczas ucieczki przed džandżawidzką milicją w Darfurze ani na dur brzuszny, na który przed kilkoma laty zapadłem w Indiach podczas pisania artykułu o premierze Manmohanie Singhu.

Nie, zejdę na własnym podwórku, w Nowym Jorku. A wszystko z powodu nagrania, którego wcale nie zamierzałem dokonać.

Rany boskie, w jaki sposób Eddie Pinero dowiedział się o mnie tak szybko? Tylko czy to naprawdę takie dziwne? Na swojej liście płac miał pewnie więcej ludzi niż cała nowojorska policja.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytałem. Siedziałem na blaszanej podłodze w tyle pozbawionej okien furgonetki. Siedzeń nie było.

Zabrakło także odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie.

Mój konwojent w dresie knicksów siedział obok kierowcy. W milczeniu przyglądał mi się przez ciemne okulary. Po tym, jak zażądał mojej komórki – którą mu niechętnie wręczyłem – nie odezwał się ani słowem.

Podobnie jak kierowca, rosły młodzian o twarzy dziecka, przynajmniej z profilu. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia jeden lat. Na prawym ramieniu miał duży, najwyraźniej niedawno wykonany tatuaż w formie znaku firmowego Harleya-Davidsona. Jaskrawopomarańczowa barwa sprawiała, że atrament robił wrażenie jeszcze wilgotnego.

Ponownie spytałem, dokąd jedziemy. Milczeli. Uświadomiłem sobie, iż może być coś bardziej przerażającego, niż usłyszeć, że jedzie się na śmierć.

Niczego nie usłyszeć.

Przez dwadzieścia minut w panice siedziałem beczynn timerem tylko ze swymi myślami. Z podłogi furgonetki nie widziałem przedniego okna,

ale domyślałem się, że wyjechaliśmy poza miasto; samochód poruszał się zbyt szybko. Wóz był stary, o niesprawnym zawieszaniu. Czułem każdy wstrząs, każdą dziurę w jezdni.

Jedziemy na jakieś nieczynne wysypisko śmieci gdzieś na uboczu, tak?

Byłem niemal pewien, że wiozą mnie w takie miejsce. Poza Brooklyn. Donikąd. Prawie czułem unoszący się tam smród, gęsty niczym mgła.

„Na kolana!” – rozkaże jeden z nich. Słyszałem już w głowie te słowa, wypowiedziane zimnym, bezlitosnym tonem.

Czy każą mi się odwrócić?

Nie, cholera, nie te pokręcone sukinsyny. Nie, jeśli pracowali dla Eddiego Pinera. Strzelą do mnie od przodu, wpakują kulę w mózg. Prawdopodobnie patrząc prosto w oczy.

O Boże! Moje oczy! Czy zamierzają wydłubać mi oczy?

Zacząłem się pocić, trząsałem się odrobinę i robiłem w portki ze strachu. Przede wszystkim jednak żywiłem przekonanie, że muszę coś zrobić, żeby uciec tym dwóm gorylom.

Ale co? Mieli moją komórkę, przynajmniej jeden był uzbrojony. Co więc mógłbym zrobić?

Otóż to, uświadomiłem sobie nagle.

Skoczyć i się poturlać! Powtórka z występu na pustyni.

Przed sobą miałem klamkę odsuwanych drzwi furgonetki. Gdybym ją złapał, nim pan Knicks zdoła mnie powstrzymać, wyskoczyłbym i może udałoby mi się uciec, przeżyć i zaliczyć jeszcze jeden dzień na tym świecie.

Rzecz jasna, najpierw musiałem przeżyć sam skok. A tym razem nie było mowy o lądowaniu na pustynnym piasku Darfuru.

Niemniej to przedsięwzięcie dawało mi większe szanse niż pozostawanie w furgonetce, nie? Tu moje szanse malały. Nie mogłem się jednak zdecydować na wyskoczenie z pędzącego samochodu. No bo jak?

Ano tak – musiałem to zrobić.

A więc niech będzie.

Oto jak nie umrę...

Odetchnąłem głęboko, napęlniając płuca powietrzem, a serce biło mi tak głośno, jakby samo było przerażone.

Powoli, niby bezwiednie, przesunąłem prawą nogę tak, by móc rzucić się ku kłamce. Nie będzie powtórek, drugich szans. Tylko jedna próba.

Na jeden, Nick, dobra? Uda ci się. Już to robiłeś... Odliczałem w myślach, a adrenalina buzowała w każdej komórce mojego ciała.

Trzy...

Dwa...

Jeden...

Rozdział 34

Stop!

Furgonetka z piskiem opon weszła nagle w ostry zakręt i wpadła w poślizg na żwirowej – sądząc po odgłosach – nawierzchni.

Pan Harley-Davidson bynajmniej nie wcisnął hamulca; on go brutalnie kopnął. Reszty dokonała trzecia zasada dynamiki Newtona. Głową do przodu poleciałem na blaszaną podłogę wozu.

Potem ujrzałem jednak nie migoczące gwiazdki i ćwierkające kanariki, lecz blask słońca, gdyż odsuwane drzwi z boku furgonetki otworzyły się z piskiem.

Następnie opromieniony tym blaskiem pojawił się komitet powitalny w jednej osobie.

Eddie „Książę” Pinero.

Gestem nakazał mi wysiąść z samochodu. Posłuchałem, a on wyciągnął rękę, by mi pomóc.

Wyciąga pomocną dłoń? To nie trzyma się kupy. Co tu się dzieje?

„Tu”, jak się szybko zorientowałem, oznaczało podjazd wiodący do jego domu. Może niezupełnie domu, raczej posiadłości. Rozległy, bujny ogród, widok na wodę, a wszystko otoczone ogrodzeniem z kutego żelaza i potężnym murem oraz chronione przez armię uzbrojonych wartowników. W sumie posiadłość przywodziła mi na myśl coś pośredniego między siedzibami rodów Kennedych i Corleone.

– Dziękuję za przybycie na spotkanie, panie Daniels – powiedział Pinero. – Jestem zobowiązany.

– Jakbym miał jakiś wybór – odparłem i natychmiast tego pożałowałem.

Pinero jednak wydawał się rozbawiony. Uśmiechnął się w każdym razie.

– Mam nadzieję, że nie odniósł pan mylnego wrażenia. Chciałem po

prostu porozmawiać z panem w cztery oczy – powiedział. – Napije się pan? Może laphroaig? Piętnastoletniej?

Wiedział, co pijam. Co jeszcze o mnie wiedział?

– Okay, jasne. Może być laphroaig.

Pinero skinął na pana Knicksa, który zniknął we wnętrzu ogromnego domu w stylu Tudorów pyszniącego się wspaniałą, okalającą całą budowlę werandą. Kilka minut później popijałem z kryształowej szklanki szczerze napełnionej laphroaig i ozdobionej inicjałami E.P.

Po raz pierwszy od znalezienia się w furgonetce pozwoliłem sobie pomyśleć, że być może dożyję jutra. Niemniej nadal daleko mi było do spokoju. Nie znalazłem się tutaj, żeby dyskutować z Pinerem o pogodzie lub o zakończeniu *Rodziny Soprano*.

Czy załatwili Tony'ego? Jak pan sądzi?

– Chodź, Nick, przejdźmy się. Zabierz swojego drinka – powiedział Pinero. – Muszę z tobą porozmawiać. Nie martw się, nic ci się nie stanie. Jesteś ze mną całkowicie bezpieczny.

Rozdział 35

Pociągnąłem kolejny łyk szkockiej i wtedy spostrzegłem, że Pinero nie pije ze mną. Spostrzegłem też, że nie ma na sobie jednego ze swych eleganckich garniturów z charakterystyczną czarną chusteczką w kieszonce. Na to zaś, co miał na sobie, trudno było nie zwrócić uwagi. Szedłem za Pinerem, ubranym w ciemnoniebieski dres firmy Fila, aż na skraj wody, gdzie niewielkie fale Rockaway Inlet uderzały o falochron jego posiadłości. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Powoli wydymuchał dym na wiatr od morza.

– Tamtego dnia w Lombardo's – zaczął, nieznacznie skinąwszy głową – byłeś świadkiem dość przerażającej sceny, Nick. Nie każdy z tych, którzy stali się świadkami morderstwa, znajdował się tak blisko sceny wydarzeń. To może wyprowadzić z równowagi, nieprawdaż?

– „Wyprowadzić z równowagi” to w tym przypadku doskonałe określenie – odparłem.

– Doskonałe określenie? Potraktuję to jako komplement, jesteś przecież znakomitym pisarzem. A więc byłeś tam, żeby przeprowadzić wywiad z Dwayne'em Robinsonem?

– Tak.

Smutno pokręcił głową.

– Przykra historia. Taki talent się zmarnował. Wielka szkoda.

Nic na to nie odpowiedziałem. Całkowicie pochłonęło mnie zastanawianie się, dokąd prowadzi ta rozmowa. Pinero najwyraźniej wiedział o istnieniu nagrania i o tym, co to dla niego oznaczało. Miał odsiedzieć niewielki wyrok za uprawianie lichwy, a teraz stanął w obliczu oskarżenia o morderstwo. Co zatem miał mi do powiedzenia?

Postanowiłem przerwać to pieprzenie i po prostu go zapytać.

– Panie Pinero, dlaczego, konkretnie, się tu znalazłem?

Człowiek zwany „Księciem” ponownie zaciągnął się papierosem.

Przez cały czas patrzył mi w oczy. Chyba nawet nie mrugał. Następnie spokojnie mi wszystko wyjaśnił.

Wcale nie chciał mnie zabić. Chciał mi pomóc.

A przynajmniej mnie ostrzec.

– Nick, zostałem wrobiony – powiedział. – A to oznacza, że ty też zostałeś wrobiony. Chciałbym, żebyś mi pomógł ustalić, kto nas obu wydymał. Pomóżmy sobie nawzajem, Nick.

Rozdział 36

Zdrowy rozsądek natychmiast mi podpowiedział, że przecież Eddie Pinero to stary cwaniak, nawykły do wciskania ludziom kitu najwyższej jakości. Był w końcu osławionym bossem przestępczej rodziny, niezupełnie ucieleśnieniem cnót moralnych. Ewidentnie próbował pobudzić mój dziennikarski instynkt w nadziei, że znacznie dokładniej przyjrzę się wydarzeniom w Lombardo's. Jeśli nie mógł dowieść własnej niewinności, może mnie się uda.

W sumie wszystko było niewiarygodnie jasne. Chodzi o to, że mnie poruszyło. A przynajmniej zmusiło do myślenia. Facet w zasadzie kazał mnie porwać swoim zbirom, ale bynajmniej nie poszedłem prosto na policję. Co miałem zrobić, wnieść oskarżenie?

Nie wniosłem, natomiast jakaś niewidzialna siła jeszcze tego samego dnia zawiodła mnie do Lombardo's Steakhouse.

Nadal nic nie jadłem, ale chwilowo nie w głowie mi były steki.

Czułem w trzewiach, że kiedy byłem tu po raz pierwszy, żeby przeprowadzić wywiad z Dwayne'em Robinsonem, coś było nie w porządku. Czy raczej wszystko za bardzo było w porządku.

Za bardzo cacy.

I dlatego wróciłem do restauracji, by zobaczyć się ze swoją nową przyjaciółką – Tiffany.

Spotkaliśmy się w drzwiach. Dochodziła piętnasta trzydzieści; pora lunchu minęła. Lokal był prawie pusty.

– Masz chwilkę? – zapytałem. – Przepraszam, że znów zawracam ci głowę. Wiem, jestem strasznie upierdliwy.

– Jasne. O co chodzi?

Tylko że to „jasne” wypadło bardzo nieprzekonująco. Wydawała się zaniepokojona moim widokiem, obejrzała się nawet przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie widzi.

– Hej, wszystko w porządku? – zapytałem.

– Co? – mruknęła, na powrót odwracając się w moją stronę. – Och... eee... tak, w porządku.

Nie kupiłem tego, ale drążyłem dalej.

– Miałem nadzieję, że mogłabyś coś dla mnie sprawdzić – powiedziałem. – Wspomniałaś, że dzień przed zamordowaniem Vincenta Marcozzy Dwayne Robinson wszedł do restauracji, ale nie usiadł przy stoliku. Czy tego dnia Marcozza jadł tutaj lunch?

– Prawdopodobnie – odparła szybko. – Prawie codziennie jadł tutaj lunch. Czasem też obiad. Pan Marcozza był dobrym klientem.

– Czy dla pewności możesz to jakoś sprawdzić? Chodzi o dzień przed dniem zabójstwa. Może w książce rezerwacji.

Znów wyglądała na zbitą z tropu. Jakby nie była przygotowana na to pytanie. Co się dzieje, Tiffany? Po kolejnym zerknięciu przez ramię, gestem poleciła mi pójść za sobą.

Staliśmy nad książką rezerwacji.

– To był czwartek, prawda? – zapytała.

Potwierdziłem skinieniem głowy i patrzyłem, jak odwraca kartki, jak jej pomalowany czerwonym lakierem paznokieć palca wskazującego sunie w dół listy rezerwacji na tamten dzień. Uruchomiłem swój dar czytania tekstu odwróconego do góry nogami i również szukałem nazwiska Marcozzy.

Nie znalazłem. Tiffany też nie.

– Hm. Chyba nie było go tutaj tego dnia – powiedziała. – Jak na niego to dość niezwykle.

– Kogo i którego dnia tutaj nie było? – dobiegło zza pleców Tiffany rzucone ostrym tonem pytanie.

Rozdział 37

Zadał je kierownik Lombardo's. Jack? Nie, chyba Jason. Wnosząc jednak z tonu jego głosu, równie dobrze mógłby się nazywać Pan Po Królewsku Wkurzony. Tiffany skamieniała niczym jelen' pochwycony w strugę światła samochodowych reflektorów.

Uznałem to za sygnał do rozpoczęcia akcji mediacyjnej.

– Moja wina. Chciałem tylko sprawdzić, czy Vincent Marcozza jadł tutaj dzień przed śmiercią. To wszystko. Nie chodziło o nic złego.

Spodziewałem się, że facet zapyta, dlaczego mnie to interesuje. Ale nie. Oznajmił natomiast:

– Rezerwacje poczynione przez naszych gości objęte są klauzulą poufności. Taka jest polityka restauracji, panie Daniels.

Jason znał moje nazwisko. Dość dziwne. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, nie wymieniliśmy wizytówek.

– W takim razie przepraszam – odparłem. – Nie wiedziałem.

– Owszem, ale Tiffany wiedziała – powiedział, spoglądając na dziewczynę.

Przepraszającym gestem uniosła dłonie.

– Jason, wiem, że mówiłeś...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał jej.

– Ale...

– Zamknij się! – warknął na biedną dziewczynę. – Jesteś zwolniona.

Zwolniona? Chyba, facet, żartujesz.

– Co pan wyprawia? Próbowала mi tylko pomóc – stwierdziłem nieco osłupiały. – Ja też byłem tu jako klient. Właściwie to jestem klientem. Akurat miałem zamówić stek.

Mój nowy serdeczny przyjaciel, Jason, rzucił mi mordercze spojrzenie.

– Mówiłem do ciebie?

– Teraz mówisz.

– W takim razie – wycedził przez zaciśnięte zęby – słuchaj mnie bardzo uważnie, okay? Spierdzielaj z mojej restauracji. I nie wracaj.

A mówią, że klient zawsze ma rację. A przynajmniej jest tolerowany.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem. – Wezwać gliny?

– Nie wezwę, jeśli ty nie wezwiesz – odpalił.

Nie miałem przyjemności występować w roli doradcy technicznego przy kręceniu *Podziemnego kręgu*, ale zdarzało mi się uczestniczyć w bójkach, toteż aż nadto dobrze wiedziałem, do czego zmierza. Ten fiut rzucał mi wyzwanie. Spokojnie, Nick. Przede wszystkim dyplomacja.

– Słuchaj, przecież ta sytuacja nie musi wymknąć się nam spod kontroli.

Ledwie to powiedziałem, złapał mnie nagle za klapy kurtki i popchnął.

– Chyba mnie nie słuchałeś – warknął.

O, słuchałem uważnie...

Pieprzyć dyplomację!

Wparłem obcasy w podłogę i odpowiedziałem mu pchnięciem, dokładnie takim, na jakie zasłużył. Wtedy zacisnął pięści, uniósł rękę. Nie spodziewanie zapachniało hokejowym meczem rangersów w Madison Square Garden.

Rękawice zostały rzucone, czy tego chciałem, czy nie.

Klap!

Prawą ręką pacnął mnie w policzek. Cios był frajerski, kompletnie nie na miejscu. Wyprowadziłem więc własny, ale poszedł w powietrze. Jason nie był duży, lecz szybki. Za szybki, by warto było wdawać się z nim w wymianę ciosów.

Pora zacząć improwizować.

– Uważaj, Nick! – zza lin ringu zawołała Tiffany. Ano, taki właśnie miałem zamiar.

Opuściłem głowę, rzuciłem się prosto na niego i pochwyciłem go w pasie. Włcieliśmy do sali jadalnej, jego stopy ledwie dotykały podłogi, bo napierałem na niego nieprzerwanie niczym szarżujący footballowy

obrońca.

Potem – trzask!

Stolik dla dwóch osób, proszę!

Niech będą dwa stoliki. Załatwiliśmy pierwszy i sunęliśmy dalej, by wylądować na kolejnym, stojącym za nim. Upadliśmy na podłogę, a talerze i sztuce fruwały nam nad głowami. Tarzaliśmy się tam i z powrotem, wymieniając ciosy.

Zadałem ich dużo więcej, niż zainkasowałem. Wyszedł mi zwłaszcza prawa na szczękę Jasona. I kolejny prawa podbródkowy.

– Sam się o to prosiłeś! – wrzasnąłem mu w twarz. – Trzeba było nie zaczynać.

Ha, to było nawet lepsze niż bijatyka na hokejowym lodowisku. Gdybyśmy znajdowali się na lodzie, sędziowie już dawno by nas rozdzielili.

A tu nic z tych rzeczy.

Jason i ja dopiero się rozgrzewaliśmy.

Rozdział 38

– Ale ci się trafił tydzień – powiedziała Courtney, mokrym papierowym ręcznikiem delikatnie wycierając zaschniętą krew spod mojego nosa. – Jeszcze trochę i w sklepach z zabawkami obok figurek Batmana i Spidermana pojawią się figurki Nicka.

Siedzieliśmy na kanapie w moim gabinecie w redakcji „Citizena”. Ja robiłem za pacjenta, Courtney – za troskliwą, a przy tym całkiem niebrzydką pielęgniarkę. O zaskakująco delikatnym dotyku. Miała na sobie garsonkę od Chanel.

Okazało się, że jednak swego rodzaju sędziowie przerwali walkę. Zastępca kierownika i pomywacz usłyszeli hałas i przybiegli z kuchni. Inaczej na pewno odniósłbym znakomite zwycięstwo na punkty.

Tak to widzę i nie zamierzam zmieniać zdania!

Przynajmniej kiedy będę opowiadał o wszystkim chłopakom z pubu U Jimmy’ego D. Courtney to inna sprawa. Ani myślałem lekceważyć ten nagły przypływ ciepłej i tkliwej sympatii. Taki głupi nie jestem. Poza tym jestem w niej zakochany. Głęboko i, jak sędzę, beznadziejnie.

– Myślę, że zawsze byłem raczej kochankiem niż wojownikiem – oświadczyłem, przewracając oczami.

– Biedactwo – zagruchała Courtney, włączając się do gry. – Dlaczego ten kierownik zaczął się z tobą bić?

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Wszystko to jest bardzo dziwne. Tajemnica na tajemnicy i tajemnicą pogania.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Jason wykonywał czyjeś rozkazy. Ktoś nie chciał, bym węszył w restauracji. Ale kto?

To było tylko jedno z wielu pytań, jakie nurtowały mnie od chwili znalezienia nagrania z Lombardo’s.

Ale kiedy odchyliłem głowę na oparcie kanapy i przymknąłem oczy, mogłem myśleć tylko o jednym: jak zachwycająca była Courtney. Sie-

działa tuż przy mnie, jej włosy muskały moje ramię. W końcu nie wytrzymałem.

– Kocham cię – wyrzuciłem z siebie.

Powiedziałem to. O tak: łubudu! Nie myślałem. I chyba o to chodzi.

Przez sekundę żyła we mnie nadzieja, że Courtney powie: „Ja też cię kocham”. W następnej jednak sekundzie ta nadzieja legła w gruzach. Zrobiło się tak, jakbym nagle zaraził się wirusem Ebola albo świńską grypą.

Courtney zerwała się z kanapy i rzuciła się w przeciwny kraniec gabinetu. Pokręciła głową.

– Nie, nie, nie – powiedziała. – Nie mów tego, Nick. Żałuję, że to powiedziałeś. Naprawdę.

– Dlaczego, Courtney? Powiedz dlaczego.

– Och, na miłość boską, Nick, ponieważ jestem zaręczona!

– Ale ty go nie kochasz.

– Mylisz się, Nick. Kocham go. Bardzo kocham Toma. Jej słowa sprawiały mi ból większy niż wszystkie odebrane przed chwilą razy, ale nie zamierzałem się już zatrzymać. Zbyt wiele dla mnie znaczyła. Jeśli wcześniej tego nie wiedziałem, teraz nabrałem pewności.

– Nie wierzę ci – powiedziałem. – Przykro mi, ale nie wierzę.

– Musisz, Nick.

– Nie. To ty może chcesz wierzyć, że go kochasz. Patrzyłem na nią. Nic więcej nie mogłem zrobić. Znowu pojawił się wielki biały słoń. Nie dążyłem do tego, co się stało, ona też nie. Ale się stało. Spaliśmy ze sobą. Kochaliśmy się.

I było w tym nie tylko pożądanie – choć, przyznaję, odegrało jakąś rolę – ale i miłość. Zbliżyliśmy się do siebie. Bardzo. Rozmawialiśmy do świtu.

– Mówiłam ci, że to był błąd – stwierdziła.

– Nie czułem, że to błąd. W każdym razie nie dla mnie.

– Ale dla mnie tak, Nick.

Wstałem z kanapy. To też bolało.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytałem. Rozpaczliwie starałem się, by

w moich oczach nie pojawiło się błaganie.

– Tak – odparła.

– Jesteś pewna? – zapytałem i postąpiłem krok w jej stronę.

Uniosła rękę.

– Stój – powiedziała. – Nie zbliżaj się.

Zrobiłem następny krok. Tym razem nie powiedziała „stój” ani „nie zbliżaj się”. Nic nie powiedziała. Patrzyła tylko na mnie tymi zachwycającymi niebieskimi oczyma.

Ale nim zrobiłem kolejny krok, drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie.

– Tu jesteś! – zawołał Thomas Ferramore, narzeczony Courtney, mężczyzna, którego – jak powiedziała – darzyła miłością.

Rozdział 39

Chyba nie mogłem mieć mu za złe ani tego, że nie zapukał, ani tego, że znalazłszy się w gabinecie, natychmiast zaczął się zachowywać jak jego właściciel. Thomas Ferramore był właścicielem „mojego” gabinetu. Dosłownie. A właściwie całego budynku. Jak skuteczniej miał obniżyć czynsz za lokal należącego do siebie, „Citizena”, niż kupując budynek, w którym ów „Citizen” się mieścił?

Stałem i przyglądałem się, jak Ferramore – szpakowate włosy, wieczna opalenizna – podchodzi do Courtney i składa pocałunek na jej ustach. Trwało to całą wieczność i pewnie by trwało, gdyby Courtney się w końcu nie cofnęła.

– Co tu robisz, Tom? – zapytała.

Bardzo dobre pytanie. Czy Ferramore nie zdawał sobie sprawy z tego, że Courtney i ja właśnie się w sobie zakochujemy?

– A co miałbym robić? Przyszedłem spotkać się z najpiękniejszą kobietą na świecie.

– Wiesz, o co mi chodzi – odrzekła, żartobliwie przewracając oczami. (Fuj). – Mówiłeś, że wracasz dopiero jutro.

– Zmiana planów – powiedział Ferramore. – Nie cieszy cię mój widok?

– Oczywiście, że cieszy. Dlaczego miałby nie cieszyć? Nawet tu, w pracy.

Powinien nadal przebywać w Paryżu, dokonując zakupów.

O ile wiedziałem, kupował wieżę Eiffla.

A teraz znajdował się w moim gabinecie. Wie pan, że to mój gabinet, panie Ferramore, prawda? I że tu jestem, też pan wie?

Wyglądało na to, że nie wiedział.

Dopóki Courtney nie posłała mi najbardziej zmieszanego spojrzenia na świecie. Nie powiedziała ani słowa, ale bez trudu czytałem w jej my-

ślach. Jak pierwszą linijkę na tablicy Snellena. Czy mój narzeczony wszedł tu w chwili, gdy inny mężczyzna wyznawał mi miłość?

A tak, pewnie, że tak.

– Przepraszam, Nick, nie zauważyłem cię – powiedział Ferramore, a potem przyjrzał mi się zmrużonymi oczyma. – Kurczę blade, co się stało z twoją twarzą?

– Powinieneś zobaczyć tamtego faceta. – W tym przypadku odkurzenie starego żartu było jak najbardziej na miejscu.

Ferramore zachichotał cicho, pewnie żeby sprawić mi przyjemność, ale kiedy znów całą uwagę skupił na Courtney, stało się jasne, że nie mógł głębiej mieć w nosie tego, co mi się właściwie przydarzyło.

Wyciągnął ręce i ujął obie dłonie Courtney. (Jeszcze raz: fuj).

– Prawdę mówiąc, kochanie, muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Odebrałem to jako wskazówkę dla siebie. (*Psia mać*).

– Zostawię was – powiedziałem, ruszając w stronę drzwi.

– Nonsens. To twój gabinet, Nick – zaprotestowała Courtney. – Chodźmy do mnie, Tom. Nick ma mnóstwo pracy.

Nim jednak Ferramore zdążył skinąć głową na zgodę, rozległ się sygnał telefonu Courtney. Odruchowo sięgnęła do kieszeni żakietu od Chanel, by sprawdzić, kto dzwoni.

Niespodziewanie w Ferramorzę dokonała się niesamowita przemiana. Wyglądał na zaniepokojonego i zmartwionego. Co tu się działo? Czy chodziło o mnie? Czy o Courtney i o mnie?

– Kto dzwoni? – zapytał.

Przez chwilę Courtney wydawała się zakłopotana, że chce to wiedzieć, nie mówiąc już o tak obcesowym wypytywaniu.

– Harold Clark – odparła w końcu.

Clark był doświadczonym reporterem Associated Press. Nosił przydomek „Baskin”, od Baskin-Robbins. Innymi słowy, znany był ze swoich rewelacyjnych doniesień.

– Nie odbieraj! – niemal krzyknął Ferramore.

– Dlaczego? – zdziwiła się Courtney. – Co się dzieje, Tom?

– O tym właśnie muszę z tobą porozmawiać, kochanie.

Rozdział 40

– Jeszcze kawy, Nick? – zapytała następnego ranka kelnerka stojąca za barem Sunrise Diner. Czekala na moją odpowiedź ze szklanym dzbankiem w dłoni, gotowa napełnić mi filiżankę.

– Koniecznie – odparłem. – Dziękuję, Roso. – Dziś będę potrzebował dodatkowego zastrzyku kofeiny.

Nie miałem jak się dowiedzieć, o czym Courtney i Ferramore rozmawiali po opuszczeniu mojego gabinetu. Nawet gdybym był dość bezczelny, by ją potem o to zapytać, nadal niczego bym się nie dowiedział.

Bo nie zdołałbym jej znaleźć.

Courtney po prostu zniknęła – puf! – na resztę dnia. Jej przerażająca asystentka, M.J., powiedziała, że szefowa bez słowa wypadła z biura. Wieczorem nie odbierała domowego telefonu.

Potem jednak nadszedł ranek i dowiedziałem się wszystkiego.

Podobnie jak reszta Manhattanu, jeśli nie reszta świata.

Ktoś umieścił na YouTube filmik, którego gwiazdą była francuska supermodelka Marbella. Nagrania dokonano za kulisami paryskiego pokazu kreacji domu mody Hermes. Oszalająca brunetka trzymała w jednej ręce cygaretkę, w drugiej – kieliszek szampana, a w ustach obcas pantofelka od Jimmy’ego Choo, przewidywanego przeboju nadchodzącego sezonu.

Głos spoza planu zapytał supermodelkę, kto był najbogatszym mężczyzną, z którym spała.

Wypiła łyk szampana, zaciągnęła się cygaretką – uprzednio wyjąwszy z ust obcas – spojrzała prosto w obiektyw kamery i ze swoim francuskim akcentem oświadczyła:

– Thomas Ferramore. Zdecydowanie on.

– Kiedy to miało miejsce? – zapytał głos zza kamery.

Zachichotała i szepnęła:

– Wczoraj.

Ojoj.

Nie widziałem tego filmiku, ale o całej sprawie szeroko rozpisywały się gazety, zwłaszcza „New York Post”. Egzemplarz tego dziennika leżał otwarty przede mną na kontuarze, przy którym pochłaniałem jajecznicę na bekonie i pszenne tosty. Jakim cudem udawało mi się utrzymywać zwykłą wagę około osiemdziesięciu siedmiu kilogramów? Bardzo dobry zestaw genów, to była jedyna możliwa odpowiedź.

Tak czy inaczej, strasznie współczułem Courtney, że musiała znosić takie publiczne upokorzenie. Jednocześnie jednak samolubnie liczyłem na to, że ta historia zmieni wszystko między nią a Ferramore’em.

– Przepraszam, czy to pański telefon? – dobiegło mnie nagle z lewej strony.

Odwróciłem się, by spojrzeć na mężczyznę zajmującego sąsiedni stół. Musiał tam usiąść przed sekundą, bo go wcześniej nie zauważyłem. Wskazywał leżącego między nami mojego iPhone’a.

– *Pardon* – powiedziałem, przysuwając go bliżej siebie.

– Nie, wszystko gra. Chciałem się tylko upewnić, że jest pański, a nie osoby, która siedziała tu przede mną.

– A – powiedziałem. – Dzięki. Jest mój.

Już miałem wrócić do lektury gazety, kiedy ruchem głowy wskazał artykuł dotyczący Ferramore’a.

– To dość niesamowite – rzekł – nie sądzi pan?

– Taa, z pewnością – odparłem. Chciałem być tylko uprzejmy. Wiedziałem, że kontuary w jadalniach były miejscem towarzyskich pogaduszek, ale w tej chwili chciałem jedynie skończyć jeść i czytać gazetę i wynieść się do pracy – czy co tam czekało mnie w redakcji „Citizena”.

Nieznajomy nie przestawał jednak głądzić.

– Tak to jest z plotkami. Wszyscy uwielbiają wtykać nos w cudze interesy – zauważył. – Z drugiej strony trudno darzyć sympatią zaręczonego miliardera, który wtyka fiuta w interes jakiejś europejskiej supermodelki, prawda?

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem zachęcać faceta do dalszych dy-

wagacji.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

– Prawda, Nick? – powtórzył.

Że co proszę?

Nie tylko nie potrzebował zachęty, ale też najwyraźniej nie potrzebował, bym mu się przedstawił.

– Czy ja pana znam? – zapytałem.

– Nie, Nick, nie znasz mnie, ale ja znam ciebie – odparł, spoglądając na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. – Wiem też, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Powinniśmy porozmawiać.

Rozdział 41

Okay, facet, przyciągnąłeś moją uwagę. Teraz przewińmy nieco taśmę. Kim ty, do cholery, jesteś?

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział.

– Dla mnie ma. Zwłaszcza jeśli chcesz kontynuować tę rozmowę.

Uśmiechnął się prawdziwie wkurzającym uśmiechem nowojorkczyka.

– Możesz do mnie mówić... Doug. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego jesteś w niebezpieczeństwie, Nick?

– Jeszcze nie wiem – odrzekłem. – Ale na pewno ci dwaj gliniarze siedzący przy tamtym końcu kontuaru by chcieli. Mam ich zawołać?

Zadowolony z siebie, wskazywałem mundurowych sadowiących się ze swoimi kawami jakieś dziesięć stołków od nas.

Ale nieznajomy – Doug? – nawet nie raczył na nich spojrzeć. Za to bez przerwy patrzył mi prosto w oczy.

– Kiedy ostatnio byłeś w restauracji z dwoma gliniarzami, niespecjalnie to wyszło, co? No właśnie.

Już nie czułem się tak pewny siebie ani, zresztą, bezpieczny.

– Czego chcesz? – zapytałem. – Dlaczego tu za mną przyszedłeś?

Niedbałym gestem odchylił połę sportowej kurtki, pokazując kaburę. Bez wątplenia nie była pusta, a mnie od pewnego czasu męczył widok broni.

– Chcę, żebyś mnie grzecznie spytał, dlaczego jesteś w niebezpieczeństwie, Nicku Danielsie. I powiedz „proszę”. A jeszcze lepiej, powiedz „bardzo proszę”.

Spojrzałem na siedzących wokół mnie ludzi. Jak zwykle w porze śniadaniowej Sunrise było zatłoczone. Zupełnie jak Lombardo's w porze lunchu.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego jestem w niebezpieczeństwie. – Głos zaczynał mi się łamać. Nieznajomy wpatrywał się we mnie w milczeniu. Czekał.

– Bardzo proszę – dodałem.

Pochylił się w moją stronę.

– Widzisz, to właśnie jest takie intrygujące – szepnął. – Bo myślę, że już znasz odpowiedź na to pytanie, Nick.

Wysunął głowę, przyglądając się siniakom wokół oczu i ust. Zaczynały już purpurowieć.

– W gruncie rzeczy masz ją wypisaną na twarzy, Nick.

– Dla kogo pracujesz? – spytałem.

– Dlaczego uważasz, że dla kogoś pracuję?

Było to właściwie całkiem dobre pytanie, bo na pewno nie wyglądał na typowego „człowieka do wynajęcia”. To znaczy o ile najmującym nie było IBM. Ten facet, sympatyczny, solidny, wcale nie wyglądał groźnie. Prawdę mówiąc, wyglądał jak „Doug”.

I to dodatkowo mnie przerażało.

– Najwyraźniej wiesz o mnie bardzo dużo – powiedziałem. – Co chcesz, żebym zrobił? Powiedz mi, czego chcesz.

– No, w końcu robimy jakieś postępy – oznajmił i z zadowoleniem skinął głową. – Otóż chcę, żebyś niczego nie robił. Cokolwiek zamierzałeś zrobić, o czymkolwiek choćby myślałeś, masz tego nie robić. Nadażasz?

– Chyba tak.

– Dobrze. Bo jeśli niczego nie będziesz robił, może, powtarzam: może, pożyczysz wystarczająco długo, by ujrzeć następny wschód słońca. Albo ponownie odwiedzić Sunrise Diner.

Po tych słowach wstał i odszedł. Minął drzwi wejściowe i wyszedł z baru.

Zniknął.

Na pewno jednak nie zniknął z mojej pamięci.

Rozdział 42

Dwadzieścia minut później szybkim krokiem wmaszerowałem do One Hogan Place, skądinąd znanego jako siedziba prokuratora okręgu Nowy Jork. Albo drugi dom Davida Sorrena.

– Cześć, Nick Daniels do pana Sorrena – rzuciłem jego sekretarce, młodej kobiecie o wspaniałej fryzurze i pasujących do niej manierach. Zachowywała się tak, jakbym właśnie przerwał ceremonię jej zaślubin.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Nick Daniels – przedstawiłem się ponownie. – Przyszedłem spotkać się z Davidem Sorrenem.

– Tak się panu tylko zdaje.

– Co proszę?

– Czy jest pan umówiony z panem Sorrenem?

– Nie.

– Czy pana oczekuje?

– Nie.

– Jak więc mówiłam, tylko się panu zdaje, że spotka się pan z panem Sorrenem.

Sprytne, bardzo sprytne. Ale na wypadek, gdybyś tego jeszcze nie zauważyła, nie jestem dziś w nastroju do wysłuchiwania sprytnych odzywek. Jestem człowiekiem płonąącym poczuciem misji.

Ruszyłem przed siebie.

– Hej! – zawołała. – Proszę wracać!

Była jednak nieco za wolna. Nim wygramoliła się ze swojego paskudnego fotelika na kółkach, już otwierałem drzwi gabinetu Sorrena. Co zabawne, uniósłszy wzrok znad czytanych właśnie akt, prawie nie mrugnął okiem na mój widok.

– Cześć, Nick, siadaj – powiedział. Prawie tak, jakby jednak mnie oczekiwał. – Wszystko w porządku, Molly.

– Tak, Molly, wszystko w porządku – powtórzyłem za nim. – Niczego nie potrzebujemy.

Puściłem do sekretarki oko, na co odpowiedziała wyniosłym, wściekłym spojrzeniem. Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Wtedy skorzystałem z zaproszenia Sorrena. Usiadłem naprzeciw jego wielkiego drewnianego biurka.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, od czego zacząć. Od przerażającego faceta, którego właśnie „spotkałem” w Sunrise Diner? Bójki z kierownikiem Lombardo’s? Czy może od tego, czego dowiedziałem się od tamtejszej hostessy?

Okazało się, że zdecydował za mnie Sorren. Kiedy zacząłem przeproszać za wtargnięcie, przerwał mi pytaniem:

– Jak się udały odwiedziny u Eddiego Pinera? Niezła ta jego posiadłość nad Sheepshead Bay, co? Mimo wszystko zbrodnia popłaca. Tak, chłopie, zawsze.

Szczęka mi opadła. Skąd wiedział, że tam byłem? Szybko się domyśliłem.

– Macie to miejsce na oku? Obserwujecie Pinera?

Sorren odchylił się na oparcie fotela, zaśmiał się swobodnie.

– Ni cholery. W każdym razie nie bezpośrednio. To wymagałoby zbyt wielu płatnych nadgodzin – powiedział i wskazał palcem w powietrze. – Jest znacznie tańszy sposób.

– Satelity?

Sorren opuścił palec, poklepał się po nosie. Bingo!

– Właściwie jest w tym jakaś ironia – powiedział. – Ci mafijni capo uwielbiają prowadzić rozmowy na zewnątrz, aby mieć pewność, że ich nie podsłuchujemy. Nie wiedzą, że praktycznie możemy czytać z ruchu ich warg. Tak dobrze ich widzimy.

Przyjrzał mi się, zmrużył oczy na widok siniaków na twarzy.

– Chociaż nie przypominam sobie żadnego lania w trakcie twojej wizyty.

– Nie było żadnego lania. Przynajmniej nie tam – wyjaśniłem. Następnie opowiedziałem Sorrenowi od początku do końca wszystko, cze-

go się dowiedziałem od chwili, gdy po raz pierwszy zadzwoniłem do niego w sprawie nagrania z Lombardo's.

Teraz wyraźnie – jak na obrazie z owych satelitów – widział, dlaczego byłem zatroskany. Prawda?

– Pozwól więc, że ujmę to prosto – powiedział, spoglądając na mnie niepewnie. – Uważasz, że złapaliśmy niewłaściwego człowieka? Że Eddie Pinero nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Marcozzy i dwóch policjantów? Do takich doszedłeś wniosków, Nick?

– Niczego nie wiem na pewno. Mówię tylko, że mam wątpliwości.

Sorren zarzucił nogi na biurko. Obcasy czarnych dziurkowanych pantofli z irytującym trzaskiem wylądowały na blacie. Aż do tej chwili był spokojny, rozluźniony. Teraz zaczęło wychodzić z niego to samo napięcie, które zauważyłem przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Nie rozumiem cię – powiedział wreszcie, kręcąc głową. – Pokazujesz niesamowicie użyteczne nagranie, stanowiące niepodważalny dowód, a teraz chcesz, żebym o nim zapomniał.

O co chodzi, Nick?

– Nie chcę, żebyś o czymkolwiek zapomniał, Davidzie. Chcę tylko, żebyś jeszcze raz przemyślał tę sprawę. To wszystko.

– Przemyślał? Co tu jest do ponownego przemyślenia? – zapytał podniesionym głosem. – Nie bez powodu jedyną walutą będącą tutaj w obiegu są zimne, twarde dowody. Bo dowód mówi sam za siebie, jasno i wyraźnie. Jak morderca z twojego nagrania. Pamiętasz? „Mam wiadomość od Eddiego”.

Nie zdążyłem zareagować, bo zapiszczał interkom na biurku Sorrena. Dzwoniła jego sekretarka, pani Wściekłe Oko.

– Przepraszam, panie Sorren, ale czekają na pana na dole.

– Dziękuję, Molly. Już tu skończyłem. – Rzucił mi spojrzenie mówiące: „Skończyliśmy, Nick, na dzisiaj”.

Potem zerwał się, chwycił wiszącą na oparciu fotela marynarkę. Podczas ubierania się zawinął nią w powietrzu niczym muletą.

– Wybacz, ale mam teraz konferencję prasową – powiedział. – Ważną. Może będziesz chciał na niej zostać. Dziś rano Eddie Pinero został

aresztowany za zlecenie zabójstwa Vincenta Marcozzy.

Rozdział 43

Prędzej zgłosiłbym się na ochotnika na podwójne leczenie kanałowe, niż został tego ranka na konferencji prasowej Sorrena.

Wieczorem jednak nie było przed nią ucieczki w wiadomościach. Relacjonowano ją na wszystkich kanałach i bynajmniej mnie to nie dziwiło. Amerykanie zawsze uwielbiali dobre gangsterskie historie.

Ale czy David Sorren opowiadał publiczności prawdziwą historię?

Po przełączeniu telewizora na kolejny kanał nieodmiennie pojawiał się obraz Pinera w kajdankach, a po nim drugi, przedstawiający Sorrena stojącego na schodach swojego gmachu naprzeciw hordy dziennikarzy. Ten widok i słowa Sorrena nie pozostawiały wątpliwości: siedziba prokuratora okręgowego w Nowym Jorku to był jego budynek.

Przynajmniej na razie.

Patrzyłem, jak stoi przed kamerami, a każdy włoszek na jego głowie znajduje się na swoim miejscu. Nietrudno było wyobrazić go sobie przeprowadzającego się do nowego budynku. Do ratusza na przykład. Jeśli zgranie w czasie jest wszystkim, aresztowanie Pinera stanowiło doskonałe przygotowanie do ogłoszenia przez Sorrena własnej kandydatury na stanowisko burmistrza.

Chciało się powiedzieć bez ogródek: nie spieprz tego.

Niespodziewanie, przynajmniej niespodziewanie dla mnie, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Ktokolwiek to był, minął nocnego dozorcę i nie został zapowiedziany. Nic nowego. Niemowlęta spały mniej niż facet pilnujący naszych frontowych drzwi.

Spojrzałem przez wizjer i aż zamrugąłem z niedowierzania. Ale to naprawdę była ona.

Brenda.

Czym innym było natknięcie się na nią na benefisie New York Public Library, a czym innym jej obecność w moim mieszkaniu.

– No, no, dwa razy w jednym tygodniu... – powiedziałem, otwierając drzwi. – Jak za dawnych czasów.

– O dwa razy za dużo – odpała, przeciskając się obok mnie do wąskiego przedpokoju. Odwróciła się w moją stronę z rękami wspartymi na biodrach. – Co ty, do cholery, robisz?

– Co? Mogę prosić o dwa słowa wprowadzenia?

– Nie rznij głupa, Nick – rzuciła. – Nie cierpię, kiedy zgrywasz idiotę. To był jeden z naszych problemów.

Poniekąd słusznie.

– Czy to Sorren cię przysłał? – zapytałem. – Martwi się o mnie, tak?

– David nawet nie wie, że tu jestem. Nigdy nie poprosiłby mnie, żebym interweniowała w jego imieniu. Nigdy w życiu.

Jak zwykle trudno było powiedzieć, czy Brenda kłamie, czy mówi prawdę.

– Ale, oczywiście, powiedział ci, że się dzisiaj widzieliśmy, prawda?

– Tak – odparła. – David i ja tworzymy parę, Nick. Pary mówią sobie różne rzeczy.

– Nie musisz mi o tym przypominać – powiedziałem.

Doskonale wiedziała, co mam na myśli. Wiązało się to z powodem naszego zerwania.

Streszczając tę długą, bolesną historię: przeprowadziłem ważny wywiad z Billem Gatesem, w którym po raz pierwszy ujawnił publicznie zamiar odejścia z Microsoftu na emeryturę. Wieczorem podzieliłem się tym z Brendą. Wszyscy wiedzą, że łózkowe pogwarki nigdy nie opuszczają sypialni, prawda? Zwłaszcza gdy rozmawiający obiecali to sobie nawzajem.

Wyszło na to, że tego wieczoru Brenda skrzyżowała palce. Już następnego dnia opowiedziała o wszystkim na antenie, zaczynając od słów: „Wiemy z wiarygodnych źródeł...”. Było to prawdziwie mistrzowskie posunięcie. Jej pozycja w stacji ogromnie wzrosła.

I był to też cios nożem prosto w moje serce.

Od tej chwili wiedziałem, że nigdy już nie będę mógł zaufać Brendzie Evans. Ona zaś nigdy nie dałaby mi satysfakcji płynącej z powie-

dzenia jej tego. Nie ma mowy. Dziesięć minut po jej audycji odebrałem konwencjonalny e-mail. Tak, to ona zrywała ze mną. Pocztą elektroniczną. Jaki podała powód? Nie byłem tak przebojowy jak ona. Potrzebowała kogoś, kto był.

I tyle.

– Robisz to z powodu tego, co zaszło między nami? – zapytała teraz.

– Próbujesz wyrównać rachunki, ale to nie w porządku wobec Davida.

– A co, twoim zdaniem, konkretnie robię? – poczułem się zmuszony zapytać.

– Znam cię, Nick. Wiem, jak traktujesz swoje przecucia. Upierasz się, nawet gdy ewidentnie jesteś w błędzie.

– Myślę, że tematem rozmowy z twoim nowym chłopakiem było coś więcej niż przecucie. Mogę mieć rację. Mam coraz mocniejsze dowody.

– A co, jeśli się mylisz? Czy choć przez sekundę pomyślałeś, jak zamieszanie wokół kwestii winy Pinera może wpłynąć na karierę polityczną Davida?

Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się ironicznie.

– Oho, widzę, że już wybrałaś suknię na uroczystość objęcia przez niego urzędu.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, ta opowieść zakończyłaby się w tym miejscu. Na szczęście nie mogą.

– Nie chodzi o mnie, Nick.

– I tu na sto procent się mylisz. Zawsze ci chodzi o siebie, Brendo, i zawsze będzie.

To ją, mówiąc delikatnie, wkurzyło. Poczerwieniała, dłonie zacisnęła w pięści. Wyglądało na to, że uznała, iż już pora obudzić sąsiadów.

– Pieprz się! – wrzasnęła. – Słyszysz? PIEPRZ SIĘ! Ty nieudaczniku.

Wymaszerowała z mieszkania i najbliższą drogą skierowała się do windy. Tak mocno nacisnęła guzik, że na pewno złamała paznokiec.

– Czy to znaczy, że nie dostanę kartki na Boże Narodzenie? – zapytałem od drzwi.

Była to dość bezczelna uwaga, ale nie mogłem się oprzeć. Brenda zawsze wyzwałała we mnie to, co najgorsze.

Drzwi windy się rozsunęły i Brenda weszła do środka. Musiała jednak mieć ostatnie słowo, zadać cios poniżej pasa. Naprawdę wiedziała, jak zranić faceta, zwłaszcza mnie.

– A skoro wspominasz o moim nowym chłopaku... – powiedziała. – Jest o całe niebo lepszy w łóżku od ciebie! Uch.

Rozdział 44

Następnego dnia rano znalazłem się w ogromnym holu głównym dworca Grand Central. Szedłem, torując sobie drogę przez gwarny tłum turystów i weekendowych gości z przedmieść. Muszę wyznać, że kochałem tę budowlę i byłem bezgranicznie wdzięczny Jacqueline Onassis za ocalenie jej przed laty.

Niespodziewanie zderzyłem się z młodym człowiekiem z zarzuconym na jedno ramię plecakiem. Wymieniliśmy uprzejme – może przesadnie – przeprosiny i nim udaliśmy się każdy w swoją stronę, zwróciłem uwagę na jego t-shirt. Wypisano na nim wielkimi literami: OCALIĆ DARFUR.

Rzecz jasna, nie mogłem nie myśleć o doktorze Alanie Cole'u i nie zastanawiać się, jak mu się powodzi i gdzie przebywa. Miałem nadzieję, że niebawem wróci bezpiecznie do domu.

Mnie, oczywiście, ta możliwość nie została dana. Przy tym wszystkim, co mi się przytrafiło od powrotu z Darfuru, niemal tęskniłem za stosunkowo spokojnymi czasami, kiedy to ścigała mnie i strzelała do mnie dzandżawidzka milicja...

Może dlatego tak wyczekiwałem tego dnia i tego, co miałem wkrótce zrobić.

Mówiąc najprościej, nie będzie żadnych rozmów o morderstwie, wzmianek o mafii czy dyskusji na temat faceta, który kazał mi pilnować własnych spraw i nic nie robić.

Zamiast tego wszystkiego będą dwa pierwszorzędne miejsca na stadionie Jankesów. Ja zajmę jedno, a centrum mojego obecnego świata – drugie. Będzie to moja siostrzenica, Elizabeth.

Według paszportu miała czternaście lat, ale nikt by jej tyle nie dał. Bystra i elokwentna nad wiek, była także najdzielniejszym znanym mi dzieciakiem.

Nie, pomyłka. Najdzielniejszą ze wszystkich znanych mi osób.

Pociąg Elizabeth z sykiem zahamował dokładnie o czasie przy peronie czterdziestym. Równocześnie otworzył się długi rząd drzwi. Mimo iż szalone parcie ku wyjściu nie dorównywało temu, co się tu działo w godzinach porannego szczytu w dni powszednie, tłum był na tyle gęsty, że nie zdołałem od razu jej wypatrzeć.

I wtedy ją usłyszałem, ten znajomy dźwięk zawsze towarzyszący jej pojawieniu się na scenie mojego życia.

Natychmiast się uśmiechnąłem. Teraz już ją widziałem. Ona jednak nie mogła mnie zobaczyć.

Elizabeth nic nie mogła zobaczyć.

Od ukończenia piątego roku życia była niewidoma.

– Znów zapomniałaś swojej rękawicy, co? – powiedziałem, kiedy się nieco zbliżyła.

Uśmiechnęła się zachwycającym uśmiechem, a potem zmarszczyła piegowaty nosek.

– A ty znów użyłeś za dużo wody kolońskiej. Prawie cię czułam w pociągu przed wjazdem na dworzec.

Uściskałem ją mocno.

– Myślę, że Jeter zaliczy dziś jeden hit – szepnąłem. – Czuję to w kościach.

– Myślę, że zaliczy dwa – odpowiedziała szeptem. – Chodźmy sprawdzić.

Potem jak zwykle odsunęła się ode mnie, by móc iść samodzielnie, wybierając drogę składaną białą laską.

Stuk, stuk, stuk, stuk...

Oto moja siostrzenica, Elizabeth.

Najdzielniejsza osoba, jaką znam.

Doskonałe antidotum na wszystko, co stało się w tym tygodniu.

Rozdział 45

Ktoś mógłby zapytać, czy nie obawiałem się narazić Elizabeth na niebezpieczeństwo. Zastanawiałem się nad tym i przez chwilę rozważałem możliwość odwołania naszego spotkania, ale to by złamało jej serce. Poza tym mafia nigdy nie krzywdziła kobiet i dzieci. Takie były zasady.

Tak więc szliśmy, Elizabeth i ja, jak zwykle budząc pewne zainteresowanie.

Ze zrozumieniem tolerowałem te zaciekawione spojrzenia. Wytrzymałem nawet ewidentne gapienie się. Bo w końcu kto to słyszał zabierać niewidomą dziewczynę na mecz baseballowy?

Ale nikt z tych ludzi nie chwycił, o co chodzi. Jakby to oni byli ślepi.

Nie rozumiecie? Nikt z was nie rozumie?

Baseball to trzask kija i ryk widowni, zapach skoszonej trawy i hot dogów, trzeszczenie skorupki orzeszków ziemnych pod stopami.

Elizabeth nie mogła oglądać gry, ale sprawiała jej ona nie mniejszą frajdę niż widzącym. Może nawet większą. Kiedy inni tylko oglądali grę, ona ją czuła.

Widok jej rozpromienionej twarzy wystarczał, bym nabrał co do tego pewności.

– Jak się miewa Courtney? – zapytała Elizabeth w przerwie po pierwszej zmianie. Rozmawialiśmy głównie w czasie przerw. Moja siostrzenica spotkała się z Courtney dobre dziesięć razy i uwielbiały się nawzajem.

– Courtney kazała cię pozdrowić – powiedziałem, co było prawdą. – Jak mama? – zapytałem, pospiesznie zmieniając temat.

– Mama jest samotna – odparła Elizabeth. – Ale jest też twarda.

Ilekcroć rozmawiałem ze swoją starszą siostrą, Kate, zawsze miałem wrażenie, że nie jest ze mną całkowicie szczerą. Elizabeth natomiast zawsze przedstawiała rzeczy takimi, jakimi były.

– Samotna, powiadasz? Żałośnie samotna?

– A czy istnieje inny rodzaj samotności?

– Słuszna uwaga.

– Powinna kogoś poznać – rzekła Elizabeth. – Czy Courtney wychodzi za mąż?

– Owszem, i to za nie byle jakiego faceta. Mama była na kilku randkach, prawda?

– Taa, na kilku, w dużych odstępach czasu.

Roześmiałem się głośno.

– To wymaga czasu, Lizzy.

– Okay, ale on umarł cztery lata temu. To dość czasu.

Cztery i pół roku temu, ściśle mówiąc. To wtedy mąż Kate, Carl, bawiąc w interesach w Londynie, doznał śmiertelnego zawału. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata. Jak to się mogło stać? Dlaczego? Z czyjej woli?

Fatalną wiadomość przekazała mi Kate. Poprosiła też, bym przyjechał do ich domu w Weston w stanie Connecticut i pomógł przekazać ją Elizabeth. Sama nie była w stanie tego zrobić. Dziewczynka miała dziewięć lat, była niewidoma, a teraz jeszcze została bez ojca, z matką o złamanym sercu.

Nigdy nie zapomnę pytania, jakie zadała tamtego upalnego sierpniowego popołudnia. Siedzieliśmy na kanapie w ich bawialni, a ja trzymałem Elizabeth za rękę. Miała na sobie żółtą letnią sukienkę, spalone słońcem blond włosy były spięte z tyłu głowy rzędami spinek.

– Czy w niebie spotkam tatę? – chciała wiedzieć.

Oczy mi zwilgotniały. Z trudem powstrzymałem łzy.

– Tak – powiedziałem. – Co dzień będziesz go widzieć.

– Obiecujesz?

– Tak.

Ścisnąłem jej małą dłoń, odpowiedziała uściskiem. Jedna jedyna myśl kołatała mi się w głowie.

Jeśli rzeczywiście tam, w górze, jest Bóg, niech nie zrobi ze mnie kłamcy.

– A zatem, wujku Nicku – powiedziała Elizabeth, pociągnąwszy łyk

wody sodowej – opowiedz mi wszystko o Courtney i tym jej nadzwyczajnym narzeczonym.

– Okay, okay... Jestem załamany – przyznałem wreszcie.

– Wiem – odrzekła. – Poznaję to po twoim głosie, po tym, jak wymawiasz jej imię. Naprawdę masz złamane serce. A przez to ja też.

Część trzecia

Po same uszy

Rozdział 46

Wyglądało na to, że Courtney na cały weekend zaszyła się w swoim apartamencie w Upper East Side. Kiedy w niedzielę wieczorem odebrała wreszcie jeden z moich licznych telefonów, namówiłem ją, by pozwoliła mi do siebie wpaść.

Otworzyła mi ubrana w workowaty dres, bez śladu makijażu i z oczyma tak zaczerwienionymi od płaczu, że mogłaby wystąpić w reklamie leku antyhistaminowego jako osoba, która go jeszcze nie zażyła.

W moich jednak oczach była piękna jak nigdy. Po prostu chciałem ją objąć, przytulić. Ale tego nie zrobiłem. W tych okolicznościach nawet bym nie próbował.

Usiedliśmy w kuchni i otworzyliśmy butelkę bordeaux. Było to Branaire-Ducru, rocznik 2003, jej ulubione wino. Nie mogłem się nie zastanawiać, czy Thomas Ferramore o tym wiedział. Czy w ogóle znał jej upodobania. Może tak. Może kochał ją jak ja. Ale pieprzyć Ferramore'a. To jasne, że jej nie kochał.

Wypiła kilka łyków w całkowitym milczeniu, potem odetchnęła głęboko i powiedziała:

– No, proszę, zadaj pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

Zważywszy na stan konta Ferramore'a, chodziło raczej o pytanie za sześćdziesiąt cztery miliony dolarów, ale to był kiepski żart i nie zamierzałem wypowiadać go na głos. Zamierzałem też jak ognia wystrzegać się słowa „supermodelka”.

Niemniej zadałem pytanie, które chciała, bym zadał. Powiedzmy, że go potrzebowała.

– Czy to prawda?

– Tom przysięga, że nie. Powiedział nawet, że jest w stanie to udowodnić.

– Wierzysz mu?

Nie wierz, Courtney. To superbogaty superdrań.

Courtney zapatrzyła się na trzymany w dłoniach kieliszek, śliwkowoczerwone bordeaux odbijało błyski dziesięciokaratowego brylantu z pierścionka zaręczynowego. Nadal go nosiła.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu.

I tyle.

Nie zapytała mnie o zdanie. Nie chciała wiedzieć, co według mnie powinna zrobić. Może dlatego, że już wiedziała. Jest aż tak inteligentna.

– Skupmy się na pracy – powiedziała. – Prowadzę magazyn, a ty być może znalazłeś życiowy temat. Zgadza się?

Musiałem się uśmiechnąć. Jeśli Arnold Schwarzenegger był Terminatorem, to Courtney Sheppard zasługiwała na miano Separatora, mistrzyni szufladkowania.

– Policja aresztowała za zamordowanie Vincenta Marcozzy niewłaściwego człowieka – ciągnęła Courtney. – I tylko ty możesz tego dowieść.

– Być może aresztowali niewłaściwego człowieka – sprostowałem. – I daleko mi do udowodnienia tego.

– Na razie. Ale jutro jest nowy dzień. Jutro zawsze jest nowy dzień.

Posłałem jej pytające spojrzenie.

– Co ci chodzi po głowie?

Powiedziała „jutro” w taki sposób, jakby miała w zanadrzu jakąś sztuczkę.

I niewątpliwie miała.

Rozdział 47

– Proszę wejść – powiedział Derrick Phalen z Organized Crime Task Force, specjalnego zespołu do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni powitał mnie w drzwiach swojego biura w White Plains. Wskazał mi stojące przed sobą stare, sfałtgowane szare krzesło, które wyglądało tak, jakby od ostatecznej ruiny dzielił je jeden gruby gość.

– Siadaj, jeśli się nie boisz – zażartował, choć zważywszy stan krzesła, nie zabrzmiało to szczególnie żartobliwie.

– Dzięki – powiedziałem i ostrożnie usiadłem. Następnie oznajmiłem: – Powiedzmy, że jest okay.

Rozejrzałem się szybko po skromnym gabinecie młodego prokuratora i równie szybko wyciągnąłem wnioski. Ten facet żył pracą. Biurko miał zasłane papierami, a teczki z aktami, grube jak książki telefoniczne, otaczały go niczym mur.

Ale co naprawdę zwróciło moją uwagę, to samoprzylepne żółte karteczki z notatkami i numerami telefonów. Wisiały wszędzie, gdzie dało się je przykleić: na jego komputerze, lampie, zszywaczu, kubku do kawy, nawet na oprawionym w ramkę dyplomie ukończenia Fordham University School of Law, wiszącym na ścianie.

– Skąd znasz Courtney? – zapytałem. – Nie opowiadała mi o szczegółach waszej znajomości.

– W Middlebury College dzieliłem pokój w akademiku z jej bratem, Mikiem.

Poczułem się tak, jakbym palnął straszliwą gafę, choć wiedziałem, że właściwie niczego takiego nie zrobiłem.

– Och. – Tylko na tyle było mnie stać.

– Tak – powiedział. – Wiem. Niedługo minie dziesięć lat od śmierci Mike'a, a ja wciąż nie mogę uwierzyć, że go nie ma. – Tarł w zamyśleniu

podbródek. – Był fantastycznym facetem. Tego ranka znajdowałem się na Manhattanie, mieliśmy razem zjeść lunch. Nagrał mi się nawet na pocztę głosową, żeby potwierdzić spotkanie. Dwadzieścia minut przed uderzeniem pierwszego samolotu. – Phalen przerwał na chwilę. – Nadal od czasu do czasu odsłuchuję tę wiadomość.

– Jezu – powiedziałem – strasznie mi przykro.

– Hej, żadne tam „przykro mi” ... Ani myślę dołować cię podczas naszej pierwszej randki. – Poprawił się w krześle, wyprostował ramiona. – To co mogę dla ciebie zrobić? I dla Courtney.

Prawdę mówiąc, Derricku Phaleni, nie bardzo wiem. Właśnie tego chcę się tu dowiedzieć.

– Czy Courtney jakoś cię wprowadziła? – zapytałem. – Powiedziała cokolwiek?

– Potwierdziła tylko, że chcesz porozmawiać ze mną o Eddiem Pine-rze. Zakładam, że chodzi o artykuł, który piszesz dla „Citizena”. Zgadza się?

– Miejmy nadzieję – odparłem, odruchowo sięgając do torby. Wyjąłem z niej magnetofon i położyłem go na biurku.

Phalen spojrział na urządzenie wzrokiem Supermana patrzącego na kryptonit.

– Przykro mi, Nick – stwierdził. – Jak mówiłem Courtney, z przyjemnością z tobą rozmawiam, ale nie ma mowy o nagrywaniu, gdy w grę wchodzi ktoś, kto był przedmiotem śledztwa tego urzędu. Takie są przepisy.

– Przepraszam, nie zdawałem sobie z tego sprawy – powiedziałem. Po raz pierwszy i jedyny podczas tej rozmowy nie byłem z nim całkowicie szczery. Wkrótce miał się dowiedzieć dlaczego.

– Nie ma problemu. Po prostu kiedy człowiek pracuje w OCTF, stara się ograniczać częstotliwość ukazywania się własnego nazwiska drukiem.

– Mogę to zrozumieć. – Podniosłem magnetofon i obrzuciłem go spojrzeniem podobnym do tego, jakim wcześniej obrzucił go Phalen. – Prawdę mówiąc, to gówno jest dla mnie ostatnio tylko źródłem kłopo-

tów.

– To znaczy? – spytał Phalen.

Bingo, to jest to. Moje otwarcie.

Przed tygodniem martwiłem się, że wiadomość o moim nagraniu głosu zabójcy Vincenta Marcozzy może roznieść się po mieście. Teraz sam zamierzałem ją rozpowszechnić.

– Można by powiedzieć, że to przeze mnie Eddie Pinero siedzi teraz w więzieniu podejrzany o morderstwo – oznajmiłem. – Może być w charakterze wstępu?

Phalen odchylił się na oparcie fotela, uśmiech zrozumienia wypłynął na jego szczupłą twarz.

– Jasny gwint, to byłeś ty. Słyszałem tylko, że ktoś przypadkiem nagrał w Lombardo's zabójcę Vincenta Marcozzy.

– Ano cóż, o tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać – powiedziałem. – Bo nie sądzę, żeby to był przypadek. Oczekiwałem, że Phalen natychmiast zapyta, co mam na myśli. Ale nie.

Wstał i zadał mi pytanie, którego nie odgadłbym, choćbym zgadywał przez milion lat.

Rozdział 48

– Lubisz pasta fagioli? – zapytał Phalen.

Że jak? Co mówisz?

Phalen nie czekał na moją odpowiedź.

– Znam tu, po drugiej stronie ulicy, taki lokal, w którym serwują najlepszą na świecie pasta fagioli. No, w każdym razie najlepszą w White Plains. Chodź, zjemy lunch.

Chwilę później wychodziłem za nim z gabinetu, kierując się w stronę wind. Co jest grane? – myślałem, gdy tak szliśmy. Dość zresztą szybko.

Nie byłem żadnym jasnowidzem, ale tyle byłem w stanie wykoncytować: Derrick Phalen nie chciał w swoim gabinecie rozmawiać na temat udziału – czy raczej braku udziału – Eddiego Pinera w zamordowaniu Vincenta Marcozzy.

Na pewno miał po temu swoje powody. Liczyłem na to, że wyjawimi je przy lunchu. Dawać tę pasta fagioli!

Nie tak od razu jednak. Winda zatrzymała się na naszym piętrze i jednocześnie z głębi holu dobiegł nas męski głos wołający Phalena po nazwisku.

Phalen wymamrotał coś pod nosem.

– Co mówisz? – zapytałem.

– Co? Och, nic – odparł. – Powiedziałem tylko, że złapiemy następną windę.

Nie powiedział tego. Byłem niemal pewien, że wymówił tylko dwa słowa: jasny gwint.

Jakby go coś zbulwersowało. Co na przykład? Ten osiłek zmierzający ku nam przez hol?

– Cześć, Ian – powiedział Phalen, kiedy mężczyzna dołączył do nas przy drzwiach windy. – Jak leci?

– W porządku. Masz chwilkę?

Zaczęli rozmawiać na jakieś związane z pracą tematy – tak przynajmniej sądziłem. Nie słuchałem, przyglądałem im się tylko. Fizycznie bardzo się od siebie różnili. Derrick Phalen był szczupłym, niedużym mężczyzną o krótko przyszyżonych kasztanowych włosach i kwadratowej szczęce. Sylwetka Iana LaGrange’a, sporo wyższego i znacznie szerszego, mówiąc bez ogródek, przywodziła na myśl słowo „gruby”. Albo szwedzki stół w hotelu Caesars Palace w Las Vegas.

Rzecz jasna, wtedy nawet nie wiedziałem, że Ian LaGrange był Ianem LaGrange’em.

– Och, przepraszam – powiedział Phalen, nagle uświadomiwszy sobie, że mnie nie przedstawił. – Ian, to Nick Daniels.

– Miło cię poznać, Nick – powiedział LaGrange, podając mi rękę.

– Ian jest zastępcą prokuratora generalnego oddelegowanym do kierowania Organized Crime Task Force – wyjaśnił mi Phalen. – Ja lubię go nazywać Ojcem Chrzestnym.

– Muszę przyznać, że jest w tym jakaś sympatyczna nuta – powiedział LaGrange, uśmiechając się spod zmierzwionej brody. – Dokąd zasuwacie, chłopaki?

– Chcemy coś przekąsić – odparł Phalen. – Tu, po drugiej stronie ulicy.

LaGrange spojrzał w dół.

– Masz na sobie kamizelkę? – zapytał. – Derrick?

– Idziemy tylko na drugą stronę ulicy – powtórzył Phalen.

– Taa, a Lincoln tylko poszedł do teatru. Włóż kamizelkę. Phalen rzucił LaGrange’owi poirytowane spojrzenie, niczym nastolatek rozdrażniony krytycznymi uwagami ojca.

– Kamizelka? – zapytałem.

– Kuloodporna – wyjaśnił Phalen, zawracając w stronę swojego gabinetu. – Zaraz wracam.

Zaraz, zaraz. Ten facet potrzebuje kamizelki kuloodpornej, żeby wyjść na ulicę? I przede wszystkim: gdzie jest kamizelka dla mnie?

– Hej, zawsze możemy zamówić na wynos z dostawą! – zawołałem

za nim. Zabrzmiało to pociesznie, ale w gruncie rzeczy wcale nie żartowałem.

– Nie ma obawy, to tylko polityka OCTF – powiedział LaGrange, starając się dodać mi otuchy. – Nie było jeszcze żadnego zamachu na pracownika OCTF.

Już miałem zauważyć, że zawsze jest ten pierwszy raz, ale ugryzłem się w język. Dopiero poznałem tego faceta. Nie znałem jego poczucia humoru, a właściwie to nic o nim nie wiedziałem. Tylko tyle, że był duży.

– Czym się zajmujesz, Nick? – zapytał. Obojętnie i zdawkowo.

Oho. Teraz ostrożnie.

– Jestem pisarzem – powiedziałem.

– Nie żartuj. Co pisujesz?

– Głównie artykuły. Pracuję w „Citizenie”. Słyszałeś o takim magazynie?

– Jasne. I to dlatego spotykasz się tu z Derrickiem? – zapytał. – W związku z jakimś artykułem?

W głosie LaGrange’a nie było śladów wyraźnego zainteresowania, ale wyczuwałem pewien podtekst w jego pytaniach. Przecież nie wypytawał mnie, żeby podtrzymać banalną, korytarzową konwersację.

Ani myślałem powiedzieć mu czegoś, co mogłoby narazić Phalena na jakiegokolwiek kłopoty.

– Nie. Derrick pomaga mi nakreślić tło akcji powieści, którą właśnie piszę – oznajmiłem. – Realizm, prawdopodobieństwo wydarzeń i tak dalej.

– Coś takiego! Pomagamy czasem Alexowi Crossowi przy jego książkach.

– Nigdy go nie czytałem.

LaGrange skinął głową. Przyglądałem mu się uważnie, a on z wyraźną ulgą szybko zmienił temat. Zapytał, do jakiej restauracji się wybieramy.

– Właściwie nie wiem – odparłem.

Chyba mi wierzył. I o ile mogłem się zorientować, LaGrange nie

wiedział, że kłamię w kwestii celu mojego spotkania z Phalenem.

Kupił bajeczkę o powieści.

Tak przynajmniej mi się wydawało.

Okazało się jednak, że Ian LaGrange doskonale wiedział, o co mi chodzi. Ale najbardziej zaskakujące było to, jak się tego dowiedział.

Jak powiedział sam Phalen...

Jasny gwint.

I tak dalej.

Rozdział 49

Po powrocie z lunchu z Nickiem Danielssem Derrick Phalen usiadł przy biurku i przez dwadzieścia minut wpatrywał się w kratkę białych płytek podsufitki. Dobre dwadzieścia minut. Miał sporo do przetrawienia i, rzecz jasna, nie była to pasta fagioli. Nie była to nawet bardzo interesująca historia, której właśnie wysłuchał z ust Nicka Daniela.

– Puk, puk – powiedział ktoś w drzwiach.

Odruchowo Phalen spojrział w tym kierunku, choć właściwie nie musiał. Wiedział, że to LaGrange, i to nie dlatego, że aż nadto dobrze znał baryton szefa.

Nie, po prostu spodziewał się, że Ojciec Chrzestny prędzej czy później wdepnie do niego. Prawdopodobnie prędzej.

– Hej, Ian, co słychać?

– Nic specjalnego – odparł LaGrange. – Jak lunch z naszym pisarzem... powieściopisarzem?

Phalen wywrócił oczyma.

– Nie pytaj. Mogę tylko powiedzieć, że po raz ostatni oddaję przysługę znajomemu.

– Dlaczego? O co chodzi?

– Facet, którego przedstawiłem ci przy windzie, pisze dla magazynu „Citizen”. Zgodziłem się pomóc mu trochę przy pisaniu powieści, nad którą pracuje. Dostarczyć nieco materiału. Miała to być przysługa dla jego naczelnej. Tylko że okazało się, że nie ma żadnej powieści.

– Nie nadażam – powiedział LaGrange. – Po co w takim razie tu przyszedł?

– Ta historia z powieścią to był podstęp – wyjaśnił Phalen. – Tak naprawdę facet chciał mi sprzedać wariacką koncepcję, jakoby to nie Eddie Pinero kazał stuknąć Vincenta Marcozzę. Co za kretynizm.

– Chyba żartujesz.

– Chciałbym. Gość ma fioła na punkcie teorii spiskowych. Zupełnie jakbym jadł lunch z Oliverem Stone'em.

LaGrange zaśmiał się, rozbawiony.

– A więc jeśli to nie Eddie Pinero kazał załatwić Marcozzę, to kto? Jego zdaniem?

– O to chodzi. On nie wie.

– Rany... Niech zgadnę: facet chce, żebyś pomógł mu to ustalić.

– No właśnie – przytaknął Phalen.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Zafundowałem mu uprzejmą wersję: „Wciskaj te idiotyzmy komu innemu, świrusie”. A co innego mogłem mu powiedzieć?

– Zuch chłopak – odparł LaGrange, uchylając przed Phalenem wyimaginowanego kapelusza. – Trzymaj się z dala od tego gościa, okay? Pisarze tacy jak on są tylko źródłem kłopotów dla wszystkich, którzy się z nimi zadają.

– Będę miał to na uwadze.

LaGrange wymaszerował z gabinetu, a Phalen opadł na fotel. Znów powędrował wzrokiem ku białym płytkom podsufitki. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

Przez cały czas wstrzymywał oddech, licząc na to, że LaGrange mu uwierzy.

Nie było łatwo.

Nie, cholera. Ian LaGrange – Ojciec Chrzestny – nie dochrapał się obecnego stanowiska, dając komukolwiek robić się w konia. Wyprowadzanie go w pole było jak stepowanie na linie do muzyki ZZ Top.

Ale to było nic w porównaniu z tym, co Phalen zamierzał zrobić teraz.

Rozdział 50

– Co ja, do cholery, wyrabiam? – mruzczał do siebie Phalen, wolnym krokiem przemierzając wyludniony i ciemny korytarz biurowca OCTF. Dochodziła północ.

Oczywiście dokładnie wiedział, co robi. Wiedział nawet dlaczego.

Jeśli nauczył się czegoś podczas blisko trzyletniej pracy w OCTF, to tego, że rodzinę jego kolegów prokuratorów i rodziny mafijne łączy jedno istotne podobieństwo: hołdowanie zasadzie „nigdy nikomu nie ufaj”.

Łącznie z Ojcem Chrzestnym.

Tak więc nie można było pracować w OCTF, nie popadając w lekką paranoję. Dowodem choćby ta heca z kamizelkami kuloodpornymi.

Obawa przed wrogami z mafii to rzecz normalna. Ale obawa, że ludzie, dla których pracujesz, nie są lojalni albo, co gorsza, kombinują, jak cię udupić – to zupełnie co innego.

Przykład: LaGrange.

Gdyby nie rozlana kawa, Phalen mógłby nigdy nie znaleźć pluskwy umieszczonej pod klawiszem „enter” klawiatury swojego komputera. Znalazłszy – nie miał wątpliwości, kto ją tam zainstalował.

Nie miał tylko dowodu.

Zostawił ją więc tam, gdzie była.

Zajmował się teraz swoimi sprawami ze świadomością, że LaGrange przez cały czas słyszy, co dzieje się w jego gabinecie. Dla innych byłoby to strasznym obciążeniem – zawsze ostrożnie dobierać słowa, nieodmiennie zachowywać postawę dobrego żołnierza.

Phalen natomiast czuł się tak, jakby zdawał egzamin, z góry znając pytania.

Zawsze umiał powiedzieć coś inteligentnego stosownie do sytuacji. Zawsze zachowywał czujność.

Aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to zapytał Nicka Danielsa, czy

lubi pasta fagioli, żeby mogli wyjść z gabinetu i porozmawiać na osobności.

Wtedy to spotkała go wielka niespodzianka.

Mający sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu Ian LaGrange nadciągnął korytarzem od strony swojego gabinetu. Sunął wielkimi susami niczym obrońca drużyny New York Giants. Phalen ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to pozornie przypadkowe spotkanie przed drzwiami windy wcale nie było przypadkowe.

LaGrange bardzo interesował się Nickiem Danielssem i tym, co miał do powiedzenia o Eddiem Pinerze i Vincencie Marcozzie. Trochę za bardzo.

Coś tu było nie tak. Już teraz smród tej sprawy unosił się pod niebiosami.

I dlatego Phalen zamierzał zrewanżować się LaGrange'owi.

Cierpliwie czekał w gabinecie, aż wszyscy pozostali pracownicy rozejdą się do domów. Zaczekał nawet, aż ekipa sprzątająca opróżni ostatni kosz na śmieci i wyleje wodę z ostatniego wiaderka do płukania mopa.

I oto był tu tylko on i pewien ptaszek.

Konkretnie – Flex-8 „F-Bird”, czyli najnowszej generacji, superwyrafinowane cyfrowe urządzenie rejestrujące dźwięki. Posługiwał się nim Organized Crime Task Force. Teraz rejestrator – zasilany z baterii, mniejszy niż ćwierćdolarówka – znajdował się w drodze do nowego domu.

Do gabinetu Ojca Chrzestnego.

Phalen powoli przekręcił gałkę u drzwi w końcu korytarza i wszedł do środka, cichy jak myszka.

Albo pluskwa.

Oto twój słuchacz, Ian.

Rozdział 51

Muszę przyznać, że Derrick Phalen wiedział, co mówi, chwając tę swoją pasta fagioli. Dobra była zupka, bardzo dobra. Przypomniała mi najulubieńszą na świecie włoską restaurację, Cena'Colo, w moim rodzinnym Newburgh.

Ale było coś lepszego niż pasta fagioli Phalena – i nie mówię tu o włoskim chlebie. Najlepsze było to, że wykonałem następny ruch.

Dzięki za rozruch, Courtney.

Podczas lunchu Phalen spokojnie wysłuchał wszystkiego, co miałem do powiedzenia. Od czasu do czasu zadawał logiczne pytania, ale głównie słuchał. Nie szykował się od razu do rozdawania podkoszulków z nadrukiem „Uwolnić Eddiego Pinera”, ale też nie patrzył na mnie jak na wariata.

Wyciągnął z kieszeni długopis i zapisał na serwetce numer telefonu.

– Znam w Greenwich pewnego gościa, który może byłby w stanie ci pomóc – powiedział, przesuwając serwetkę w moją stronę. – Zadzwoń do niego i umów się na spotkanie.

– Jak on się nazywa? – zapytałem.

– Hoodie Brown.

– Hoodie?

– Zrozumiesz, kiedy się z nim zobaczysz. Powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem. To wystarczy.

– Czym on się zajmuje?

– Zobaczysz – powtórzył Phalen.

Wzruszyłem ramionami. Niech tam.

Następnego popołudnia pociągiem linii Metro-North jechałem do Greenwich w stanie Connecticut na umówione na czternastą spotkanie z kimś, kto nazywał się Hoodie Brown. Kiedy powiedziałem mu przez telefon, że przysłał mi Derrick Phalen, to jakbym podał tajne hasło w

drzwiach nielegalnego klubu nocnego. Wszedłem.

– Proszę za mną – powiedziała recepcjonistka w jego biurze.

Greenwich było stolicą funduszy hedgingowych⁵, ale co ja robiłem w siedzibie tego rodzaju spółki – nie miałem pojęcia. D.A.C. Investments? Dlaczego Phalen wysłał mnie do handlowca?

Nie wysłał. Recepcjonistka, wysoka, szczupła brunetka jak z okładki „Vogue’a”, poprowadziła mnie przez długą, pełną gwaru salę, w której dokonywano transakcji giełdowych, do przytulnego biura ukrytego na tyłach budynku. I tam poznałem Hoodiego Browna.

W jednej chwili jego imię nabrało sensu.

Mężczyzna, który uściśnął mi dłoń, nie tylko nosił bluzę od dresu z kapturem – szarą, z logo Caltech – ale też miał ten kaptur naciągnięty na głowę a la Unabomber. Do licha, ten facet nawet był trochę podobny do Unabombera.

– Kim zatem jest INO? – zapytał, sadowiąc się za biurkiem. Zauważyłem, że ja nie mam gdzie usiąść. Żadnego krzesła, żadnej kanapy. Dla gości – *nada*.

– INO? – zdziwiłem się.

– Interesująca nas osoba – wyjaśnił. – Kogo namierzamy?

Aha.

– Dwayne’a Robinsona – powiedziałem. – To miotacz...

– Wiem, kim on jest – przerwał mi Hoodie. – Czy raczej był.

– W szczególności chciałbym ustalić, czy miał jakieś powiązania z przestępczością zorganizowaną.

Hoodie skinął głową i zaczął klepać w klawisze jednej z trzech ustawionych na biurku klawiatur. Co najmniej dwa razy tyle monitorów gapiło się nań ze ściany.

– Jesteś prywatnym detektywem? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Moje pytanie w ogóle do niego nie dotarło.

– Na początek wygrzebiemy wszystkie wyciągi z kont banków kra-

⁵ Instytucja finansowa zarządzająca za opłatą powierzonym kapitałem poprzez agresywne inwestycje na rynku kapitałowym.

jowych i rejestry policyjne – powiedział cicho, prawie szeptem. – Potem sprawdzimy, czy figuruje w aktach FBI. To nie powinno długo potrwać.

Szczęka mi literalnie opadła. Akta FBI? Nie powinno długo potrwać?

– Jak może ci się to udać? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Studwudziestogigabitowe połączenia światłowodowe – wyjaśnił.

– Nie, chodzi mi...

– Wiem, o co ci chodzi, przyjacielu. Odpowiedź brzmi: nie chcesz wiedzieć. Wydaje ci się, że chcesz, ale wierz mi, nie chcesz.

Skoro tak uważasz, Hoodie... kimkolwiek jesteś.

Nagle poczułem się jak dzieciak po raz pierwszy w życiu rzucony na głęboką wodę. Może nic mi się nie stanie.

A może sięgnąłem o wiele, wiele za wysoko?

I, prawdę mówiąc, znałem odpowiedź na to pytanie. Co gorsza, nadal nie miałem kamizelki kuloodpornej. Takiej, jaką nosił Derrick Phalen.

Rozdział 52

Stałem w biurze Hoodiego Browna, patrzyłem i czekałem w pełnym szacunku milczeniu. I trochę się trząsałem. W tym przeklętym gabinecie było zimno jak w chłodni. Hoodie, naturalnie, był odpowiednio ubrany. Ja, naturalnie, nie.

Na szczęście miał rację, mówiąc, że to nie potrwa zbyt długo. Po kilku minutach oderwał wzrok od swojego zestawu komputerów.

– Znasz niejakiego Sama Tagaletta? – zapytał.

Nazwisko nic dla mnie nie znaczyło.

– Nie – odparłem. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Ale Dwayne Robinson chyba tak. Mniej więcej miesiąc temu wystawił dla niego w tygodniowym odstępie dwa czeki. Każdy na pięćdziesiąt kawałków.

– Nie sądziłem, że Dwayne miał jeszcze tyle pieniędzy.

– Nie miał – rzekł Hoodie. – Obydwa czeki były bez pokrycia.

Sygnał alarmowy?

– Kim więc jest ten Sam Tagaletto? – zapytałem.

– Na pewno nie skautem. Dwa razy aresztowano go za nielegalną bukmacherkę. Między innymi. Raz na Florydzie, a ostatnio tu, w Nowym Jorku.

– Ostatnio?

– Rok temu. Dostał pół roku nadzoru kuratorskiego.

– Czy coś łączy go z mafią? – zapytałem.

Hoodie wysunął głowę w moim kierunku.

– Coś innego niż bycie lewym bukmacherem?

– No tak, wiem, ale szukam konkretnych nazwisk. Może znajdzie się ktoś, o kim słyszałem.

– Daj mi jeszcze minutkę – rzekł Hoodie.

Wrócił do komputera, jego palce z zawrotną prędkością śmigają po

klawiaturze. Niemal równie szybko przelatywały myśli przez moją głowę.

Myśl, Nick. Co to wszystko znaczy? Co to może znaczyć?

Dwayne Robinson wisiał bukmacherowi mnóstwo kasy i nie był w stanie go spłacić. Wystawił temu Samowi Tagalettowi nie jeden, ale dwa czeki bez pokrycia.

Może dlatego popełnił samobójstwo? Albo został przez kogoś wyrzucony przez okno? Ponieważ winien był bukmacherowi sporo pieniędzy i okazał mu lekceważenie?

Ale musiało być w tym coś jeszcze. Teraz nie mogłem już wątpić, że moja obecność przy stoliku sąsiadującym ze stolikiem Vincenta Marcozzy nie była przypadkowa.

Ale jeśli – jak twierdzi Pinero – to istotnie był spisek, to kto ten spisek uknuł?

Dwayne Robinson? Wątpliwe. Kiedyś był w końcu miotaczem, nie neurochirurgiem.

A może chodziło o kogoś innego i to właśnie Dwayne chciał mi powiedzieć?

W sumie wiedziałem tylko, że nadszedł czas, by nieco bliżej poznać niejakiego Sama Tagaletta. O ile zdołałem go znaleźć.

– Masz aktualny adres tego Tagaletta? – spytałem w końcu.

Hoodie był już dwa kroki przede mną. Nim skończyłem wypowiedać pytanie, pokój wypełnił się szumem drukarki. Dostałem nie tylko ostatni znany adres Tagaletta, ale i najświeższe zdjęcia jego facjaty.

– Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Hoodie.

Tak, możesz mi powiedzieć, co, u licha, robisz w firmie prowadzącej fundusz hedgingowy. Chociaż... Mniejsza o to. Prawdopodobnie tego też nie chcę wiedzieć.

– Nie, już zrobiłeś aż nadto – odparłem. – Wielkie dzięki, stary.

Uścisnąłem dłoń Hoodiego, jeszcze raz podziękowałem i ruszyłem w stronę drzwi.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział. – Rzec się rozumie sama przez się, jednak to powiem. To spotkanie nigdy nie miało miejsca.

Skinąłem głowę.
– Jakie spotkanie?

Rozdział 53

Nigdy nie miałem przed Courtney tajemnic, ani prywatnych, ani zawodowych. Niemniej czułem, że winien jestem Hoodiemu Brownowi – nie mówiąc o Derricku Phalenie – utrzymanie w sekrecie spotkania, które rzekomo wcale się nie odbyło.

Zamierzałem powiedzieć Courtney, że Phalen obiecał mi pomóc, aczkolwiek ostrożnie i ukradkiem. Nie było to kłamstwo, tylko niecała prawda. Jak to się mówi – grzech zaniechania. Albo, jak to ujął jeden z moich wykładowców dziennikarstwa z Northwestern University: „Prawda może i was wyzwoli, ale to małe, niewinne kłamstewko uratuje wam tyłek”.

Gdyby tylko Courtney zechciała odpowiedzieć na mój telefon.

Nie odbierała komórki, a kiedy zadzwoniłem do jej sekretarki, M.J., powiedziała, że Courtney bez słowa opuściła biuro.

Po raz ostatni zrobiła coś takiego, kiedy do biura zawitał Thomas Ferramore z wiadomością o pewnej supermodelce prezentującej się na YouTube.

Dlaczego nagle znów poczułem się tak dziwnie?

Odpowiedź na to pytanie uzyskałem zaraz po wyjściu z pociągu z Greenwich. W hali dworca Grand Central mijałem stoisko z gazetami akurat w chwili, gdy sprzedawca wykladał na ladę najświeższy numer „New York Posta”.

Voilà! Znów ona. Na okładce widniało zdjęcie francuskiej supermodelki Marbelli z kolejnym kieliszkiem szampana w dłoni i łobuzerskim uśmiechem na twarzy. Poniżej znajdował się nagłówek: TYLKO ŻARTOWAŁAM!

Pięćdziesiąt centów później stałem na uboczu z głową wetkniętą między stronicę gazety.

Marbella udzieliła wywiadu francuskiej stacji telewizyjnej, twier-

dząc – *au contraire* – że właściwie nigdy nie spała z Thomasem Ferramore'em. To był tylko kiepski żart i teraz bardzo żałuje, że mogła przysporzyć jakichś problemów miliarderowi i jego amerykańskiej „uroczej narzeczonej”.

Taa, pewnie. Sprzedałaś się, kochaniutka.

Ale było tam coś jeszcze.

Coś na skali wiarygodności właściwie ciut bardziej przekonującego, a przynajmniej twórczego.

Dyrektor generalny ParisJet, francuskiej spółki, w sprawie zakupu której prowadził negocjacje Ferramore, powiedział dziennikarzowi magazynu biznesowego „Les Echos”, że w czasie całego pobytu we Francji Ferramore dniami i nocami prowadził z nim poufne rozmowy.

„Proszę mi wierzyć, pan Ferramore po prostu nie miał czasu na zabawę czy jakieś figo-fago” – stwierdził.

Złożyłem gazetę, wetknąłem ją pod pachę i poszedłem w kierunku wyjścia na Lexington Avenue, żeby złapać taksówkę. Obok mnie przeżykali dojeżdżający do pracy mieszkańcy przedmieść spieszący do swoich pociągów, czułem wibrowanie marmurowej posadzki pod stopami.

Ale przede wszystkim doznawałem paraliżującego, oglupiającego poczucia straty. Niemałej straty.

Byłem pewien, że wiadomość dnia z „Post” nie zaskoczyła Courtney. I bez nich musiała być na bieżąco w kwestii ostatniego zawirowania w fabule jej małżeńskiej epopei. Ferramore prawdopodobnie już o to zadbał. Bo i czemu nie? W tym mieście każdy mógł liczyć na alibi.

Ale czy ona to kupiła?

Nie więcej niż minutę później w mojej kieszeni odezwał się telefon. Courtney w końcu oddzwoniła. Miałem uzyskać odpowiedź na swoje pytanie.

– Widziałem artykuł. Czy już wiesz, co zrobisz? – zapytałem.

– Tak – odpowiedziała.

Rozdział 54

Liczyły się nie same słowa, ale sposób, w jaki Courtney je wymawiała. Jakby już stała przed ołtarzem u boku Thomasa Ferramore'a.

– Tak.

Natychmiast umilkłem. Courtney nie musiała oficjalnie mnie o niczym informować. Wszystko było jasne. A moje serce było złamane.

– Chcę, żebyś zrozumiał, Nick – powiedziała. – Wychodzę za Toma, ale musisz być przy mnie. Potrzebuję tego.

– Byłem przy tobie.

– Wiem. Obiecuj, że to się nie zmieni. Obiecujesz?

Cóż mogłem powiedzieć? Chociaż ją kochałem, zawsze przede wszystkim była moją przyjaciółką.

– Proszę – naciskała. – Obiecujesz? Muszę usłyszeć jednoznaczną odpowiedź, Nick.

Wziąłem głęboki oddech, jednocześnie chowając dumę do kieszeni.

– Obiecuję.

Rzecz jasna, nie miałem pojęcia, jak szybko przyjdzie mi się wywiązać z tej obietnicy.

Kilka godzin później, kiedy słońce chowało się już za wieżowce Manhattanu, przybyłem do śródmiejskiej przystani North Cove, by wejść na pokład „Sweet Revenge”, sześćdziesięciometrowego superjachtu marki Trinity. Widziałem mniejsze domy. Właściwie to wychowałem się w jednym z nich.

Na dziobie znajdował się bar, na rufie grał zespół jazzowy, naprawdę dobra kapela. Między dziobem a rufą można się było na żywo zapoznać z elitą rynku wydawniczego, mody i tym, co pozostało ze zdiełkowanej bankowości i Wall Street.

Ciekaw jestem, czy ktoś by zgadł, dokąd na początek skierowałem swoje kroki. Na pewno nie poszedłem szukać Thomasa Ferramore'a, by

uściskać mu dłoń.

– Wezmę piętnastoletnią laphroaig – rzuciłem pod adresem wynajętego barmana, młodzika, który może z trudem dostałby prawo jazdy, ale na pewno nie był dość dorosły, by podawać drinki.

Młody człowiek spojrzał na mnie tak, jakbym zwrócił się doń w języku suahili.

– Co? – zapytał.

– Piętnastoletnią laphroaig – dobiegło zza moich pleców.

To była Courtney, z butelką mojej ulubionej szkockiej w dłoni.

– Proszę – powiedziała, wręczając butelkę barmanowi.

– Proszę trzymać to pod barem dla pana Daniela, tylko dla pana Daniela.

– Tak jest, pszepani – odparł i szybko nalał mi podwójną whisky. – Piętnastoletnia laphroaig.

Courtney ujęła mnie pod ramię, oddaliliśmy się od baru.

– Bardzo dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała. – To dla mnie bardzo, bardzo dużo znaczy. Jesteś bezkonkurencyjny.

Wszystko wskazywało na to, że taki nie byłem, ale pociągnąwszy łyk wybornej whisky, puściłem do niej oko i spytałem:

– A od czego są przyjaciele?

Uśmiechnęła się szeroko i nachyliła ku mnie, by mi coś powiedzieć, kiedy nagle muzyka ucichła i zadźwięczał uderzany nożem kryształ. Rany koguta, Thomas Ferramore chciał wygłosić toast.

Znów wpakował się między mnie a Courtney. Chyba będę się do tego musiał przyzwyczaić.

– Chodź tu do mnie, kochanie! – huknął. Stał w dumnej pozie na mostku kapitańskim, ubrany w niby-kapitańską białą marynarkę z naramiennikami i paskami na rękawach. U jego boków prężyły się dwie blondynki, obie bardzo ładne. Domyśliłem się, że to ekipa od PR. Czy ten facet był normalny?

Nie mogłem zrozumieć, co Courtney w nim widzi. Nawet kiedy bardzo się starałem.

Gdy szła w stronę mostka, Ferramore podziękował zebranyemu za

przybycie na to „cudowne święto miłości”, mimo iż zaproszenia rozesłano w ostatniej chwili. Słuchacze nagrodzili go oklaskami. Wszyscy, oprócz mnie, rzecz jasna. Jedną rękę trzymałem w kieszeni i kiwałem do niego środkowym palcem.

Nie obraził się. Ciągnął swoją przemowę.

– Courtney i ja chcemy, by tego wieczoru stało się jasne, iż żadne pogłoski, żadne plotki, żadne bzdury nas nie pokonają. Przetrywamy każdą burzę, jaka stanie nam na drodze!

Ferramore odwrócił się ku Courtney, objął ją mocno i pocałował. Jednocześnie triumfalnym gestem uniósł wysoko rękę. Przez pokład przebiegła fala wiwatów wznoszonych przez jego przyjaciół (czy kim tam byli ci przesadnie wystrojeni ludzie).

Na ten sygnał w nocne niebo buchnęły sztuczne ognie. Przepiękny kolaż tęczyowych barw mieszał się z morzem gwiazd. Właściwie było to zachwycające widowisko.

Ale widowisko zasługujące na miano rewelacji wieczoru dopiero miało się odbyć i, oczywiście, miałem wziąć w nim udział.

Rozdział 55

Popołudnie spędziłem z Hoodiem.

Teraz przestawałem z Houdinim.

Thomas Ferramore właśnie dokonał niemożliwego, wykonał numer wszęch czasów. Uniknął pozornie nieuniknionej katastrofy, sugerując zarazem, że w sumie nic się nie stało.

W głębi ducha Courtney być może nadal żywiła pewne podejrzenia, ale tu, na pokładzie jego jachtu, na oczach hordy manhattańskich celebrytów, Ferramore triumfował. A tylko to miało dla niego znaczenie.

I dla mnie.

Po mniej więcej godzinie przyjęcia i po tym, jak młodociany barman uznał, że wypiuwszy dwie trzecie butelki whisky, wypilem o jedną trzecią za dużo, postanowiłem powiedzieć Thomasowi Ferramore'owi, co dokładnie myślę o jego małżeństwie z Courtney.

Tyle że nie mogłem go znaleźć. Wybrałem więc jeszcze gorszy wariant.

Powiedziałem to Courtney.

Przyparłem ją do relingu na sterburcie i wyrzuciłem z siebie prawdę na wiadomy temat głosem niestosownie podniesionym.

– Nie możesz wyjść za niego! Popelniasz błąd! Nie widzisz tego? Jesteś mądra, więc zachowuj się mądrze, Courtney.

Jej oczy wypełniły się łzami. Wszyscy w zasięgu mojego głosu gapili się na tę scenę. Courtney była zdruzgotana. Z trudem udało jej się wymówić kilka słów.

– Widzę tu tylko jakiegoś pijaka, który właśnie złamał daną mi obietnicę.

Odeszła. Zostałem sam, naturalnie jeśli nie liczyć tych wszystkich wciąż mnie obserwujących gapiów. I wtedy dałem im przedstawienie, na które tak czekali. Cała whisky, znajdująca się w moim skądinąd pu-

stym żołądku, wzburzyła się nagle i tą samą drogą, którą się tam dostała, jeła wydobywać się na zewnątrz. Niebawem wychylony przez reling na sterburcie, przy wtórze przeraźliwych odgłosów, karmiłem ryby.

Powinienem być śmiertelnie zażenowany, ale bycie pijanym ma swoje dobre strony: przez pewien czas człowiek jest całkowicie pozbawiony samokrytycyzmu. Niemniej udało mi się podjąć jedną rozsądną decyzję. Poszukam łazienki i nieco się obmyję, żeby móc zatrzymać taksówkę, nie strasząc kierowcy.

Rozdzielając kłębiący się na pokładzie tłum niczym Mojżesz rozdzielający swoją łaską wody Morza Czerwonego, szedłem chwiejnie i bełkotałem pod nosem:

– Łazienka... łazienka... królestwo za łazienkę.

Nikt z obecnych się nie śmiał i chyba nie powinienem mieć im tego za złe. Musiałem wyjść na kompletnego dupka akurat w ten wyjątkowy dla Courtney wieczór. Musiałem taką przykrość sprawić najlepszej przyjaciółce.

Dotarłem do długiego głównego korytarza i poruszając kolejnymi klamkami, próbowałem znaleźć otwarte drzwi. Wszystkie były zamknięte.

W końcu jedne się otworzyły. Przez chwilę macałem po ścianie, szukając wyłącznika światła, i tylko jedna myśl tłukła mi się po głowie: „Błagam, Panie, spraw, żeby to była łazienka”.

Światło się zapaliło, a ja nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

– To jakaś granda! – wyrwało mi się. – To nie może dziać się naprawdę!

Rozdział 56

To było coś jak gra *Clue* w wersji dla seksoholików. Thomas Ferramore... w magazynku... z gaciami spuszczoneymi do kostek...

Przed nim klęczała młoda, bardzo ładna blondynka. Bynajmniej się nie modliła. Miałem wrażenie, że to jedna z tych panien od PR, z którymi wcześniej pokazywał się na pokładzie.

Na twarzy Ferramore'a pojawił się wyraz paniki, ale – co dziwne – zniknął niemal tak szybko, jak się pojawił. Wychodziło na to, że nie można zostać miliarderem bez umiejętności szybkiego myślenia w sytuacjach kryzysowych, nawet z fiutem na wierzchu.

– Wstań, złotko – ze spokojem zwrócił się do blondynki. – Idź, przyłącz się do reszty towarzystwa.

Szybko zapięła bluzkę, otarła usta i pospieszyła w kierunku wyjścia. Ani razu nie spojrzała w moją stronę, ale chyba nie mogłem mieć jej tego za złe.

Chwilowo Ferramore tylko tyle mógł zrobić. Skierował na mnie spojrzenie ciemnych oczu, bez zmrużenia powiek wgapił się w moją twarz. I – niech to wszyscy diabli – zaczął się uśmiechać.

– No więc przyłapałeś mnie – powiedział, gdy tylko zostaliśmy sami. – I co zamierzasz z tym zrobić? Masz już plan działania?

Sukinsyn nie raczył nawet podciągnąć portek.

– A twoim zdaniem co zamierzam z tym zrobić? – odpaliłem. – Takie coś na własnym przyjęciu zaręczynowym? Po tym wszystkim co tam, na górze, powiedziałeś Courtney?

Pokręcił głową i już wyraźnie się uśmiechnął.

– Twoje słowo przeciwko mojemu, a twoje jest nielicho zalane, nie?

Tymczasem nagle poczułem się tak, jakbym opróżnił z tuzin filiżanek kawy. Nie byłem może trzeźwy jak niemowlę, ale bez problemów formułowałem myśli i zdania.

– Czy ty w ogóle kochasz Courtney? – zapytałem.

– Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie ma.

Znów się zaśmiał.

– Tak, wiem o tym – powiedział. – Ty kochasz ją bez pamięci, prawda? Pewnie dlatego uznałeś, że to w porządku pieprzyć się z nią, wiedząc, iż jest zaręczona ze mną.

Trochę mnie zatkało. Jak się o tym dowiedział?

– Powiedziała ci? – spytałem z niedowierzaniem.

Ryknął gromkim śmiechem, a mnie natychmiast przyszło na myśl, że było inne wyjaśnienie.

– Jezu, kazałeś ją śledzić.

– Zawsze pilnuję swoich inwestycji, Nick. Siła przyzwyczajenia. W pewnym sensie to wszystko dowodzi, że Courtney i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. I prawdę mówiąc, powinieneś czuć się szczęściarzem, że tak do tego podchodzę.

– Coś ci w takim razie powiem – oznajmiłem. – Skoro wiesz o Courtney i o mnie, chodźmy, powiedzmy jej o tym, co przed chwilą widziałem, i niech sama zadecyduje.

– Zrób to, a pożegnasz się z pracą w „Citizenie”.

– Tak, ale bez wątpienia wylecę z hukiem.

– Owszem, na pewno. Gorzej, że Courtney też straci pracę. Rozumiesz to, oczywiście.

Szach-mat. On też o tym wiedział. „Citizen” to było ukochane dziecko Courtney, radość jej życia.

Ferramore schylił się w końcu i podciągnął spodnie.

– Jednak aby pokazać, iż nie żywię wobec ciebie żadnych wrogich uczuć, może wypełnię czek i zapomnimy, że cała ta sprawa w ogóle miała miejsce.

Czy ten palant naprawdę próbował mnie kupić? To już była najgorsza obraza.

– To zależy – powiedziałem. – Po ile teraz chodzi przyłapanie cię z panienką robiącą ci loda?

– Bardzo dobre pytanie – dobiegł zza moich pleców drżący głos. –
Po ile to chodzi, Tom?

Rozdział 57

Odwróciłem się na pięcie. Courtney stała oparta o framugę, obejmując się ciasno ramionami, jakby we własnym uścisku szukała ukojenia. Jej oczy ciskały tyle błyskawic w kierunku Ferramore'a, że właściwie powinienem przykucnąć.

Nikt nie musiał pytać, jak długo tam stała i jak wiele usłyszała.

Najwyraźniej usłyszała dość.

Ale w jej oczach nie było łez, jak podczas mojego występu na pokładzie. Nie była nawet smutna. Była wściekła jak diabli na Ferramore'a i jeszcze bardziej wkurzona na siebie. Chyba wiedziałem, co myśli: „Jak mogłam być taka głupia?”.

– A teraz powiedz mi, Tom, ile musiałeś zapłacić tej małej francuskiej modelce, żeby zmieniła swoją opowieść? Ile wyniósł rachunek? – zapytała zdecydowanym tonem.

Spodziewałem się, że w tym momencie Ferramore okaże choć odrobinę skruchy. Może nawet wykaże nieco klasy.

Ale gdzie tam. Jakże się myliłem. Bogaci mają o sobie tak niewiarygodnie wysokie mniemanie...

Palant uśmiechnął się z wyższością i oznajmił:

– Cholera, była tania w porównaniu z dyrektorem generalnym ParisJet. Właściwie musiałem kupić tę jego spółkę.

W jednej chwili Courtney zerwała z palca pierścioneł z dziesięciokaratowym diamentem i cisnęła nim prosto w pierś Ferramore'a.

– Chodź, Nick, idziemy – powiedziała.

Trzy najpiękniejsze słowa, jakie ktokolwiek – nie tylko ona – do mnie powiedział.

– Mam nadzieję, że będziecie ze sobą ogromnie szczęśliwi – zaszczybiał Ferramore, zapinając spodnie. – A przy okazji: oboje jesteście wyłani. Życzę szczęścia w poszukiwaniu pracy.

– Nie martw się, znajdziemy ją – odpaliła Courtney.

– Widzisz, ja zacznę od nowa. Ale ty? Zawsze będziesz kupą gówna!
Brawo, Courtney!

Odwróciła się i wyszła, a ja już miałem podążyć za nią, kiedy się zawahałem. Nie mogłem się powstrzymać. To był taki właściwy moment; nie byłem jeszcze gotów odejść.

– A przy okazji, Ferramore – powiedziałem, spoglądając na jego idiotyczną białą marynarkę – dzwonił kapitan Stubing ze *Statku miłości*. Żąda zwrotu swojego munduru.

Rozdział 58

Gdyby to był film, Courtney i ja przez całą noc kochalibyśmy się namiętnie przy wtórze solo saksofonu. Następnie, trzymając się nawzajem w ramionach, obudzilibyśmy się z błogiego snu, a każdy włoszek na naszych głowach znajdowałby się na swoim miejscu.

I tyle o filmach, które zresztą i tak niezbyt często trafiają w sedno.

Następnego ranka nie obudziłem się z Courtney w ramionach. W ogóle nie było jej w moim mieszkaniu. Miałem natomiast straszliwego kaca i włosy rozczochrane tak, że przestraszyłbym nawet Lyle'a Lovetta.

Opuszczając jacht Ferramore'a, Courtney była tak przygnębiona i wściekła, że nawet nie pomyślała, żeby angażować się ze mną w jakiś scenariusz w rodzaju „słodkiej zemsty”. Ja zaś byłem na tyle pijany, że naprawdę nie oczekiwałem niczego ponad całusa w policzek. Może. Mimo wszystko na przyjęciu zachowałem się gorzej niż obrzydliwie i złamałem daną jej obietnicę.

– Najpierw do jego mieszkania – powiedziała Courtney taksówkarzowi – potem do mojego. – Przez całą jednak drogę trzymała mnie za rękę i kiedy dojechaliśmy do mojego domu, w rzeczy samej pocałowała mnie w policzek. I tak skończył się ten wieczór.

A przynajmniej jestem raczej pewien, że tak się skończył. Do południa byłem jeszcze wstawiony. Dopiero supermocna kawa i zimny prysznic sprawiły, że zdołałem z siebie wykrzesać pierwszą jasną myśl.

Na mocy decyzji Thomasa Ferramore'a nie pracowałem już w „Citi-zenie”. Tak oto straciłem nagle świetną pracę, prawdopodobnie najlepszą, jaką kiedykolwiek miałem. Zostałem wylany. Wykopany za słuszne postępowanie.

Nadal jednak miałem coś do zrobienia. Miałem do wypełnienia swoją *mission impossible*.

Uzbrojony w adres i kilka zdjęć jakiejś paskudnej gęby otrzymane od Hoodiego Browna, wyruszyłem do południowego Bronxu na poszukiwanie Sama Tagaletta. Jak na ironię, mieszkał niespełna sześć przecznic od stadionu Jankesów. Czy to stąd wzięło się jego pierwsze spotkanie z Dwayne'em?

Mieszkanie Tagaletta mieściło się na pierwszym piętrze rozpadającego się narożnego budynku o elewacji z dosłownie rozsypujących się bloków piaskowca. Części z nich zwyczajnie brakowało. Facet najwyraźniej nie dbał o to, jakie wrażenie robi jego kwatery.

A także o to, kto wchodzi z ulicy do jego budynku.

Nie dość, że nie było domofonu, to jeszcze otwarte drzwi podparto – czymże innym? – blokiem z elewacji.

Mój plan działania wewnątrz budynku był całkiem prosty. W gruncie rzeczy tak prosty, że mógł go zrealizować każdy ośmiolatek – i pewnie niejeden realizował. Zadzwoń i chodu!

Wszedłem po schodach, zastukałem mocno do drzwi mieszkania 2B i pomknąłem na drugie piętro. Chciałem zobaczyć lokatora, by upewnić się, że to istotnie Tagaletto – zakładając, iż był w domu.

Był.

Ostro szczerknął rygiel i drzwi jego mieszkania otworzyły się na tyle, na ile pozwalał na to łańcuch. Wtedy go ujrzałem – wysokiego, chudego, o lisiej, plamistej twarzy, której nawet matka nie mogła kochać. Cholera, ten facet w rzeczywistości wyglądał gorzej niż na tym okropnym zdjęciu.

Jeszcze raz zerknąłem na niego przez balustradę na drugim piętrze, kiedy rozglądał się, wodząc po klatce schodowej ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma. Potem, niczym żółw chowający się w skorupie, wycofał się do mieszkania.

Przygotowałem się na dłuższe czekanie.

Miałem nadzieję, że wkrótce będzie musiał dokąś pójść albo się z kimś spotkać. Każda z tych ewentualności mogłaby oznaczać przełom, na który czekałem. Potrzebowałem odrobiny szczęścia. Z drugiej strony przy moim szczęściu facet pewnie okaże się pustelnikiem. Sam Tagalet-

to, trapiący agorafobią bukmacher z południowego Bronxu...

Świetnie, po prostu świetnie.

Nie minęło jednak nawet pół godziny, a znów usłyszałem szcęk zamka z rygłem.

Tak! Sam Tagaletto opuszczał mieszkanie. Dokąd się teraz skieruje? I czy uda mi się śledzić go tak, żeby mnie nie zauważył i nie stłukł na kwaśne jabłko?

Rozdział 59

Mógłbym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy robiłem w swoim życiu za czyjś „ogon”. I nadal zostałyby mi pięć wyprostowanych palców.

Owszem, idąc po ulicy za Tagalettem, doznawałem nieznanymi mi dotąd uczuć, łącznie z niesłabnącym waleniem serca w piersi. Jak blisko jest za blisko?

Uznałem, że najlepiej tego nie sprawdzać. Przez pierwszych kilka przecznic utrzymywałem bezpieczny dystans i raz, kiedy skręcił za róg na ruchliwym skrzyżowaniu, omal go nie zgubiłem. Prawdę mówiąc, na pewno zgubiłbym go na zatłoczonym chodniku, gdyby nie jego nikotynowy nałóg. Wystarczyło tylko nie tracić z oczu szarej chmury unoszącej się nad jego głową. Facet dymił bardziej niż komin zimą.

Chudy i zaniedbany, Tagaletto pod względem fizycznym nie prezentował się zbyt okazale. Jakimś jednak sposobem udawało mu się wyglądać groźnie. Może to za sprawą chodu w stylu „odpierzdelcie się ode mnie”. Bez wątplenia spotykał się z pełnym zrozumieniem.

Kolejne kilka przecznic i nadal trzymałem się dokładnie za nim. W końcu jednak ponownie skręcił i zginął mi z oczu w labiryncie witryn sklepowych.

Natychmiast puściłem się biegiem. Tagaletto zniknął w wąskim zaułku obok pizzerii z czerwonym neonem w oknie: SLICE OF HEAVEN. Plaster nieba.

– Cholera, gdzie on się podział? – mruknąłem pod nosem, zajrzawszy w zaułek zza rogu. Dyszałem ciężko, ale widziałem tylko stopy śmieci pod ścianami i nikogo między nimi. Powolutku ruszyłem przed siebie. Dokąd, u licha, polazł?

Najbardziej prawdopodobną odpowiedź na to pytanie znalazłem w połowie zaułka. Były to metalowe drzwi, jedyne na całej jego długości.

Gdybym musiał, założyłbym się, że prowadziły do kuchni Slice of Heaven. Nos mówił mi, że to nieciekawe miejsce, i nie miało to nic wspólnego z unoszącym się w powietrzu zapachem pepperoni i cebuli.

Właśnie miałem zawrócić i wynieść się stamtąd w cholerę, gdy usłyszałem, że drzwi w zaułku zaczynają się otwierać. Zgrzyt zardzewiałych zawiasów odbijał się echem od ścian. Czym prędzej skoczyłem za pojemnik na śmieci, który śmierdział tak obrzydliwie, że musiałem zatkać sobie nos rękawem.

Między stosem odpadków a ścianą znajdował się prześwit szerokości może pięciu centymetrów, więc zdołałem dojrzeć Tagaletta wychodzącego z budynku.

Palił papierosa. I nie był sam.

Jasny gwint.

Natychmiast rozpoznałem tego drugiego gościa. Jak mógłbym nie rozpoznać? Był to Carmine Zambratta alias Zamboni.

Trudno o lepsze przezwisko dla członka mafii. Zambratta nie tylko wyglądał jak Zamboni – maszyna do wygładzania lodu na hokejowych lodowiskach – ale też tak działał. O ile wiedziałem, był facetem, którym posługiwano się, gdy pojawiały się jakieś „sęki” wymagające wygładzenia. Cały Nowy Jork znał jego twarz. Niezliczoną ilość razy podobizna jego gęby zdobiła pierwsze strony tabloidów. Towarzyszące jej nagłówki niezmiennie stanowiły wariację na jeden temat: Niewinny!

Jeśli chodziło o umiejętność unikania skazania, Zambrattcie dorównywał tylko jeden znany mafioso. Eddie „Książę” Pinero.

Dlaczego zatem dziwił mnie widok Zambratty?

Być może dlatego, że nie podlegał Eddiemu Pinerze. Wręcz przeciwnie. Pracował dla konkurencyjnego bossa mafijnego nazwiskiem D’zorio, Joseph D’zorio.

Przez kilka sekund nic, tylko gapiłem się na dwóch gangsterów. Potem sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem iPhone’a i włączyłem aparat. Uniosłem telefon, ustawiłem tak, by na wyświetlaczu mieć Tagaletta i Zambrattę, i już miałem zrobić zdjęcie...

Cholera. Co znowu?

Zambratta zniknął. Gdzie, u licha?

– Tu jestem, kutasie – usłyszałem nagle, a lufa pistoletu szturchnęła mnie w policzek.

Rozdział 60

– Czy ja cię znam? – zapytał Zambratta takim tonem, jakby z góry znał odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie – odparłem, starając się nie trząść. Bóg jeden wie, jak brzmiał mój głos. Pewnie jak głos kogoś, kto właśnie robi w portki ze strachu. Znalazłem się poza swoją ligą, w obcym mi żywiole i półprzytomny ze strachu.

– Słusznie, nie znam cię – powiedział. – Skąd więc ty znasz mnie?

– Nie znam.

Zambratta odwiódł kurek pistoletu. To szczęknięcie rozniosło się echem w mojej głowie.

– Nie wciskaj mi kitu – rzekł. – Wszyscy mnie znają. Jestem legendą.

Starłem się oddychać normalnie, ale stawało się to w zasadzie niemożliwe.

– Wiem, kim jesteś – poprawiłem się. – Nie wiedziałem, że tu będziesz. O to mi chodziło. – Co to, do diabła, miało niby znaczyć?

Odwróciłem się nieco, moje oczy na ułamek sekundy napotkały jego spojrzenie, bardzo przenikliwe i skupione. Zobaczyłem dość, by się domyślić, że próbuje zdecydować, co ze mną zrobić.

– Sam! – zawołał.

Tagaletto zbliżył się do pojemnika na śmieci, papieros wisiał mu u cienkich warg.

– Co za smród – powiedział. Potem wzruszył ramionami. – Kto to?

– Ty mi powiedz – odparł Zambratta. – Ty go tu przyprowadziłeś.

– Nigdy go nie widziałem. Nie mam pojęcia, kim jest ten idiota.

– Jesteś pewien?

– Jasne, że jestem pewien.

– Jak się nazywasz? – zapytał Zambratta.

Moją pierwszą myślą było zełgać. Szczęściem przeważyła druga

myśl, bardziej dorzeczna.

– Nick Daniels – powiedziałem.

– Odwróć się twarzą do ściany, Nick – rozkazał Zambratta, cofając się o kilka kroków. Jego słowa dotarły do mojej świadomości tylko dzięki pomocy Tagaletta, który wyświadczył mi uprzejmość i silnie pchnął mnie na ścianę. Gdy tylko moje dłonie dotknęły muru, obszukał mnie.

Wyjął z kieszeni mój portfel.

– Hej – zaprotestowałem odruchowo, ale zaraz się zamknąłem.

– Odwróć się – rzucił Zambratta. – Ale rączki trzymaj grzecznie wysoko nad głową.

Posłuchałem. Zobaczyłem, że Tagaletto ogląda moje prawo jazdy. Skinął głową w stronę Zambratty. Mówiłem prawdę. Czy dla gości z mafii to się liczyło? Prawdopodobnie nie.

– Kim więc jesteś, Nicku Danielsie?

– Dziennikarzem.

– Aaa. I śledziłeś Sama?

Mówiłem prawdę. Pora zacząć kłamać. Jazda, Nick, myśl szybko! Szybciej!

– Piszę artykuł – odparłem. – O bukmacherach. A właściwie o nowojorczykach, których zrujnowało ich uzależnienie od hazardu. – Brzmiało całkiem nieźle, zważywszy okoliczności.

– Sądysz, że uwierzę w te bzdety?

Ruchem głowy wskazałem Tagaletta.

– Jest bukmacherem, nie?

– A dla mnie co z tego wynika? – zapytał Zambratta. – Czy teraz i ja znajdę się w twoim artykule?

– Absolutnie nie – odparłem. – Prawdę mówiąc, jestem właściwie pewien, że to był kiepski pomysł na artykuł. Bardzo kiepski. Teraz to sobie uświadamiam. Tak więc nic tu po mnie. Mogę powoli opuścić ręce?

Zambratta zachichotał. Zostałem jego nadwornym błaznem. I dobrze, dopóki nie byłem jego kolejną ofiarą.

– Co powinniśmy z nim zrobić, Sam? – spytał Zambratta. – Masz jakieś błyskotliwe pomysły?

Tagaletto raz jeszcze wzruszył ramionami, niedopałkiem papierosa pstryknął w ścianę.

– Facet ewidentnie wie kilka rzeczy, których nie powinien wiedzieć.

– Twierdzisz, że powinniśmy go zabić?

– Ty decydujesz. Ale ja bym zabił.

Zambratta skinął głową.

– No to dawaj – powiedział, rzucając Tagalettowi swój pistolet. – Zbij go.

Rozdział 61

Przysięgam, że pistolet leciał w zwolnionym tempie. Takie w każdym razie miałem wrażenie. Tęponosy kawałek metalu płynął w powietrzu, a moje życie zawisło na włosku.

Patrzyłem, jak bukmacher ustawia się niezdarnie, potem niemal upuszcza broń. Zgubił papierosa. Jego ręce były najwyraźniej równie zaskoczone, jak cała reszta. Poważnie? – mówił wyraz jego twarzy.

Mnie Zambratta wydawał się cholernie poważny.

– Proszę – powiedziałem. – Nie róbcie tego! – Jestem zakochany we wspaniałej kobiecie i nim umrę, muszę tę sprawę doprowadzić do końca.

– Zamknij się – warknął Zambratta.

Wpatrywałem się w Tagaletta z całą ironią kotłującą się w moim mózgu. Trzymał pistolet, ale już nie było w nim nic groźnego. Wyglądał na zdenerwowanego, niemal równie przestraszonego jak ja, choć to nie on usłyszał wyrok śmierci.

Nie może tego zrobić! Nie jest do tego zdolny!

– O co chodzi, Sam? Na co czekasz? – zapytał Zambratta. – Zabij go.

Tagaletto milczał. Nie spojrzał nawet na Zambrattę. Ani na mnie. Głowa spuszczone, oczy wlepione w zapaskudzony bruk zaułka.

– Nie musicie tego robić – spróbowałem ponownie. – Dla żadnego z was nie stanowią zagrożenia. Pozwólcie mi odejść, a będzie tak, jakby nic się nie stało.

– Powiedziałem: ZAMKNIJ SIĘ! – huknął Zambratta, a żyły na szyi nabrzmiały mu pod kołnierzem brązowej skórzanej kurtki.

Następnie zwrócił się do Tagaletta.

– Nie możemy zmarnować tu całego dnia, Sam. Jeśli brak ci jaj, żeby to zrobić, powiedz mi.

Rany boskie! Zambratta podpuszczał go do popełnienia morderstwa

– na mojej osobie!

Ze zgrozą patrzyłem, jak Tagaletto odrywa wzrok od bruku. Teraz patrzył mi prosto w oczy. Uniósł pistolet, wycelował w moją pierś.

Zrób coś, Nick! Rzuć się na niego! Zrób cokolwiek! Zauważyłem, że ręka Tagaletta zaczyna się trząść. Przytrzymał ją drugą. Starał się zapamiętać nad nerwami. Czyżby to był jego pierwszy raz?

– Nie rób tego – powiedziałem.

Wtedy nacisnął spust.

Powietrze wokół mnie eksplodowało z przeraźliwym hukiem, który ranił moje uszy.

Nie poczułem bólu.

Spojrzałem w dół. Nie zauważyłem śladów krwi ani żadnej widocznej rany.

Chybił z odległości dwóch metrów?

Na koniec spojrzałem na Tagaletta. Już nie stał przede mną. Leżał na ziemi w kałuży własnej krwi.

– Na twoje szczęście zawsze noszę zapasowy – rzekł Zambratta. Schował drugi pistolet do kabury pod kurtką.

Nie mogłem się ruszyć, byłem jak sparaliżowany. Chciałem zapytać, dlaczego to Tagaletto był martwy, a nie ja. Nie mogłem jednak mówić.

Tak czy inaczej, Zambratta udzielił mi odpowiedzi.

– Sam był bezmyślnym skurwielem, od zawsze – rzucił z drwiącym uśmiechem. – Dzisiaj stuknęłoby dziennikarza. Jutro byłby to agent federalny.

Wsunął moje prawo jazdy do kieszeni, portfel rzucił na ziemię. A potem naprawdę mi przypieprzył.

– Na razie nie wolno mi cię zabić – oznajmił.

Rozdział 62

Przez całą drogę powrotną do domu ostatnia kwestia Zambratty rozbrzmiewała w mojej głowie niczym echo wystrzału, który zabił Sama Tagaletta. Co więcej, dotarło do mnie, że Zambratta wiedział, kim jestem, zanim zobaczył moje prawo jazdy.

Ponieważ pracował dla Josepha D'zoria.

Wszystko zaczynało się łączyć w niewyobrażalny dla mnie sposób. I nie było w tym nic dobrego. Ludzie, których nie znałem, których nigdy wcześniej nie spotkałem, wiedzieli dokładnie, kim jestem, i chcieli mojej śmierci. Tyle że jeszcze nie teraz.

Tym bardziej miałem powód do tego, by biec – nie iść! – prosto na policję. Ale nie pobiegłem. Tak postanowiłem.

Jeszcze nie teraz. Za bardzo pochłonęła mnie gonitwa za prawdą. Ten sam dzieciak, który z nabożnym zachwytem wpatrywał się w Woodwarda i Bernsteina we *Wszystkich ludziach prezydenta*, był teraz zbyt zaabsorbowany poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, co naprawdę połączyło mnie z Dwayne'em Robinsonem tego krwawego dnia w Lombardo's. Czy raczej: kto nas połączył.

Jeśli dobrze rozumiałem to, co dotychczas się wydarzyło, wszystko zaczęło się tego dnia, gdy Dwayne Robinson źle postawił i przegrał pieniądze, których nie miał. Wisiał Samowi Tagalettowi, ale Tagaletto był tylko pośrednikiem. W rzeczywistości Dwayne winien był pieniądze Josephowi D'zoriowi. Po tym, jak wystawił dwa czeki bez pokrycia, D'zorio mógł kazać połamać mu ręce albo utopić go w Hudson River.

Ale D'zorio nie zostałby bossem mafijnym, gdyby posługiwał się tylko przemocą. Był inteligentny i przebiegły. Grywał w szachy, nie w warcaby. Zapropował więc Dwayne'owi lepszy sposób zwrócenia długu. Były leworęczny gwiazdor miał tylko przerwać długotrwałe milczenie i w pozornie przypadkowo wybranej restauracji udzielić wywia-

du godnemu zaufania dziennikarzowi, który łyknąłby ewentualną opowieść.

Niech się kręci magnetofonowa szpula.

„Mam wiadomość od Eddiego”.

W ten sposób D'zorio udupił Eddiego Pinera. Posłużył się Dwayne'em i mną. Przede wszystkim jednak wykorzystał fakt, że Pinero miał motyw, by chcieć śmierci swojego wieloletniego doradcy prawnego.

Plan był zgoła doskonały. Aż do odnalezienia przeze mnie na taśmie wzmianki o Pinerze. Rzecz jasna, nie mogłem tego nie zrobić. I gdybym nie zostawił w Lombardo's kurtki i nie porozmawiał z Tiffany, nic nie wzbudziłoby moich podejrzeń.

W tym miejscu plan D'zoria zrobił się nieco zbyt doskonały. Przy najmniej jeśli chodziło o mnie.

Teraz rodziło się pytanie, czy zdołałbym przekonać o słuszności mojej teorii kogokolwiek liczącego się w policyjnych kręgach. I czy pożyję dość długo, by tego dokonać.

Sekundę po wejściu do mieszkania trzymałem w dłoni wizytówkę Derricka Phalena. Niedawno minęła czternasta trzydzieści. Była szansa, że nadal siedział w biurze. Niemniej jednak prosił, bym dzwonił do niego tylko na komórkę.

Phalen odebrał bardzo szybko, po pierwszym sygnale, ale powiedział, że oddzwoni za kilka minut. Kiedy to zrobił, podczas rozmowy słyszałem w tle odgłosy ulicy. Było jasne, że wyszedł, żeby do mnie zadzwonić. Czy miałem do czynienia z kompletnym paranoikiem, czy z kimś piekielnie sprytnym?

– Mamy dużo do omówienia – oznajmiłem. – Mózg ci się zlasuje, jak usłyszysz.

– Nie wiesz nawet w połowie, jak rzeczy stoją – odrzekł. – Kiedy usłyszysz, co odkryłem minionej nocy, tobie mózg się zlasuje.

Rozdział 63

Phalen powiedział, że w tej chwili nie może przekazać mi swych nowin, i nie chciał rozmawiać przez telefon.

– Nick, możesz wieczorem przyjechać do mnie do domu? – zapytał.

Wolne żarty. Jakby coś mogło mnie od tego powstrzymać.

Wieczorem, jadąc do Derricka, zadzwoniłem do Courtney. Była cicha i wycofana, więc nie poruszałem tematu Thomasa Ferramore'a. Nie mówiłem też o dzisiejszych wydarzeniach w Bronxie. Powiedziałem, że mam się spotkać z Phalenem, na co odparła:

– Bądź ostrożny, Nick. Nie chcę cię stracić.

Kilka minut po dwudziestej wjechałem w Henry Hudson Parkway w sercu części Bronxu noszącej nazwę Riverdale. Ulica, przy której mieszkał Phalen, biegła kilka przecznic na południe. Wznosiły się tam przedwojenne budynki o elewacjach z brązowego piaskowca. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, przysięgłbym, że znajduję się na Manhattanie, w Upper East Side.

Jeśli nie liczyć jednej różnicy: wolnych miejsc do parkowania. Wypatrzyłem takie chyba nie więcej niż dwadzieścia metrów od domu Phalena.

Zabrałem torbę na ramię i wysiadłem. Przypomniał mi się wtedy dowcip opowiedziany kiedyś przez wuja Lea. Miałem wówczas dziewięć czy dziesięć lat.

„Jak utrzymać w napięciu indyka?” – zapytał wuj.

„Nie wiem. Jak?”.

Wuj Leo uśmiechnął się i odrzekł:

„Później ci powiem, indyku”.

Nie mogłem się doczekać rewelacji Phalena. Z bijącym sercem prawie biegłem w kierunku jego bloku. Ale nagle zatrzymałem się z jedną nogą na schodku przed wejściem.

Czy aby zamknąłem samochód?

Nie mogłem sobie przypomnieć.

Sięgnąłem do kieszeni, wymacałem kciukiem przycisk zamka na kluczu elektronicznym. Kliknąłem przycisk i spojrzałem na tylne światła pozycyjne mojego saaba, czekając, aż mrugną. Tylko że nie mrugnęły.

Kliknąłem jeszcze raz.

Nic.

Klnąc pod nosem, ruszyłem z powrotem, pewien, że samochód znajduje się poza zasięgiem nadajnika. Wyciągnąłem klucz z kieszeni i skierowałem prosto na deskę rozdzielczą. Teraz na pewno znajdowałem się dostatecznie blisko.

Ale tylne światła nadal nie mrugały.

No, już!

Potrząsnąłem kluczem, jeszcze kilka razy mocno wcisnąłem guzik. Czyżby padła mała bateria znajdująca się w środku tego cacka?

Nie, ona nie. Ale ja bez wątpienia miałem paść.

Bum! – huknął mój saab.

Rozdział 64

Samochód na dobry metr uniósł się w powietrze, a w moim kierunku pomknęła pomarańczowa kula ognia. Cisnęła mną o chodnik z taką siłą, że na kilka sekund straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, odgłos wybuchu nadal dudnił mi w uszach. Słyszałem dźwięki pękającego szkła, skręcane metalu. Mój samochód rozpadał się na kawałki!

Wstałem powoli, żar bijący od płonącego wozu zmusił mnie do cofnięcia się o kilka kroków. Jestem cały? Czy może jestem ciężiej ranny, niż mi się zdaje? Czy nadal znajduję się wśród żywych?

Spojrzałem po sobie, na nadpalone ubranie, i uzyskałem częściową odpowiedź na swoje pytania. Ze swetra, dosłownie, unosił się dym. Kręciło mi się w głowie i byłem śmiertelnie wystraszony, ale – co najważniejsze – przeżyłem.

Okay, Nick. Nic ci nie jest.

Potem rozegrała się jeszcze jedna okropna scena. Usłyszałem krzyk, który zjeżył mi włoski na karku.

Rozejrzałem się na wszystkie strony i wreszcie na chodniku po drugiej stronie ulicy dostrzegłem czekoladowego labradora ciągnącego za sobą smycz. Pies kręcił się w kółko i ujadł jak szalony.

Po chwili zrozumiałem dlaczego.

Pognałem przez ulicę, w biegu zrywając z siebie sweter. Gdy dotarłem do krawężnika, już frunąłem w powietrzu.

Właściciel psa, chłopak około dwudziestki, leżał na ziemi ogarnięty płomieniami i krzyczał w męce. Wylądowałem na nim ze swetrem przed sobą, próbując stłumić ogień.

– Pomóż mi! – błagał teraz. – Proszę, pomóż mi! Tłumiłem ogień swetrem i swoim ciałem, ale płomienie były uparte, potrzebowałem pomocy.

Dzięki Bogu, nadeszła. Poczulem na skórze chłód rozpylonego białego proszku. Był już najwyższy czas.

Kaszlałem i plułem, z trudem łapiąc oddech. Ktoś opróżnił chyba całą gaśnicę. Mnie to pasowało. A już na pewno pasowało facetowi pode mną, który nareszcie przestał płonąć.

– Żyjesz? – zapytałem, wreszcie się z niego stoczywszy.

– Nie wiem. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Tymczasem ulicę zapelnili mieszkańcy okolicznych domów.

Wszyscy, którzy słyszeli wybuch, przybiegli zobaczyć, co się stało. Nie wiedzieli, ale ja wiedziałem – i to przejmowało mnie chłodem jak rozpylony proszek z tuzina gaśnic.

Ktoś właśnie próbował mnie zabić.

Pamiętam jeszcze, że jacyś dobrzy ludzie z tłumu pomogli mi stanąć na nogi.

– Jest pan ranny? – zapytał nieznany mi mężczyzna.

– Nic panu nie jest?

Usłyszałem pytanie, lecz nie odpowiedziałem. Wodziłem tylko wzrokiem po tych wszystkich zatroskanych, przestraszonych twarzach. Z każdą kolejną nierozpoznaną twarzą stawałem się coraz bardziej niepokojny.

– Nie! – zawołałem nagle. – Boże, nie!

I już biegłem, oddalając się od zbiegowiska. Szybko, tak szybko, jak byłem w stanie biec na miękkich nogach.

Jakby od tego zależało czyjeś życie.

Rozdział 65

Robiłem teraz na ulicy za szaleńca – facet pokryty białym proszkiem, w nadpalonym ubraniu, o osmalonej skórze i opalonych włosach, z rozpaczą w oczach.

Z każdym krokiem tego nieprzytomnego biegu rozglądałem się wkoło z nadzieją, że wypatrzę Phalena.

Czy to Derrick, tam, przy hydrancie przeciwpożarowym?

Nie.

Czy to on na podeście schodów?

Cholera! Znów nie.

Ciągle wpadałem na jakichś ludzi, z trudem torując sobie drogę. Zrobiło się tu uliczne przyjęcie dla ciekawskich z moim płonącym samochodem w centrum i ze mną jako dodatkową atrakcją.

Dotarłem do kamienicy Phalena i wbiegłem po schodach, wiosłując rękami w powietrzu. Drzwi frontowe były zamknięte – szlag by trafił! Obróciłem się ku rządkowi przycisków domofonu. Przetrzęsnałem kieszeń, szukając wizytówki Phalena, na której odwrocie, jak pamiętałem, zapisałem numer jego mieszkania.

3C!

Z rozmachem nacisnąłem guzik dzwonka. Sekundy wlokły się nie-miłosiernie, kiedy czekałem na odpowiedź. Przez głowę przelatywały mi rozmaite scenariusze. Derrick brał prysznic. Uciał sobie drzemkę. Nie ma go jeszcze w domu. Wszystko, tylko nie to, czego się obawiałem.

Nadal naciskałem guzik dzwonka, gdy drzwi otworzyły się nagle. Mężczyzna w szlafroku wybierał się na ulicę, by zbadać przyczynę zamieszania.

– Hej, co z tobą? – rzucił, bo niewiele brakowało, bym go przewrócił, pakując się do środka.

Klatka schodowa znajdowała się naprzeciw wejścia. Skacząc po dwa

stopnie, biegłem na pierwsze piętro, potem na drugie. Facet w szlafroku nadal coś do mnie krzyczał, grożąc wezwaniem policji.

Przejechałem wzrokiem po drzwiach. Mieszkanie 3C mieściło się w głębi korytarza, od frontu.

Drzwi były zamknięte. Oczywiście.

Źukłem w nie, wołając Derricka po imieniu.

Proszę, bądź tam!

Im dłużej jednak stukałem, tym mniejszą miałem nadzieję.

Odwróciłem się, szukając czegoś, co pomogłoby mi rozwalić te przekłete drzwi. Po chwili już wiedziałem, czego mi trzeba. Cholera, odpowiedź miałem poniekąd na sobie.

Ale w korytarzu na piętrze Derricka nie było gaśnicy.

Wbiegłem na trzecie piętro. Tak! U szczytu schodów wisiała duża butla, połyskująca czerwienią i srebrem. Zerwałem ją ze ściany i pognałem w dół, z powrotem pod drzwi mieszkania Phalena. Zacząłem z całej siły walić w nie gaśnicą i teraz już na pewno wyglądałem jak szaleniec.

W końcu drzwi pękły. Mogłem dosięgnąć zamków. Potem drzwi stanęły przede mną otworem. Już miałem zawołać Derricka...

Zamiast tego osunąłem się na kolana. Oto wpatrywałem się w miejsce, gdzie kiedyś znajdowały się oczy Derricka Phalena.

Część czwarta

Brzemie dowodu

Rozdział 66

Znów znajdowałem się na ulicy i rozmawiałem z detektywami z miejscowego posterunku. I wtedy spostrzegłem, że na miejscu zbrodni pojawił się ktoś, z kim akurat teraz zupełnie nie miałem ochoty rozmawiać. Kogo nawet nie chciałem widzieć.

Oficjalnie Riverdale, jako dzielnica okręgu Bronx, nie podlegało jurysdykcji prokuratora okręgowego Manhattanu. Nieoficjalnie – Sorren miał to w nosie.

Podobnie jak dwaj detektywi, którzy mnie przesłuchiwali. Wystarczyło, że Sorren wykonał znaczący ruch głową, a obaj się oddalili.

Sorren zapalił papierosa i obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– Cały jesteś? – zapytał.

– Tak – odparłem. – Chyba tak.

W takim razie...

Sorren postąpił krok naprzód. Zachowywał się prowokująco.

– I co ty sobie myślałeś?

Podniosłem się ze zderzaka ambulansu, żeby stanąć bliżej niego, twarzą w twarz. Nigdy nie czułem się tak wyczerpany i rozstrojony, ale nie zamierzałem pozwolić na to, by tu, na miejscu zbrodni, rozstawiano mnie po kątach. Byłem jedną z ofiar, czyż nie? Jasne, że byłem.

– W twoim biurze powiedziałem ci, co myślę. Pamiętasz? Ty stwierdziłeś, że nie mam dowodu i że powinienem spróbować jakiś znaleźć.

Sorren z niedowierzaniem machnął ręką.

– Poszedłeś więc do OCTF i naplotłeś prokuratorowi o artykule, który piszesz?

– Skąd o tym wiesz? – zapytałem.

– Jadąc tutaj, rozmawiałem z szefem Phalena, Ianem LaGrange'em. Powiedział, że okłamałeś ich obu.

– Ma rację, kłamałem. Dlatego Phalen nie chciał mieć ze mną do czy-

nienia – powiedziałem. – Przyjechałem tutaj, żeby spróbować zmienić jego nastawienie. To wszystko.

Sorren uśmiechnął się drwiąco. Pewnie wiedział, że raczej nie jest to prawda. W końcu Phalen został zamordowany, a ja ledwie uniknąłem takiego samego losu.

– Posłuchaj, Nick. – W jego głosie pojawiły się ostre tony. – Mogłeś chronić Phalena, dopóki żył.

Au. To zabolalo. Sam karcilem się w myślach za wciągnięcie Derricka w ten galimatias. Wewnętrzne poczucie winy wystarczająco mi doskwierało. Wyrzuty Sorrena jeszcze to pogarszały.

Miał jednak rację. Nagle przypomniałem sobie, że Sorren jest bardzo bystrym facetem i że go potrzebuję, choćby po to, by pozostać przy życiu.

– Derrick Phalen mi pomagał – przyznałem. – Powiedział, że odkrył coś wielkiego, co zlasuje mi mózg.

– W porządku. Co to takiego?

– Miał mi o tym opowiedzieć dziś wieczorem. Dlatego tu przyjechałem. Mówię prawdę, Davidzie. Jestem z tobą absolutnie szczerzy.

– Nie masz pojęcia, co to może być? – zapytał Sorren. – Nie próbuj działać na dwa fronty.

– Nie próbuję – odrzekłem. – Nie mam pojęcia. Zielonego.

– Kurwa.

– Dobrze to ująłeś.

Sorren po raz ostatni gwałtownie zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na ziemię. Przyglądałem się, jak ze złością rozdeptuje go obcasem.

Rzecz jasna, patrzyłem nie tam, gdzie trzeba, inaczej zobaczyłbym człowieka, który szarżował prosto na mnie, z zaciśniętymi pięściami i parą buchającą z nozdrzy.

Ale tak było ze wszystkim, co wydarzyło się tej strasznej nocy.

Nie widziałem, że cokolwiek nadciąga.

Rozdział 67

Moj prawy policzek nagle implodował. Ból był tak ostry i przenikliwy, jakby walnął mnie autobus.

W pewnym sensie tak było. Ian LaGrange, sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i sto pięćdziesiąt kilogramów wagi, przepchnął się obok Sorrena i niespodziewanie zdzielił mnie prosto w twarz. Poleciałem na stojący za mną ambulans, a LaGrange z całą mocą zionących ogniem płuc wrzasnął:

– Patrz, co zrobiłeś, sukinsynu! Patrz, co zrobiłeś!

I to miał być dopiero początek.

Znów rzucił się na mnie, jego długie, potężne łapy młóciły powietrze. Gdyby Sorren go nie zablokował, facet prawdopodobnie znokautowałby mnie, a potem zrobił miazgę z mojej twarzy. A tak zobaczyłem tylko wszystkie gwiazdy i mnóstwo jaskrawych kolorów, na co dzień nieobecnych w mojej pałecie.

– Przestań! Spokój! – warknął Sorren, próbując go odepchnąć. Nie było to łatwe, bo LaGrange przewyższał go wagą o dobre pięćdziesiąt kilogramów i ani myślał zrezygnować z przyłożenia mi jeszcze raz.

Sorren zastosował więc inną taktykę. Podczas gdy LaGrange wykrzykiwał kolejne oskarżenia pod moim adresem, zarzucając mi przyczynienie się do śmierci Derricka Phalena, Sorren przypomniał mu, że nie jesteśmy sami.

Halo? Nie widziałeś wozów transmisyjnych wiadomości?

– Rozejrzyj się, LaGrange – warknął Sorren przez zaciśnięte zęby. – To nie miejsce na takie rzeczy.

Zadziałało. Wściekłość LaGrange'a przygasła. Nie chciał zostać gwiazdą programów informacyjnych wszystkich stacji telewizyjnych w mieście, nie mówiąc już o pojawieniu się w charakterze najświeższej sensacji na YouTube. Ponieważ reporterzy ze swoimi kamerzystami już

dosłownie pędzili w naszą stronę, LaGrange szybko odsunął się ode mnie.

– Nie ma tu nic do oglądania, chłopaki! – oznajmił Sorren reporterom. – Za kilka minut wydamy oświadczenie. Trochę cierpliwości.

Niechętnie, ale zadowolili się tą obietnicą.

Sorren niecierpliwie czekał, aż ponownie zostaniemy sami. Wtedy zwrócił się do LaGrange'a.

– Zrób mi przysługę, Ian – powiedział chłodno. – Przekaż detektywom wszystkie dane personalne Phalena. Najbliższy krewny, stanowisko w OCTF i związane z nim uprawnienia i tak dalej. Żeby niczego nie zmyślali.

LaGrange skinął głową. Wiedział, że Sorren chce go tylko ode mnie odciągnąć. Prawdopodobnie dlatego nie mógł się powstrzymać i nim odszedł, wycelował we mnie gruby palec i oznajmił:

– Nie obchodzi mnie, co mówią inni. To ty zabiłeś Derricka.

– Przykro mi – powiedziałem. Tylko to tłuło mi się po głowie: wraży żalu.

Nie, nawet gorzej.

Tylko ten żal mi pozostał.

Rozdział 68

– Nie daj mu się wyprowadzić z równowagi – powiedział Sorren, kiedy LaGrange poszedł rozmawiać z detektywami.

– Za późno. Już mnie wkurzył – odparłem, masując szczękę, która zaczęła puchnąć. – Chyba naruszył mi ząb.

– Tak, zachował się w najwyższym stopniu niewłaściwie. – Sorren niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. – Wiem, że masz do tego prawo, ale jeśli myślisz o wniesieniu oskarżenia...

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto z taką sprawą leci do sądu?

– Nie, przypuszczam, że nie – z pewną ulgą przyznał Sorren. – Dzięki, Nick.

– Okay. Teraz ty jesteś mi coś winien, nie?

– Pomyślimy o tym później. Słuchaj, gdy Ian zrobi swoje, pozwolę ci skończyć z detektywami, tak żebyś mógł się stąd wynieść w cholerę. Po dzisiejszej nocy będziesz potrzebował całodobowej ochrony policyjnej.

– Czy to konieczne? Nie, źle to ująłem. Chcę zapytać, czy to coś da.

– Nie wiem. Ty mi powiedz – odparł, kierując wzrok na wypalony, jeszcze dymiący wrak mojego samochodu. – Można założyć, że ten, kto chciał twojej śmierci, nadal jej chce.

Skinałem głową.

– Ale to nie jest Pinero.

– Już mi coś takiego mówiłeś – odrzekł Sorren, sięgając do kieszeni po papierosa. Miałem wrażenie, że słucha mnie jednym uchem.

– To był Joseph D'zorio – powiedziałem.

Teraz udało mi się przyciągnąć jego uwagę.

Nagle okazało się, że następny papieros może zaczekać. Sorren zamienił się w słuch.

– Skąd wiesz? Kto jest twoim informatorem? Mów, Daniels.

– Nie mogę zdradzić ci szczegółów, ale Dwayne Robinson był mu

winien pieniądze, których nie miał. Więc...

Sorren uniósł dłoń. Bystry facet – domyślił się, do czego zmierzam.

– Chwileczkę – rzucił z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że twoja obecność w Lombardo's tego dnia została ukartowana?

– To wszystko zostało ukartowane. D'zorio wiedział, że będę miał włączony magnetofon, żeby nagrać każde słowo, jakie padnie z ust Robinsona. Wiedział, że może wrobić Pinera.

– Domyślam się. Ale jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Nie mogę ujawnić źródła informacji.

– To nie. Ale jeśli chcesz, żebym ci pomógł, musisz dać mi coś więcej niż przecucia.

Szeroko rozłożyłem ręce. Rozejrzyj się dokoła!

– Czy to wszystko wygląda na przecucia? D'zorio wiedział, że Phalen i ja depczemy mu po piętach.

– Może to i prawda; może rozwiązałeś tę sprawę. Ale nic z tego nie wynika, skoro nie mogę powiązać poszczególnych jej punktów.

– A co z Pinerem?

– A co ma być?

– Jest oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

– Tak. Tak się dzieje, kiedy wszystkie punkty sprawy zostały powiązane – rzekł Sorren.

– A jeśli się mylisz?

– Dlatego właśnie muszę porozmawiać z twoim informatorem.

– Jest jeszcze ktoś, z kim mógłbyś porozmawiać – powiedziałem. – Kierownik Lombardo's.

– Dlaczego miałbym z nim rozmawiać?

– Bo Dwayne Robinson sam nie wybrał sobie miejsca. Jeśli tego dnia miał siedzieć blisko Marcozzy, należało to zaaranżować. Rodzi się pytanie, kto to zaaranżował. Kim był autor planu?

Sorren postanowił sięgnąć po następnego papierosa. Wsunął go do ust, w jego dłoni pojawiła się zapalniczka Zippo. Niemal widziałem, jak obracają się trybiki jego umysłu, podczas gdy przypalał papierosa i zaciągał się głęboko. Jezu, ci policjanci i złodzieje naprawdę lubili podtruć

się nikotyną. Najpierw Sam Tagaletto, teraz Sorren. Cofnąłem się o krok pod wiatr. Moi rodzice dymili jak kominy i oboje umarli na raka.

– Daj mi się z tym przespać – powiedział Sorren. – A tymczasem, czy to był Pinero, czy D'zorio, czy Wróżka Zębuszka, potrzebna ci ochrona policyjna, Nick. Musimy zachować cię przy życiu. Co ty na to? Może być?

Wyciągnął rękę, by uścisnąć mi dłoń. Drugą ręką chciał schować do kieszeni zapalniczkę – tyle że nie trafił. Upadła na ziemię, odbiła się od asfaltu i wylądowała u moich stóp.

– Podniosę – rzuciłem, pochylając się.

I wtedy coś zdmuchnęło mi głowę.

Rozdział 69

Jezu Chryste! Co znowu? Co się stało? Nie dostałem w głowę, ale było cholernie blisko!

Tylna szyba ambulansu właśnie rozsypała się na kawałki. Drobiny szkła posypały się na mnie niczym kłujący deszcz. Ułamek sekundy wcześniej na tle tego okna rysowała się moja głowa. Dostałbym kulę prosto między oczy.

– Ruszaj się! Biegiem! – usłyszałem. To był Sorren, a krzyczał do mnie.

Nisko pochylony zaczął pchać mnie na przód karetki. Tymczasem dudniące echo wystrzału utonęło w niosącym się po ulicy zbiorowym wrzasku. Tłum mieszkańców w jednej chwili rozbiegł się na wszystkie strony. Zapanował kompletny chaos. Ratuj się, kto może!

„Ten, kto chciał twojej śmierci, nadal jej chce” – powiedział przed chwilą Sorren.

To nie był żart.

Druga kula przebiła boczną ścianę ambulansu niespełna pół metra przed moją piersią. Powietrze rozdarł odgłos wystrzału. Domyśliłem się, że strzelec nie ustawił się pod odpowiednim kątem w stosunku do celu.

Jeszcze nie.

Kimkolwiek był, bez wątpienia używał karabinu o dużym zasięgu.

Potem usłyszałem całkowicie inne dźwięki.

Puk, puk!

Broń krótka. Ktoś odpowiadał ogniem skierowanym w przeciwną stronę.

Tak to jest, dupku, kiedy się strzela w ulicę pełną gliniarzy!

Doczołgałem się na przód ambulansu, przykleiłem do zderzaka, Sorren obok mnie.

– Nic ci nie jest? – spytał bez tchu.

Ja też dyszałem ciężko.

– Nie. Wszystko gra. A ty jak?

– Luksus. Po prostu świetnie, Nick. Wszystko w jednym kawałku. Mimo to nie wydaje mi się, żebym lubił przebywać w twoim towarzystwie.

A potem, tak szybko jak się zaczęło, wszystko się skończyło. Koniec fajerwerków. Krzyki i zamieszanie ustąpiły miejsca upiornej ciszy.

Nikt jednak jeszcze nie wstawał. Nikt nie spieszył się z wyjściem na otwartą przestrzeń.

Pochwyliłem wzrokiem spojrzenie kobiety, która kuliła się pod ceglany podestem schodów wejściowych. Wyraz jej twarzy mówił sam za siebie: „To naprawdę koniec?”.

„Może dla ciebie, paniusiu” – mógłbym jej powiedzieć.

Ale nie dla mnie.

David Sorren ścisnął mnie za ramię.

– Zostań tu – polecił. – Nigdzie się nie ruszaj.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczyć, czy dostali strzelca.

Sorren podniósł się, wyrzwał zza maski ambulansu.

– Hej, bądź ostrożny – powiedziałem.

Skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie.

– Nadal uważasz, że ochrona policyjna nie jest ci potrzebna?

Jestem pewien, że Sorren uważał to pytanie za całkowicie retoryczne, ale kiedy oddalił się biegiem, nie mogłem nie zacząć się zastanawiać, czy odpowiedź na jego pytanie aby na pewno jest taka oczywista. Przed chwilą byłem dosłownie otoczony przez gliniarzy, a znalazłem się niebezpiecznie blisko ukatrupienia dwoma kolejnymi strzałami. Ci tutaj to najlepsi nowojorscy policjanci, ale nie miałem absolutnej pewności, czy są w stanie mnie ochronić.

Chwilę później coś przyciągnęło mój wzrok. Było żółte i znajdowało się u wylotu ulicy. U góry miało białe światło i przysiągłbym, że wołało mnie po imieniu. „Chodź, Nick, spadamy... Wynośmy się stąd w chole-

re'' .

Rozdział 70

Zastanawiałem się, czy nie pojechać do Courtney, ale tam mogli mnie szukać. Pojechałem więc gdzie indziej, w bezpieczniejsze miejsce.

– Ile kosztowała taksówka? – zapytała moja siostra, Kate. Siedziała u szczytu kuchennego stołu, ściskając oburącz kubek herbatki rumiankowej. O pierwszej w nocy był to jedyny bezkofeinowy napój w jej kredensie.

– Sto siedemdziesiąt sześć dolarów – powiedziałem. – Plus napiwek. Kate z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wiesz co, powinienesz być z góry wynegocjować ryczałt, Nicky. Zaoszczędziłbyś trochę pieniędzy.

Zacząłem się śmiać i przez chwilę czułem się wspaniale. Ale tylko przez chwilę.

– Co cię tak śmieszy? – zapytała Kate. Zaraz się jednak zreflektowała. – No tak, masz rację. W taką noc jak ta, po tym, co przeszedłeś, być może pieniądze nie są takie ważne.

– Nie, to nie to – odparłem. – Nadal nie mogę się przyzwyczać do tego, że z całej rodziny ty żyjesz najskromniej.

Tak naprawdę wcale nie byłem zdziwiony. Dopóki żył mąż Kate, dzięki jego pracy w handlu ropą naftową, mieli mnóstwo pieniędzy. Po jego śmierci ona miała ich jeszcze więcej, z jego polisy. Ale poczucie bezpieczeństwa opuściło ją raz na zawsze. W tym miejscu zaczął obowiązywać nowy system szacowania wartości wszystkiego, poczynając od samego życia. Gdzieś na końcu listy znajdowała się prawdziwa wartość dolara.

Kate pociągnęła łyk herbatki.

– Życie to jeden wielki *curveball*, prawda?

– Tak, istotnie – przyznałem.

Nagle od strony drzwi do kuchni dobiegł nas zaspany głos.

– Możesz to powiedzieć inaczej. Życie to jeden wielki, paskudny *cu-rveball*.

Odwróciliśmy się jak na komendę. W drzwiach stała Elizabeth w różowej piżamie.

– Co ty robisz poza łóżkiem, młoda damo? – zapytała Kate. – Jutro masz szkołę.

Elizabeth uśmiechnęła się tym swoim wspaniałym uśmiechem, który odziedziczyła po matce i ojcu.

– Niewidomi mają wyostrzony słuch, zapomniałaś?

– Jak się masz, kochanie? – zapytałem.

– Wiedziałam, że to ty, wujku Nicku.

– Niech zgadnę... moja woda kolońska?

Zaśmiała się.

– Co tu robisz w środku nocy?

– To długa historia.

– Mam czas.

– Nie, nie masz. Jutro idziesz do szkoły – powtórnie zauważyła jej matka. – Musisz wracać do łóżka.

– Właściwie to dotyczy nas obojga – powiedziałem, wstając od stołu.

– Zaprowadź mnie do pokoju gościnnego, Lizzy, dobrze?

– Naturalnie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Szedłem za siostrzenicą w kierunku schodów na piętro i nie mogłem wyjść z podziwu dla jej doskonałej znajomości topografii domu, położenia każdego schodka, narożnika ścian, każdego mebla. Nie musiała niczego dotykać, łącznie z moją ręką.

– Będziesz tu jutro, kiedy wrócę ze szkoły? – zapytała, znalazłszy się już w połowie schodów.

– Nie wiem – odparłem.

Zatrzymała się, na powrót odwróciła się w moją stronę.

– Oho – powiedziała. – Kiedy ludzie na takie pytanie jak moje odpowiadają „nie wiem”, zwykle wiedzą. Ale po twoim głosie poznaję, że naprawdę nie wiesz.

Elizabeth jak zwykle trafiła w sedno. Nie miałem pojęcia, co mi

przyniesie następny dzień ani nawet dokąd poniesie mnie samego. Uciekłem przed policją, zamiast jej ochrony wybrawszy dom na uboczu, pośród lasów Weston w stanie Connecticut. „Nawet dostawca pizzy z trudem znajduje to miejsce – żartowała zawsze Kate. – Nie mówiąc o kurierach”.

Niemniej dla pewności kazałem taksówkarzowi pokrzyżać trochę po okolicy, nim podjedzie przed dom. Wszędzie panował spokój. Nikt nas nie śledził.

Przynajmniej na jedną noc byłem bezpieczny. Jutro całe to piekło zacznie się pewnie od nowa.

Rozdział 71

Położyłem się w bardzo wygodnym łóżku w pokoju gościnnym. Naciągnąłem na głowę świeżo uprane i wykrochmalone prześcieradło, koc, nawet kołdrę. Z jakiegoś powodu uznałem, że tak będzie mi łatwiej zasnąć. Ale nic z tego. Nie zadziało.

Ilekoć zamykałem oczy, pojawiał się obraz Derricka Phalena, i jakkolwiek bym się kręcił i przewracał z boku na bok – nie mogłem się go pozbyć. Widoku jego pustych oczodołów.

Czy kiedykolwiek uda mi się o tym zapomnieć? Wątpliwe.

Byłem wyczerpany, zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie, a mimo to nie mogłem zasnąć choćby na chwilę. U siebie, na Manhattanie, spróbowałbym się wsłuchać w odgłosy ulicy. Robiłem to, ilekoć chciałem oczyścić sobie umysł. Ostatecznie mógłbym liczyć klaksony samochodowe zamiast baranów.

Tu, w lasach Connecticut, była cisza i tylko cisza. Ogłuszająca – przynajmniej tej nocy.

Zły i wytracony z równowagi odsunąłem okrycie i sięgnąłem na oślep po leżącego na nocnym stoliku iPhone'a.

Wyłączyłem go w taksówce po tym, jak zaczął dzwonić jak szalony. Rzecz jasna, pewnych ludzi ciekawiło, gdzie się podziałem, a wśród nich był bez wątpienia bardzo wkurzony David Sorren.

Jeśli miałem wyrzuty sumienia, to tylko z powodu Courtney. Choć wysłałem jej SMS z informacją, że jestem zdrow i cały, nie odezwałem się, kiedy odpisała: „Gdzie jesteś?”. Lepiej, żeby nie musiała dla mnie kłamać. Lepiej też, żeby nie angażowała się w moje sprawy bardziej, niż już się zaangażowała.

Teraz na powrót włączyłem iPhone'a. Cztery po trzeciej, odczytałem na ekranie wyświetlacza.

Oczywiście w skrzynce odbiorczej znajdowało się pół tuzina wiado-

mości od Sorrena i jeszcze więcej od Courtney. Postanowiłem do rana zignorować wiadomości od Sorrena, ale wysłuchać chociaż jednej od Courtney. Wiedziałem, że była wstrząśnięta zamordowaniem Derricka Phalena. W końcu to ona mnie do niego wysłała i był jej przyjacielem.

„Nick, to znowu ja – zaczynał się przekaz. – Proszę, oddzwonź. Proszę, Nick”.

Chciałem pogłośnić, bo ledwie ją słyszałem, gdy nagle telefon zaczął wibrować.

Ki diabeł? Co ja takiego nacisnąłem?

Nic. Ktoś właśnie dzwonił do mnie o trzeciej nad ranem.

Zdjęty obawą, że obudzę Kate i Elizabeth, nie sprawdziłem nawet tożsamości dzwoniącego.

– Halo? – szepnąłem.

– Cześć, Nick.

– Kto mówi?

Wiedziałem, że już słyszałem ten głos, ale nie mogłem go zidentyfikować. Natychmiast sam zrobił to za mnie.

– Ostrzegałem cię w barze śniadaniowym, Nick, ale ty nie słuchałeś. Powinieneś być słuchać.

W jednej chwili wyprostowałem się i zapaliłem lampę przy łóżku.

Jezu, to ten facet z Sunrise Diner, ten z pistoletem. Ten, który mi powiedział, że jestem w poważnym niebezpieczeństwie.

– Wiesz, która jest godzina? – zapytałem.

– Jasne, że wiem – odparł. – Wiem także, w którym jesteś pokoju, Nick. To jedyny pokój w domu, w którym pali się światło.

Środek nocy, a on był tutaj.

Rozdział 72

Popędziłem do małego okna wychodzącego na front domu. Odsunąłem zasłonę i przycisnąłem nos do szyby. Nie dbałem o to, czy mnie zobaczy. Ale czy ja go zobaczę?

Czy naprawdę znajdował się tam, na zewnątrz? Z tego, co mówił, wynikało, że tak. Na to też wyglądało.

Mimo iż w szybie odbijało się światło mojej lampy, nie mogłem nie zauważyć blasku reflektorów samochodu zaparkowanego na podjeździe. Tylko tyle byłem jednak w stanie zobaczyć. Gdzie jesteś, sukinyśnu?

Jakby igrając ze mną, czytał w moich myślach. Chwilę później wyłonił się z ciemności: przed samochodem pojawiła się jego budząca grozę sylwetka. Rękę miał zgiętą w łokciu, telefon przy uchu.

– Nie sądziłeś, że ktoś cię tu znajdzie, co? – zapytał. Tylko że to nie było pytanie, ale przechwałka. Przypuszczalnie był zachwycony własną sprawnością.

– Dzwonię na policję – oznajmiłem.

– Taa, jak wtedy w barze.

– Teraz to co innego.

– Dlaczego? Bo nie jesteś sam w tym ładnym domku w miłym, podmiejskim Kłopotkowie?

Wzmianka o Kate i Elizabeth sprawiła, że dreszcz przebiegł mi po plecach. W jednej chwili moje najgorsze obawy zderzyły się z czystą wściekłością. Ciało przepelniała adrenalina. Kimkolwiek był ten facet, strasznie mnie wkurzył.

– Teraz posłuchaj – powiedziałem, zmieniając chwyt na telefonie. Ścisnąłem go tak mocno, że myślałem, iż zaraz rozleci mi się w rękę.

– Nie, teraz ty posłuchaj – przerwał mi. – Tak się pogubiłeś, że zupełnie nie wiesz, co się dzieje. Nie zaprzeczysz temu, prawda, Nick?

– Kim ty, do diabła, jesteś?

– O trzeciej nad ranem? Powiedziałbym, że jestem twoim najgorszym pieprzonym nocnym koszmarem. Zgodzisz się ze mną?

Wyszedł z kręgu światła reflektorów i znów zniknął w mroku.

Jasny gwint! Gdzie on jest? – pomyślałem.

Druga myśl była jednak dużo bardziej przerażająca.

Dokąd on zmierza?

Rozdział 73

Wypadłem z pokoju gościnnego, wołając Kate i Elizabeth. Jedną ręką wybierałem numer 911, drugą macałem po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła w holu.

Kate mnie uprzedziła. Pstryk!

Światło zalało hol, nasze spojrzenia się skrzyżowały. Wybiegła z sypialni, jakby jej dom stał w płomieniach. Dres, koszulka, wyraz paniki na twarzy.

– Co się stało? – zapytała. – Nick, co się dzieje?

– Tak, o co chodzi? – zapytała Elizabeth, wyłaniając się ze swojego pokoju.

Obydwie szybko uzyskały odpowiedź na swoje pytania, bo nagle zgłosił się numer 911. Dyspozytorką była kobieta. Dzięki Bogu, bardzo opanowana i pewna siebie. Profesjonalistka.

Z szybkością lektora czytającego stare reklamy FedExu podałem jej adres.

– Pod domem jest jakiś człowiek – powiedziałem następnie. – Sądzę, że zamierza się włamać do środka. Jest uzbrojony.

Kate błyskawicznie podbiegła do Elizabeth, chwyciła ją za rękę.

– Chodź ze mną – rzuciła. – Natychmiast.

Podprowadziła dziewczynę do schodów wiodących na drugie piętro, na strych.

– Zaraz, chcę zostać z wami – błagała Elizabeth.

– Nie – zdecydowanie odparła Kate. – Wejdz na strych i zamknij za sobą drzwi. Bez względu na to, co usłyszysz, nie otwieraj ich. Zrozumiałaś?

Elizabeth skinęła głową, powstrzymując łzy. Wyciągnęła rękę ku poręczy, ale nagle odwróciła się i podbiegła do mnie przez hol. Słyszała mój głos, więc dokładnie wiedziała, gdzie jestem.

– Uważaj na siebie, wujku Nicku – powiedziała. Uściskała mnie mocno. Potem pomknęła z powrotem ku schodom na strych i wbiegła na nie tak szybko, że można było zapomnieć o jej ułomności.

Tymczasem Kate zniknęła w swojej sypialni. Już miałem ją zawołać, kiedy wróciła.

– A to co, u licha? – zdziwiłem się.

Ale widziałem to całkiem wyraźnie. Trzymała w ręku pistolet.

Moja siostra!

Zwolenniczka liberalizmu z Północnego Wschodu, która kiedyś określała National Rifle Association mianem armii bezmózgowców.

– Wszystko się zmienia – powiedziała. – Proszę, weź to.

Wziąłem bez wahania.

– Dzięki.

– Jest nabity – dodała.

– Mam nadzieję. Z nienabitego niewielki pożytek.

Wywróciła oczami i przez chwilę byliśmy małym braciszkiem i dużą siostrzyczką, jak kiedyś w Newburgh. Ale tylko przez chwilę.

– Co robimy? – zapytała.

– Słuchamy. I czekamy, aż dotrze tu policja.

O ile zdołają znaleźć dom...

Ze szczytu schodów zerknąłem w dół, na parter. Co on zrobi? Wybi-
je okno? Odstrzeli zamek u drzwi?

Patrząc na Kate, uniosłem palec do ust. Szszsz.

Obydwoje wstrzymaliśmy oddech. Przez sekundę wydawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy dobiegające ze strychu, na którym kryła się Elizabeth. Jakże musiała być przerażona.

– Jak myślisz? – szepnęła Kate po jakiejś minucie. – Odszedł czy co?

Już miałem odpowiedzieć, kiedy coś usłyszeliśmy. Ale to nie był dźwięk, którego się spodziewałem. To był warkot silnika samochodowego.

Policja?

Podbiegłem do okna w pokoju gościnnym i wlepiłem wzrok w podjazd. Nie, ani śladu policji.

Ani, zresztą, kogokolwiek innego.

Podjazd był pusty, samochód zniknął. Pan Sunrise Diner, kimkolwiek był, wystraszył nas jak wszyscy diabli.

Ale nic ponadto.

Dlaczego?

Kim, do cholery, był ten skurczybyk? Czego ode mnie chciał?

Rozdział 74

Okay, może ochrona policyjna to mimo wszystko nie jest taki zły pomysł...

Poza tym trudno było temu zaprzeczać, jeśli w środku nocy dzwoniło się pod 911. Rano, jak to ujął David Sorren, „doznałem olśnienia”. Owszem, był wkurzony, ale też bardzo mu ulżyło, kiedy zadzwoniłem. Choćby dlatego, że nie złapali faceta, który do mnie strzelał.

– Znajdował się na dachu, który łączył się z dachem budynku przy następnej przecznicy – wyjaśnił Sorren. – Nie mieliśmy szans go dorwać.

– Myślisz, że to ten sam człowiek, który zabił Derricka? – zapytałem.

– Czy to naprawdę robi różnicę? Daj spokój, Nick, pora zejść na ziemię.

Słuszna uwaga.

– Tak czy inaczej, nadal jestem celem, prawda?

– Właśnie. Dlatego zaraz wysyłam do Connecticut pierwszą dwuosobową zmianę przydzielonych do ciebie funkcjonariuszy. Przywiozą cię do domu – powiedział Sorren. – ...Nick?

– Tak? Jestem. Słucham cię bardzo uważnie.

– Nawet nie myśl o tym, żeby się znów ulotnić. Jasne?

– Najzupełniej.

Nieźle. Zasłużyłem na takie traktowanie. Także na fatalne samopoczucie wywołane świadomością, że naraziłem Kate i Elizabeth na niebezpieczeństwo. Co mi, do cholery, strzeliło do głowy? Że mafia przestrzega jakiegoś rycerskiego kodeksu honorowego, który zabrania krzywdzenia kobiet i dzieci?

Przemyślałem sobie to wszystko na tylnym siedzeniu radiowozu. Czasu miałem dość. Obiecałem też sobie trzymać Courtney z dala od tej sprawy. O ile mnie posłucha.

– Okay, oto jak to działa, panie Daniels – powiedział funkcjonariusz Kevin O’Shea, jeden z dwóch gliniarzy, którzy przywieźli mnie z powrotem na Manhattan. Znajdowaliśmy się w moim mieszkaniu. Wcześniej jednak O’Shea i jego partner, Sam Brison, obeszlą je z bronią w rękę.

– Przez cały czas musi pan mieć to na sobie. Przy pierwszej oznace kłopotów, jakichkolwiek kłopotów, wciśnie pan ten przycisk alarmowy.

O’Shea wręczył mi zawieszkę na szyję zrobioną ze sznurowadła do adidasów i coś, co wyglądało jak tani, plastikowy pilot do drzwi garażowych. Jamesem Bondem i panem Q to my nie byliśmy.

Zawiesiłem urządzenie na szyi, spojrzałem w dół. Przycisk alarmowy, jak należy jaskrawoczerwony, miał wielkość ćwierćdolarówki i wisiał pośrodku mojej piersi.

– Moim zdaniem, wygląda to jak środek tarczy strzelniczej – zażartowałem. Najwyraźniej nie jako pierwszy.

– Tak, nieraz to słyszeliśmy – powiedział Brison. Wyjaśnił mi, że jeden funkcjonariusz będzie stale trzymał wartę pod moimi drzwiami, drugi natomiast, po sprawdzeniu wszystkich drzwi w suterenie, zajmie pozycję w holu. Gdybym miał gościa – takiego, który nie będzie chciał mnie zabić – odpowiednio poinstruowany portier sprawdzi go najpierw z gliniarzami, potem ze mną. Nie będzie żadnych wyjątków.

– Jakies pytania, panie Daniels?

– A co, jeśli będę chciał wyjść?

– Dokąd na przykład? – zapytał O’Shea i spojrzał na mnie przymrużonymi oczyma.

– Nie wiem. Do kina czy coś w tym rodzaju.

– Do kina? Powiedział pan: do kina? Chyba pan nie rozumie, co się wokół pana dzieje.

– To był tylko przykład.

Pokręcił głową.

– Nie, nie będzie pan wychodził do kina ani nigdzie. Na razie musi pan przebywać tutaj. Zdrow i cały, bezpieczny w swoim mieszkaniu.

– Okay, w takim razie mam jeszcze jedno pytanie. „Na razie” to jak

długo?

– Dopóki nie otrzyma pan innych poleceń.

No dobrze, to wszystko wyjaśnia...

Funkcjonariusze zaczęli się szykować do wyjścia. Doprawdy nie zostało już nic do powiedzenia. Nie mogłem sobie jednak odmówić drobnej przyjemności.

– Bądźcie ostrożni, panowie, dobrze?

Poniekąd mówiłem to, co myślałem. Wiedziałem jednak, że dla nich musiało to zabrzmieć osobliwie. Wymienili dziwne spojrzenia.

– Będziemy – niedbale rzucił Brison.

– Mówię poważnie – powiedziałem. – Ludzie mają okropny zwyczaj umierania w mojej obecności.

Rozdział 75

Gdybym się kiedykolwiek zastanawiał, jak czuje się człowiek umieszczony w areszcie domowym, teraz miałem gotową odpowiedź. Chodzi o to, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

I miałem po temu istotny powód.

Bo to jest do kitu.

Po kilku godzinach moje mieszkanie wielkości pudełka na buty zaczęło mi się wydawać raczej pudełkiem od zapalek. Przysięgam, że ściany skradały się ku mnie.

Aż do popołudnia wpatrywałem się w ekran swojego macbooka. Courtney miała rację: to, co teraz przeżywałem, to był materiał na artykuł mojego życia. Trzeba było zacząć go pisać.

Dlaczego więc nie mogłem?

Może dlatego, że nie miałem pewności, czy pożyję dostatecznie długo, by go skończyć.

Dziesięć lat wcześniej napisałem długi tekst o Salmanie Rushdii. Ciężka już na nim fatwa Chomeiniego równająca się wyrokowi śmierci. Zapytałem, jak się czuje, wiedząc, że są ludzie, którzy intensywnie myślą o zabiciu go, że wyznaczono pokaźne nagrody za jego głowę. Jego odpowiedź? „Istnieją uczucia, dla których wyrażenia słowa są całkowicie bezużyteczne”. A pamiętajmy, że Rushdie to piekielnie dobry pisarz i niewątpliwie zbadał temat zagrożenia śmiercią.

Dopiero teraz, gapiąc się w pusty ekran komputera, w pełni zrozumiałem, co miał na myśli. Rzecz jasna, sytuację pogarszał fakt, że gdybym nawet zdołał napisać ten artykuł, „Citizen” już go nie opublikuje. Gdybym o tym zapomniał, wystarczyło włączyć telewizor.

A więc telewizor jako sposób zabijania czasu.

„...opowie nam o tym Brenda Evans, która znajduje się przed budynkiem redakcji »Citizena«.

I oto „przebojowe maleństwo”, moja była dziewczyna, informuje odbiorców World Financial Network, że Thomas Ferramore podjął „zaskakującą decyzję” o zamknięciu magazynu „Citizen”.

„Tak, zaskakująca – mówiła Brenda, trzymając mikrofon tak, jakby to była jedna z jej News Emmy Awards – ponieważ »Citizen« był dochodowym przedsięwzięciem. Sprzedanie go byłoby czymś zrozumiałym, ale zamknięcie?”.

Znałem Brendę wystarczająco długo, by domyślić się, co nastąpi teraz. Ten błysk w jej oku. Przechylenie głowy. Nadszedł czas plotkowania.

„Szerzą się pogłoski – ciągnęła Brenda, stojąc przed kamerą – że to posunięcie jest jednym z następstw zerwanych zaręczyn Ferramore’a z redaktorką naczelną »Citizena« i siłą napędową magazynu, Courtney Sheppard. W tej sprawie nie było oficjalnego oświadczenia żadnej ze stron, ale wiem z własnych źródeł, że wszystko skończyło się bardzo, bardzo marnie”.

Pstryk!

Wystarczy. Aż nadto. Nie tylko Brendy, ale w ogóle telewizji. W wiadomościach mówiono albo o „Citizenie” i decyzji Ferramore’a, albo o „morderstwie w Riverdale”. To zbyt bolało. Nie zniósłbym kolejnego zdjęcia Derricka Phalena.

Najwyraźniej Courtney podzielała moje uczucia. Oczywiście nie posłuchała mojej rady, by trzymać się na uboczu. Rozmawiałem z nią przez telefon tuż przed włączeniem telewizora.

Jakieś dwadzieścia minut później zjawiała się pod moimi drzwiami. Dwie godziny przed czasem. Nie wierzyłem, kiedy portier zawiadomił mnie o jej przybyciu. Przez telefon ustaliliśmy tylko, że przyniesie mi obiad. Rozumiało się samo przez się, że mamy dużo do omówienia, za dużo na telefon.

Kiedy jednak otworzyłem drzwi, Courtney nie wyrzekła ani słowa. Wyglądała... bo ja wiem – nasuwało się słowo „pokorna”. Weszła, zamknąłem za nią drzwi, a wtedy ona, przygryzając dolną wargę, głęboko zajrzała mi w oczy. Następnie mnie pocałowała. Nigdy w życiu nikt

mnie tak nie pocałował.

– Cześć, Nick, co nowego? – powiedziała w końcu.

– Wszystko po staremu – odparłem, wruszając ramionami.

Tak sobie pogadując, przenieśliśmy się do sypialni. Rozebraliśmy się i objęliśmy mocno. Nie musiałem mówić, jak bardzo pragnąłem jej i potrzebowałem, a i ona nie musiała tego mówić. Na szczęście, panie Rushdie, te drzwi otwierają się w obydwie strony. Skrajne przerażenie, ale i gwałtowna namiętność.

„Istnieją uczucia i działania, dla których opisanie słowa są całkowicie bezużyteczne”.

Ale na słowa też znalazło się miejsce, zwłaszcza gdy Courtney powiedziała:

– Miałeś rację, Nick.

– I to po raz pierwszy całkowitą – odparłem, szczerząc zęby w uśmiechu.

Rozdział 76

I tyle o radości, szczęściu i takich tam rzeczach.

Zamknąłem oczy, głęboko wciągnąłem powietrze do płuc. Miałem nadzieję, że kiedy otworzę oczy, nie będę stał nad grobem Derricka Phalena na Trinity Church Cemetery pod niebem okrytym szarymi chmurami. Miałem nadzieję, że to tylko sen.

Ale nie, wszystko to było i pozostało jawą, do tego przeraźliwie smutną. Dwayne'owi Robinsonowi w ostatniej drodze towarzyszył orszak zawodników Jankesów, ale i pogrzeb Derricka na przylegającym do Hudson River cmentarzu przyciągnął znaczną część nowojorskiej elity. Obecni byli burmistrz, władze okręgu Bronx i dwóch kongresmanów, którzy podczas swoich kampanii wyborczych dużo mówili o zwalczaniu przestępczości zorganizowanej. Sukcesy Derricka na sali sądowej przekładały się na korzystne dla nich wyniki wyborów.

Oczywiście pojawili się David Sorren – ewentualny przyszły burmistrz – oraz Ian LaGrange. Unikałem kontaktu wzrokowego z tym drugim, zauważyłem natomiast, że Sorren trzyma się blisko niego. Obawiał się, że LaGrange zechce mi znów dołożyć?

Jeśli tak, to powinien też zwrócić uwagę na innych prokuratorów z OCTF. Spora ich część rzucała mi bardzo wrogie spojrzenia.

Jak na ironię, to krewni Derricka – jego rodzice i siostra – okazali się najbardziej skłonni mi wybaczyć. Albo może byli zbyt oszołomieni, by się gniewać. Nie wiedziałem tego w chwili, gdy razem z Courtney podszedłem do nich, by złożyć kondolencje.

Cała sprawa została potężnie rozdmuchana przez media, toteż moje powiązania z Derrickiem Phalensem były powszechnie znane. Nie wiadomo jedynie, dlaczego coś nas łączyło.

Tego właśnie pytania się spodziewałem, kiedy siostra Derricka, Monica, podeszła do mnie i Courtney kilka minut później. Spytała, czy

może ze mną porozmawiać na osobności.

Nigdy z taką ulgą nie przyjąłem do wiadomości swojej pomyłki. Monica nie chciała zadać mi pytania, lecz udzielić odpowiedzi.

Nie, wróć! To nie była po prostu odpowiedź. Pojawiła się nadzieja, że to jest właściwa odpowiedź.

Rozdział 77

– Zaczekam tu, pod drzewem – powiedziała Courtney. Nigdy, od początku naszej znajomości, nie była tak wyrozumiała i – rzekłbym – bezinteresowna. Nigdy też nie była mi bliższa, a ja – bardziej zakochany. Kiepski moment, wiem, ale było tak, jak mówię.

Przyglądałem się, jak idzie w kierunku ogromnego dębu. Zawsze świetnie wyglądała w czerni i dzisiejszy dzień nie stanowił pod tym względem wyjątku. Jak ktoś mógł ją oszukiwać?

Nieopodal David Sorren gawędził z prokuratorem okręgowym z Bronxu. Skinął mi głową na przywitanie, kiedy nasze spojrzenia na chwilę się skrzyżowały. Tak, Davidzie, nadal znajduję się po właściwej stronie trawnika.

Zawróciłem do miejsca, gdzie czekała na mnie siostra Phalena. Była wysoka i szczupła, miała kasztanowe, włosy przycięte dokładnie na wysokości ramion, i kilka piegów na nosie. Cała moja wiedza o niej brała się z jednej wzmianki Derricka podczas pamiętnego lunchu. Rozmawialiśmy o tym, że ma opinię twardego oskarżyciela. „Jeśli uważasz, że jestem twardy, powinieneś porozmawiać z moją siostrą” – rzucił ze śmiechem.

I oto z nią rozmawiałem. Chociaż wolałbym, aby to spotkanie odbyło się w innych okolicznościach.

– Chcę, żeby pani wiedziała, jak bardzo mi przykro z powodu Derricka – powiedziałem.

– Czuje się pan częściowo odpowiedzialny, prawda? Skinąłem głową.

– Tak.

– Nie powinien pan – stwierdziła rzeczowym tonem. – Nie był księgowym czy hydraulikiem. Jego praca polegała na wsadzaniu gangsterów za kraty. Prawdziwych łotrów, najgorszych z najgorszych. Wiedział

pan, że musiał nosić kamizelkę kuloodporną?

Znów skinąłem głową.

– Tak, wiedziałem o tym.

– Na niewiele mu się w końcu zdała, prawda?

Derrick zdecydowanie miał rację: jego siostra była twarda albo może, jak Courtney, do mistrzostwa opanowała sztukę szufladkowania. Jednak w jej głosie przede wszystkim pobrzmiwał gniew. Była tak wściekła, że jakaś część tego gniewu wylewała się na głowę Derricka.

– Tak czy inaczej, nie o tym chciałam z panem rozmawiać – ciągnęła.

– Chodzi o coś, co niedawno znalazłam, a co należało do mojego brata.

Sięgnęła do czarnej torebki i wyjęła z niej coś tak małego, że ginęło w jej zaciśniętej dłoni.

– Co to jest? – musiałem zapytać.

– Jeśli był pan w biurze Derricka, to wie pan, że miał fioła na punkcie tych żółtych, samoprzylepnych karteczek. Były poprzyklejane wszędzie wokół jego biurka.

– Tak, pamiętam. Widziałem je, kiedy odwiedziłem go w White Plains.

– W jego mieszkaniu też było ich pełno – powiedziała. – Byłam tam wczoraj wieczorem, próbowałam w jego papierach znaleźć polisę ubezpieczeniową. I wtedy natknęłam się na to.

Otworzyła dłoń, pokazując mi małego pendrive'a ze złączem USB. Można takiego kupić w każdym sklepie komputerowym za mniej więcej dwanaście dolarów. Miał niespełna trzy centymetry długości.

– Co na nim jest? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia, nie sprawdzałam. Wiem jednak z całą pewnością, że był przeznaczony dla pana.

– Skąd pani wie?

– Bo przyklejona była do niego żółta karteczka z pańskim imieniem.

– Wyciągnęła rękę i włożyła pendrive'a do mojej dłoni. – Ale proszę mi coś obiecać. Musi mi pan to obiecać. To moje *quid pro quo*.

Cholera, wszystko bym jej obiecał, żeby zobaczyć, co znajduje się w tej pamięci. Prawdopodobnie to właśnie, co Derrick chciał mi powie-

dzieć w wieczór śmierci.

– Oczywiście – odrzekłem. – O co chodzi?

– Przez szacunek dla mojego brata niech pan nie mówi nikomu, że pan to ma, dopóki nie sprawdzi pan, co tam jest. Może pan to zrobić?

– Tak. Obiecuję.

– Dobrze – powiedziała. Czułem jednak, że chce coś dodać. Wahała się.

– Śmiało – próbowałem ją zachęcić. – Wszystko w porządku. Jestem coś winien pani bratu i czuję, że pani też.

– Nie jest pan. Chodzi tylko o to, że byłem...

Umilkła. Jej oczy wypełniły się łzami. Wytarła je szybko.

– Wszyscy współpracownicy Derricka mówią o nim same dobre rzeczy. Że był naprawdę dobry w tym, co robił, że był wspaniałym facetem i tak dalej. Ale ja chcę usłyszeć, że nie umarł na próżno. Czy to też może mi pan obiecać?

Ująłem dłoń Moniki, ścisnąłem ją mocno.

– Tak, to też mogę pani obiecać. Dopilnuję tego.

Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Rozdział 78

– Orzeł czy reszka? – zapytał funkcjonariusz Kevin O’Shea, zwracając się do swojego partnera, Sama Brisona. Rzecz działa się w holu mojego budynku. O’Shea rzucił w powietrze ćwierćdolarówkę.

– Reszka – powiedział Brison.

Wyglądało na to, że moja pierwsza zmiana robi to co rano. Zamiast na zmianę trzymać wartę w holu i pod moimi drzwiami – rzucali monetą.

O’Shea złapał ćwiartkę i zerknął między dłonie.

– Cholera – mruknął pod kwadratowym, krzaczastym wąsem. Zna czy – reszka.

– Ha! – zawołał Brison, kierując się ku wygodnej sofie w holu. Pod moimi drzwiami stało tylko metalowe składane krzesło bez wyściółki. To wyjaśniało wszystko.

Wjechałem z O’Sheą na górę, nadal grając – gwiazdorską, jak sądziłem – rolę, w którą wszedłem na pogrzebie. Nie chciałem robić wrażenia nadmiernie lęklivego, ale nie mogłem się już doczekać chwili, gdy znajdę się w domu i podłączę tego pendrive’a.

– Hej, wszystko w porządku? – zapytał O’Shea, opierając się o ścianę windy. – Wydajesz się dzisiaj ciut podenerwowany. Jesteś podenerwowany, Nick? O co chodzi?

I tak się zakończyła moja kariera aktorska. Najwyraźniej nie byłem drugim wcieleniem sir Laurence’a Oliviera.

– Nie, wszystko gra – odparłem. – Ciężkie przedpołudnie, to wszystko. Nie przepadam za pogrzebami.

– Nikt nie lubi pogrzebów – zgodził się ze mną O’Shea. Skinął głową, ale świdrował mnie wzrokiem, jakby wskazówka jego prywatnego kitomierza podrygiwała na czerwonym polu. Zapewne ciągnąłby wątek mojego samopoczucia, ale na szczęście zabrzączał dzwonek windy. Do-

tarliśmy na moje piętro.

O'Shea wystawił głowę poza drzwi, spojrział w lewo i w prawo.

– Okay – oznajmił.

Szedłem za nim korytarzem po wykładzinie w faliste beżowe i białe paski. Ta wykładzina była jakaś dziwaczna. Wystarczyło dłużej na nią popatrzeć, żeby dostać paskudnego zawrotu głowy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał O'Shea, kiedy stanęliśmy pod drzwiami mojego mieszkania. Wyjąłem klucz z kieszeni i właśnie sięgałem do zamka.

– A, tak, zapomniałem.

Spojrział na mnie z rodzicielską dezaprobatą.

– Czasem to wystarczy, Nick. Raz o czymś zapomnieć.

Podąłem mu klucze, aby mógł przeczesać mieszkanie, nim wejdę.

– A tak z ciekawości... – powiedziałem. – Kiedy jesteś w mieszkaniu i sprawdzasz, czy horyzont jest czysty, kto pilnuje mnie tu, w korytarzu?

– Sam. Dlatego właśnie siedzi w holu – odparł bez wahania.

– A jeśli, powiedzmy, ktoś czeka na mnie za drzwiami na klatkę schodową?

O'Shea zachichotał. Wiedział, że zadaję mu pytania, na które odpowiem dobrze znam.

– Chciałbyś, żebym to sprawdził? – zapytał wolno.

– Nie, jest okay – odrzekłem ze śmiechem. On też się roześmiał. Właściwie O'Shea był całkiem sympatyczny. Lubilem go. Także jego partnera. No, w końcu starali się zachować mnie przy życiu.

– Dobrze. Teraz tu zostaniesz – powiedział uśmiechnięty, otwierając drzwi do mieszkania. – Spróbuj nie wpakować się w jakieś tarapaty.

– Taa, jasne. To będzie mój priorytet.

Rozdział 79

Stałem na korytarzu pod drzwiami swojego mieszkania, sekundy się wlokły. Myślałem o tym, jak dobrze byłoby wrócić do dawnego życia i żeby to wszystko się nie wydarzyło. No, może poza zerwaniem Courtney z Ferramore'em.

– Tylko nie buszuj mi w lodówce! – zawołałem do O'Shei.

Przez trzy dni z rzędu jadłem dania na wynos. Pojemniki po najróżniejszych potrawach chińskich, japońskich, meksykańskich i włoskich zaczynały tworzyć ONZ resztek.

– Hej, słyszysz mnie? – odezwałem się.

O'Shea sprawdzał mieszkanie od minuty. Mniej więcej pół minuty dłużej, niż zazwyczaj zajmowało jemu albo Brisonowi przeczesanie moich stu jedenastu metrów kwadratowych.

Nagle zaczęło się we mnie rodzić jakieś nieprzyjemne uczucie. Umysł pracował coraz prędej.

Odruchowo zrobiłem krok w kierunku wejścia, żeby zza framugi zajrzeć do środka. Zreflektowałem się jednak. Absolutnie nie powinienem tego robić, zgadza się?

Przesunąłem więc nieco na bok swój krawat w paski. Pod koszulą wyczuwałem zarys urządzenia alarmowego.

Jasny gwint, co robić? Wcisnąć to?

Nie. Jeszcze nie.

– Kevin?! – zawołałem ponownie, tym razem głośniej. Nie w głowie już mi były żarty na temat lodówki. – U ciebie wszystko w porządku? Hej, Kevin?

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Nie usłyszałem nic, kropka. W mieszkaniu, korytarzu – wszędzie panowała cisza.

Potem w końcu – dzięki Bogu! – usłyszałem jego głos.

– Tak, wszystko gra.

Nie widziałem go jeszcze, ale zorientowałem się, że idzie w moim kierunku. Głęboko wciągnął powietrze i wyjaśnił:

– Zaraz będę, zdawało mi się, że słyszałem...

Pfft! Pfft!

Nim do moich uszu dotarł kolejny dźwięk, zobaczyłem krew, jaskrawoczerwony rozprysk w poprzek korytarza na wysokości drzwi. Potem ciało funkcjonariusza Kevina O'Shei runęło u moich stóp. W tyle jego głowy widniała ogromna dziura.

Och nie! Nie! Nie!

Niezdarnie cofnąłem się o krok, omal nie potknąłem się o własny obcas. Nogi się pode mną uginały, nie mogłem zebrać myśli. W głowie miałem kompletny mętlik.

Uciekaj, Nick! Natychmiast!

Rzuciłem się biegiem wzdłuż korytarza, aż te zwariowane beżowe i białe paski na wykładzinie rozmazały mi się przed oczami. Trzy metry dzieliły mnie od klatki schodowej.

Dobiegnę?

Ledwo, ledwo.

Wpadłem na schody. W drzwiach na ułamek sekundy odwróciłem głowę. Rzuciłem za siebie jedno spojrzenie.

Nic więcej nie potrzebowałem. No, niech będzie, że to było dużo więcej, niż potrzebowałem.

Z mojego mieszkania wypadł z zaopatrzoną w tłumik pistoletem w garści mężczyzna, który powinien był mnie zabić, kiedy miał po temu okazję, tam, w zaułku koło pizzerii w południowym Bronxie.

Przynajmniej wiedziałem z całą pewnością, o czym Carmine Zambratta, Zamboni, myślał w chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

Uniósł broń, a moje serce niemal przestało bić.

Biegnij, Nick!

Rozdział 80

Rzuciłem się po schodach, nogi ledwie nadążały za resztą ciała. Uda mi się go wyprzedzić? Czy zdoła oddać do mnie czysty strzał? Nie widziałem powodu, dla którego miałby nie oddać.

Już miałem wdusić wiadomy przycisk, zaalarmować czuwającego w holu Brisona, kiedy usłyszałem głos ostatniej komórki mózgowej, która nie utopiła się w adrenalinie.

Nie, zaczekaj! Nie idź do mnie, Brison... Ja idę do ciebie!

I prowadzę towarzystwo.

Nadal sfruwałem ze schodów. Dziewiąte piętro... Ósme... Buty dudniły na betonowych schodach, serce waliło mi jak młotem.

Jak daleko był za mną? Zmniejszył dystans?

I wtedy to usłyszałem.

Czyli nic.

Żadnego odgłosu kroków z góry, nic, co by wskazywało na to, że Zamboni mnie dogania. Byłem sam na klatce schodowej i ta jedyna działająca komórka mózgowa natychmiast podpowiedziała mi dłaczego.

Wsiadł do windy.

Cholera!

Na podeście szóstego piętra zatrzymałem się z poślizgiem. Z trudem łapiąc powietrze, próbowałem myśleć w miarę jasno.

W górę?

W dół?

Zostać tutaj?

Co robić?

Przemknęło mi przez myśl, że być może znam odpowiedź. Ukryję się w jakimś mieszkaniu. Będę tak długo walił w drzwi, aż ktoś mnie wpuści. Potem wezwę policję.

O nie! Policja.

Przedemną pojawił się nagle obraz Brisona siedzącego na sofie w holu. Całkowicie odsłoniętego, bezbronnego. Musiałem go ostrzec.

Znasz gościa, którego ci sprowadziłem, Brison? Może być u ciebie przedemną!

Wcisnąłem kciukiem przycisk alarmowy i ruszyłem w dół.

Piąte piętro...

Czwarte piętro...

Bolały mnie nogi, płuca paliły żywym ogniem. Ale najbardziej doskwierało mi to, że nie wiedziałem, co się teraz wydarzy.

Jak Brison zareaguje na sygnał urządzenia alarmowego? Czy nie ruszy prosto w kierunku windy i Zambratty?

Zechcesz przejść do mojego salonu? – powiedział pająk do muchy.

Trzecie piętro...

Drugie piętro...

Muszę pierwszy dopaść holu.

Nikt więcej nie mógł zginąć na mojej wachcie.

Rozdział 81

Drobiazgi, które przyjmujemy jako rzecz oczywistą.

Jak okienko w drzwiach oddzielających schody od holu. Przez siedem lat mieszkałem w tym budynku, a nigdy go nie zauważyłem.

Ale było tam, nie większe niż bochenek chleba – do diabła, nawet mniejsze; jak kromka chleba – niemniej wystarczająco duże, bym zbiegając z ostatniego odcinka schodów, mógł dostrzec Brisona.

Z dobytą bronią, ustami wykrzywionymi w gniewnym grymasie.

Wycelował pistolet prosto w drzwi windy. Patrzył. Czekał.

Ja nie.

Wpadłem przez drzwi do holu jak... no, jak ogłupiały, zdjęty paniką facet, którym akurat byłem. Dopiero gdy Brison obrócił się w miejscu i niewiele brakowało, a odstrzeliłby mi głowę, uświadomiłem sobie, że może to nie był taki dobry pomysł.

– Jasna cholera! – zawołał, a palec spoczywający na spuście nie przestawał mu drżeć. – Mogłem cię zabić!

– Przepraszam. – A co innego mogłem, u licha, powiedzieć?

Brison na powrót wycelował broń w drzwi windy. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem ku paskowi z numerami pięter. Świeciła się piątka. Potem czwórka.

– To Carmine Zambratta – powiedziałem szybko, wciąż bez tchu.

– Wiem.

– Postrzelił O'Sheę.

Sądząc po wyrazie twarzy Brisona, to także wiedział. Albo przynajmniej się tego domyślał.

– Żyje? – zapytał.

– Nie wiem – odparłem, kręcąc głową. – Nie wydaje mi się.

Brison przełknął głośno. Wiadomość o O'Shei była dla niego jak gorzka pigułka. Na nic więcej nie było czasu, jeśli obydwaj nie chcieli-

śmy skończyć jak jego partner.

– Wskakuj za kontuar! – zawołał do mnie. – Szybko! Nie wychylaj się!

Rzuciłem się za biurko portiera, które wyglądało raczej jak kontuar przy bramkach na lotnisku. Zastanawiałem się, skąd Brison wiedział, że w windzie znajduje się Zambratta czy że w ogóle to Zambratta zjawił się w budynku.

Wtedy spostrzegłem monitor telewizji przemysłowej z podzielonym ekranem, wiszący na ścianie dokładnie nade mną. Brison oczywiście spojrział na niego po tym, jak wcisnąłem przycisk alarmowy. Musiał też kazać portierowi zmykać stąd w podskokach. I wezwać pomoc?

Wlepiłem oczy w monitor, wodząc nimi w lewo i w prawo jak podczas gry na konsoli. Z jednej strony ekranu widać było drzwi obrotowe głównego wejścia, z drugiej – wnętrze windy.

I oto on, widoczny jak na dłoni, choć obraz był ziarnisty i rozmyty. Przerażający jak wszyscy diabli.

Zamboni.

Brison na pewno rozpoznał go od razu. Jakżeby inaczej? Facet był idolem wszystkich mafijnych egzekutorów. Właściwie celebrytą. Zabijał ludzi i uchodziło mu to na sucho. Pewnie niedługo będzie miał własny program w kablówce.

Widziałem trzymany w mięsistej dłoni pistolet z tłumikiem, szerokie ramiona przyciśnięte mocno do bocznej ściany windy. Carmine Zambratta szedł po mnie i chciał mojej śmierci. Bardzo niedobrze.

Niemniej wyglądał na całkowicie odprężonego i opanowanego. Co za cholerny popapraniec!

– Co teraz robi? Nadal stoi przy ścianie windy? – stłumionym głosem zapytał Brison. Gardło musiał mieć suche jak popiół. Jeśli starał się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie, to mu nie wyszło, ale ja byłem ostatnim człowiekiem na świecie, który miałby mu za złe odrobinę zdenerwowania i wielki niepokój.

Niewidoczny, skulony za kontuarem, nadal doskonale widziałem monitor. Brison ze swojego stanowiska – nie. Wcale go nie widział.

Miałem być jego oczami.
Tylko nie mrugaj, Nick.

Rozdział 82

– Tak – odpowiedziałem na pytania Brisona. Następnie szybko otarłem pot kapiący mi z czoła. Zambratta nadal przytulał się do bocznej ściany windy. Nie poruszył się. Co zamierzał?

I gdzie, do czorta, podziła się winda?

To cholerstwo powinno już dotrzeć do holu, nie? A tymczasem...

Ding!

Jakby na umówiony znak. Winda zatrzymała się, wysoki dźwięk dzwonka zakłócił ciszę holu. Znów się zaczyna...

Zebrałem się w sobie, przywarłem wzrokiem do monitora. W tej chwili nie musiałem patrzeć na Brisona.

– Podnosi broń! – zawołałem.

Usłyszałem skrzypienie butów Brisona na posadzce z białego marmuru. Zmieniał stanowisko. Czekałem na kolejny dźwięk – odgłos otwierających się drzwi windy.

Nie doczekałem się!

– Co robi?! – zawołał znowu Brison.

Zmrużyłem oczy, wpatrzyłem się w monitor. Początkowo nic nie widziałem, obraz ciągle migotał. Kiedy się w końcu ustabilizował, ujrzałem dłoń Zambratty na panelu z przyciskami wewnątrz windy.

– Blokuje otwieranie drzwi – powiedziałem. – Ma swój... O cholera!

– Co? Co się dzieje?

To stało się tak szybko.

Zambratta strzelił w obiektyw kamery monitorującej. Rozległ się stłumiony odgłos pękającego szkła i metalu. Połowa monitora przede mną szerniała.

Wystawiłem głowę ponad kontuar, żeby powiedzieć Brisonowi, że nie jestem już jego oczami.

– Schowaj się! – zawołał, biegnąc ku sofie pod przeciwległą ścianą.

Wskoczył za oparcie, nie spuszczać z oka drzwi windy. Przez cały czas trzymał je na muszce.

Wstrzymując oddech, schowałem się za kontuar. Rozgrywka doprowadziła do pata. Coś musiało ustąpić. Lub ktoś. Czym to się skończy? Kto był lepszym strzelcem?

Potem to usłyszałem. Odgłos nadciągającej kawalerii. Syreny radiowozów. Pięknie brzmiały. Brison musiał wezwać wsparcie. A może portier zadzwonił z ulicy pod 911. Tak czy inaczej...

Co teraz zrobisz, Zamboni?

Nie wiedziałem, że on już to zrobił.

Rozdział 83

Czy Zambratta spróbuje się przebić z bronią w rękę?

Może wjedzie windą na inne piętro i weźmie zakładnika, mieszkańca któregoś z apartamentów? Nie byłoby to takie trudne.

Zastanawiałem się, czy słyszał syreny zbliżających się radiowozów. Nawet jeśli nie, musiał wiedzieć, że dalsze pozostawanie w windzie do niczego nie prowadzi. Musiał wykonać jakiś ruch.

Myśli Brisona najwyraźniej biegły tym samym torem.

– Nie możesz tam zostać, Zambratta! – zawołał w kierunku zamkniętych drzwi windy. – Wyłaż, ręce wysoko nad głową.

Kryło się za tym, jak sędzę, myślenie życzeniowe, ale nie mogłem mieć mu za złe, że próbuje.

– Dałeś nam zbyt wiele czasu – ciągnął Brison coraz pewniejszym głosem. – Mamy ludzi na każdym piętrze. Nie masz się gdzie ruszyć.

Zechcesz przejść do mojego salonu? – powiedział pajak do muchy.

Byłem tak pochłonięty tym, co się działo w holu, że niemal przegapiłem coś innego. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch na monitorze nade mną, na wciąż sprawnej połówce ekranu, pokazującej obrotowe drzwi głównego wejścia.

Te drzwi się poruszały.

Najpierw pomyślałem, że to wezwane przez Brisona wsparcie. Przybyła kawaleria!

Ale nie... Widziałem tylko jednego człowieka i nie miał on na sobie munduru. Był w garniturze.

O kurczę! To któryś z mieszkańców budynku. Wraca do domu. Fatalnie!

„Cofnij się!” – chciałem krzyknąć.

Zmieniłem jednak zdanie.

Człowiek wchodzący przez obrotowe drzwi nie mieszkał w tym bu-

dynku, ale go rozpoznałem.

– Brison! – zawołałem, wyskakując zza kontuaru. – Za tobą!

Było już jednak za późno.

To Brison dał Zambratcie za dużo czasu. Zabójca wezwał własną kawalerię, własne wsparcie.

Jak mógłbym zapomnieć tego człowieka? Przecież to mordujący z zimną krwią killer z Lombardo's Steakhouse.

Ze zgrozą patrzyłem, jak pakuje dwie kule w Brisona. Jezu, umiał się obchodzić z bronią.

Na lewo ode mnie zaszumiały otwierające się w końcu drzwi windy. Wyszedł z niej Zambratta.

– Najwyższa pora – mruknął pod adresem swojego człowieka.

Odgłosy syren zbliżały się, ale dla mnie nie były dość bliskie, bo Zambratta ruszył w moją stronę.

– Ochrona policyjna to coś mocno przecenianego, gdyby mnie ktoś pytał – powiedział, unosząc broń ku mojej twarzy.

Rozdział 84

Powoli otworzyłem oczy, poniekąd zadowolony, że nadal mam co otwierać. Powieki mi drżały jak obraz w niemym filmie. Wszystko było zamazane. Nawet dobiegające moich uszu głosy wydawały się rozmyte.

Gdzie byłem? Ano, przynajmniej gdzieś byłem.

Zabijał mnie ból głowy. Kiedy powoli przesunąłem dłonią wzdłuż linii włosów, znalazłem guza wielkości piłki tenisowej. Pewnie tam dostałem kolbą pistoletu Zambratty.

– Patrzcie, kto się obudził – usłyszałem czyjś głos. – Śpiąca Królowna.

W jednej chwili wszystko nabrało ostrości. Już wiedziałem, gdzie się znajduję. I w którym towarzystwie. A wołałbym nie widzieć żadnego z tych ludzi.

Jechałem na tylnym siedzeniu długiej limuzyny, gdzieś poza miastem, sądząc po prędkości pojazdu. Sytuację pogarszał fakt, że wewnątrz samochodu cuchnęło obrzydliwie dymem tytoniowym i tanim płynem po goleniu.

Po mojej prawej stronie znajdował się Zambratta, a naprzeciwko nas, założywszy nogę na nogę i na znak zadowolenia skrzyżowawszy ręce na piersi, siedział jego boss. Ten boss.

Joseph D'zorio.

– Wiesz, kim jestem, Nick? – zapytał D'zorio. Zauważyłem, że jego rumiana cera pasuje do zaczesanych do tyłu siwych włosów. Facet dosłownie promieniał.

Skinąłem głową.

– Tak, wiem, kim jesteś.

– Jasne, że wiesz – powiedział z uśmiechem. – Ale założę się, że w tej chwili wołałbyś nie wiedzieć. Faktem jest, że masz problem, prawda? Znasz mnie o wiele za dobrze.

Koszulę na piersi miałem rozdartą, zniknął przycisk, który ewentualnie mógłbym wdusić. Ale, wiercie lub nie, bardziej przejąłem się czymś innym.

Od niechcenia wsunąłem rękę do kieszeni i próbowałem zmacać pendrive'a otrzymanego od Moniki Phalen.

– Tego szukasz? – zapytał D'zorio.

Otworzył dłoń, w której zagłębieniu leżał pendrive.

– Domyślam się, Nick, że nie miałeś okazji sprawdzić, co się na tym znajduje.

– Nie – odparłem. – Nie otwierałem go.

– Ani ja. Przypuszczam, że gdybyśmy to zrobili razem, dowiedzieliśmy się czegoś, co obydwaj już wiemy.

Zmilczałem.

– Oczywiście, nie wiem, kto oprócz ciebie widział zawartość tej pamięci – rzekł D'zorio i kostką palca postukał w pendrive'a.

To wyjaśniało, dlaczego jeszcze żyłem. Niełatwo wydobyć informacje z trupa.

– Jedyna osoba, która wiedziała, co jest w tej pamięci, została zamordowana – powiedziałem. – Jestem pewien, że na twój rozkaz. Nawiasem mówiąc, to był dobry człowiek.

D'zorio kiwał głową na boki, jakby zastanawiał się nad moimi słowami.

– Może i masz rację – rzekł. – Z drugiej strony możesz się mylić. Nie wykluczone, że Derrick Phalen zrobił więcej kopii. Jak myślisz, Carmine?

Rozwalony na skórzanym siedzeniu obok mnie Zambratta wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ale w takich sprawach nigdy nie można być zbyt pewnym, nie?

– Czy to dlatego? – zapytałem, zwracając się do D'zoria.

– Czy co dlatego? – odpowiedział pytaniem.

Dalsze zgrywanie głupka nie miało sensu. Niezależnie od tego, co znajdowało się w pamięci i kto mógł do niej zaglądać, ja sam dowiedzia-

łem się więcej niż dość.

– Czy to dlatego wrobiłeś Eddiego Pinera, zamiast go po prostu zabić? Mniejsze zagrożenie zemstą? Bo nigdy nie można być zbyt pewnym?

– Nie, to nie to. – D'zorio machnął ręką.

– Więc co? – zapytałem.

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział.

– Nie bądź taki pewny. Spróbuj.

D'zorio zignorował moje nalegania, zaśmiał się tylko.

Tymczasem limuzyna zatrzymała się nagle, koła podskoczyły na – sądząc po odgłosach – żwirze. Dokądkolwiek jechaliśmy – dojechaliliśmy.

– Przykro mi, Nick – powiedział jedynie.

Ale powiedział to w pewien szczególny sposób, z nutą nieodwołalności.

Joseph D'zorio nie chciał mi powiedzieć, że nie wyjawি mi swego sekretu.

On mi mówił „do widzenia”.

Rozdział 85

Drzwi obok mnie otworzyły się gwałtownie, prawie wyrwane z zawiasów. Kierowca D'zoria wyglądał tak, jakby był w stanie wycisnąć na ławeczce każdy ciężar. Bez słowa czekał, aż wysiądę. Za nim widziałem opuszczony magazyn, w połowie doszczętnie spalony. Tak czy inaczej, miał swój specyficzny wygląd i atmosferę. Odosobnienia i ruiny. Miejsca, w którym nikt nie usłyszy twoich krzyków.

– Pomóc ci wysiąść? – spytał Zambratta. – Może potrzebujesz kopa w dupę na rozpęd?

– Nie musisz tego robić – powiedziałem.

Wyciągnął pistolet, lufę przycisnął mi mocno do głowy, zupełnie jak wtedy, w zaułku koło pizzerii.

– Właśnie, że muszę – odparł. – Nadszedł twój czas. Wystawiłem jedną nogę z limuzyny i zamarłem, a to z powodu dźwięku, który dobiegł moich uszu. Dźwięku niespodziewanego, ale absolutnie cudnego.

Syreny.

Kierowca D'zoria natychmiast zatrzasnął drzwi, omal nie przycinając mi nogi. Zanim wylądowałem na siedzeniu, już tkwił za kierownicą.

Te syreny... były rzeczywiste.

I coraz bliższe. Nie tak jak te, które słyszałem w holu swojego domu, nim Zambratta uderzeniem kolbą pozbawił mnie przytomności. Wyglądało na to, że tym razem kawaleria podkradła się cichaczem od tyłu i włączyła syreny dopiero w ostatniej chwili.

Niespodzianka!

– Rany boskie! – wrzasnął Zambratta. – W jaki sposób?

Co miało znaczyć: „W jaki sposób zdołali nas tu znaleźć?”.

Zambratta uderzył pięścią w szybę oddzielającą nas od kierowcy.

– Jazda!

Szofer D'zoria był już jednak krok dalej. Wystartowaliśmy z piskiem

opon, a ja, chcąc nie chcąc, przypomniałem sobie tamtą noc ucieczki z Darfuru.

„Trzymaj się mocno, bo to będzie ostra jazda!”.

Rozdział 86

Rozumiałem to bardzo dobrze. Na zakrętach limuzyną rzucało na lewo i prawo, my trzej z tyłu czuliśmy się jak składniki sałatki podczas mieszania. Nadal nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Mocno przyciemnione szyby i wszystkie te wygibasy wozu też nie sprzyjały orientacji w terenie. Widziałem jedynie niewyraźne plamy.

Jak szybko jechaliśmy? Sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę? Sto sześćdziesiąt? Po bocznej drodze?

Kiedy wjechaliśmy na autostradę, jeszcze przyspieszyliśmy.

Kryształowe szklanki w barku obok D'zoria grzechotały coraz głośniej i głośniej, ale ja łowiłem uchem dźwięki syren policyjnych. Zbliżały się czy oddalały?

Razem tworzyły cały chór i miałem tylko nadzieję, że choćbyśmy jechali nie wiem jak szybko, faceci w radiowozach jadą ciut szybciej.

Dalej, chłopaki, więcej czadu! Śmiało!

Śmiałości im nie brakło.

Puk! Puk, puk!

Brzdęk! Brzdęk!

– Próbują przestrzelić opony – stwierdził Zambratta. Błyskawicznie wydobył spod kurtki pistolet. I drugi z kabury na tyłce.

– Zaczekaj! – zawołał D'zorio. – Nie strzelaj.

Nie?

Zambratta spojrzał na szefa takim wzrokiem, jakby ten miał trzy głowy.

– Ten głupek widział, jak zabijam dwóch ludzi – powiedział, wskazując mnie lufą czegoś, co wyglądało jak dziewięćmilimetrowy Glock.

– Muszą wiedzieć, że tu jest.

– To nie ma znaczenia – odparł D'zorio. – Jeśli się zatrzymamy, nie przykleją nam żadnych zarzutów. Mogę cię ochronić, Carmine.

Teraz z kolei ja spojrzałem na D'zoria jakby miał trzy głowy. Nie przykleją nam żadnych zarzutów? Jak to sobie wykalkulowałeś? Siedziałem naprzeciw dwóch pistoletów w ściganym przez policję samochodzie i po co ja się nad tym zastanawiałem? Nie mogłem się jednak powstrzymać. Jak D'zorio mógł ochronić swojego ulubionego pacholka? Dziwne, że boss mówił takie rzeczy. Jakby wszyscy oprócz niego byli głupi.

Spojrzałem na Zambrattę, którego myśli wyraźnie biegły tym samym torem. Niedługo jednak. Po prostu nie kupił zapewnień D'zoria.

Zaczął natomiast otwierać szyberdach.

– Mówię ci – błagał D'zorio. – Mogę cię ochronić.

– Nie, nie możesz – odparł Zambratta. – Ale mogę się ochronić sam.

Wysunął się przez odsunięty szyberdach i otworzył ogień z pistoletów. Latające wokół kule i wiatr chłuszczący wewnątrz limuzyny sprawiały, że prawie nie słyszałem własnych myśli.

Widziałem jednak, co zamierza zrobić D'zorio.

I ledwie mogłem w to uwierzyć.

Rozdział 87

Wyglądało na to, że D'zorio, niczym Brudny Harry, liczy strzały, czekając na chwilę, gdy Zambratta będzie musiał ponownie załadować broń. Rzucił się wtedy ku przyciskowi sterującemu szyberdachem. Ruchomy szklany panel uwięził Zambrattę z połową ciała na zewnątrz pędzącego samochodu.

– Co jest, kurwa! – krzyknął Zambratta, bezradnie machając nogami. Zamboni, czołowy egzekutor D'zoria, pozostał tam w górze bez pocisków i całkowicie odsłonięty. Reszta to były ćwiczenia strzeleckie dla policjantów.

Przez kilka następnych sekund Zambratta krzyczał straszliwie, a kule, pewnie z pół tuzina, darły jego ciało, roztrzaskiwały kości. Potem – łup!

Jego martwe ciało opadło na dach limuzyny. Jedną ręką, nadal trzymając dziewięćmilimetrowego glocka, wśliznęła się do wnętrza. Patrzyłem, jak krew skapuje z koniuszków palców.

D'zorio pokręcił głową.

– Ten facet ni cholery nigdy mnie nie słuchał – oznajmił.

Ach, rozumiem. Więc go zabiłeś?

Nagle limuzyna skręciła ostro w prawo, tak że poleciałem na drzwi. Gramoląc się z powrotem, zerknąłem przez przyciemnione okno. Za nim nie było już drzew, lecz samochody.

Wjechaliśmy na wielopasmową autostradę i jeszcze bardziej przyspieszyliśmy.

– Teraz się zatrzymamy, tak?! – zawołałem do D'zoria, przekrzykując wycie syren. – Tak powiedziałeś!

– Jeszcze nie teraz – odparł.

Sięgnął do schowka pod prawym łokciem, nie większego niż pudełko na chusteczki higieniczne. Tylko że było tam coś zupełnie innego.

Jezu, dlaczego wszyscy mają broń oprócz mnie?

D'zorio wyjął chustkę tkwiącą dotąd w kieszonce na piersi i owinał nią dłoń.

– Co robisz? – zapytałem.

Doskonale jednak wiedziałem, co robi. Nie chciał, żeby na dłoni po wystrzale zostały ślady prochu.

Kiedy mnie zabije.

– Jak już mówiłem, Nick, nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział.

Z tymi słowy wycelował broń w moją pierś. Limuzyna pędziła wężykiem, co chwila zmieniając pasy, ale ręka D'zoria – o dziwo – ani drgnęła. Robił to już wcześniej.

– Zaczekaj... Czeka! – wrzasnąłem. – Słyszałeś, co powiedział Zambratta. Policja wie, że tu jestem.

– Tak, i kiedy już wszystko im wyjaśnię, będą wiedzieli, że to on cię zastrzelił.

Szach-mat, Nick. Koniec gry. Nie ma wyjścia. Nie tym razem. Zamknąłem oczy, wziąłem ostatni oddech.

Paf!

Rozdział 88

Dźwięk niewątpliwie przypominał odgłos wystrzału, ale to nie był wystrzał. Nie tym razem. Po prostu eksplodowała jedna z opon limuzyny. Może na skutek zbyt wielu ostrych zakrętów, może od kuli wystrzelonej przez ścigających.

Rzecz jasna, wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Zbyt byłem zajęty obracaniem się wewnątrz wozu niczym pranie w suszarce.

Limuzyna koziołkowała. Jeszcze jeden obrót i jeszcze, jeszcze. Podskakiwała przy tym wysoko. Jak gimnastyczka wykonująca gwiazdę.

To był najpoważniejszy wypadek samochodowy, w jakim brałem udział, a jednocześnie – czyste wariactwo! – najszczęśliwsza odmiana losu, jaka mnie kiedykolwiek spotkała, nawet jeśli bolało jak wszyscy diabli.

Obijałem się o sufit, podłogę, barek. Działo się to tak szybko, że nie było mowy o asekurowaniu się rękami. Nie miałem czego się przytrzymać, za co złapać.

Jakimś cudem w całym tym kołowrocie, pośród zgrzytu miażdżonego metalu i trzasku pękającego szkła, udało mi się zachować przytomność. I kiedy limuzyna w końcu znieruchomiła – ni mniej, ni więcej, tylko do góry kołami – zdolność widzenia włączała mi się i wyłączała, jakbym patrzył przez jeden z tych stereoskopów typu View-Master.

Pstryk! Gdzie jestem?

No dobrze. Leżałem twarzą do dołu na – zgadywałem – suficie limuzyny. Powoli uniosłem dłoń do czoła, przesunąłem po nim palcami. Nie musiałem widzieć krwi; czułem ją, ciepłą i lepłą. Było tak, jakby eksplodował wielki guz, który pozostawiła na mojej głowie kolba pistoletu Zambratty. Bolało jak jasna cholera.

Ale źródłem najgorszego bólu były niższe partie ciała, prawa strona klatki piersiowej, żebra. Każdy oddech był jak dźgnięcie nożem.

Już miałem zacząć wzywać pomocy, gdy niedaleko ode mnie ktoś jęknął. To był D'zorio. Równie poszkodowany jak ja, wyglądał chyba jeszcze gorzej.

Z czoła i policzków sterczały klinowate odłamki szkła. Byłem też pewien, że poniżej kostki wystaje ze skarpetki jakaś kość. Rzęził i kaszłał, plując krwią.

Spojrzał na mnie. Ja spojrzałem na niego. Obydwaj spojrzeliśmy na jego pistolet. Leżał piętnaście centymetrów od jego dłoni.

No, niech będzie dziesięć.

Próbował po niego sięgnąć, doskonale wymanikiurowane paznokcie, teraz umazane krwią, sunęły w stronę kolby broni.

I wtedy, niczym grom z jasnego nieba, padły słowa:

– Śmiało, Joey, daj mi tylko powód!

Zaraz! Znam ten głos. No jasne.

Przekręciłem nieco głowę i ujrzałem mężczyznę klęczącego obok limuzyny. Lufa jego pistoletu Smith & Wesson kalibru.40 wymierzona była w D'zoria.

Chwileczkę! Znam tego człowieka. To facet z Sunrise Diner. I z domu mojej siostry.

Chciał mnie zabić, ale teraz ratował mi życie. Nie był z mafii. Zwalczał ją. To jasne jak trzy żółte litery widoczne na jego kurtce.

FBI.

Rozdział 89

Na pewno miałem złamane żebro, może dwa. Głębokie rany cięte na czole, uchu i prawym ramieniu niewątpliwie wymagały szycia.

Kiedy skończył mnie badać ratownik medyczny, agent Douglas Keller z FBI skrzyżował ręce na piersi i posłał mi spojrzenie, które przypomniało mi ojca. Mój ojciec był dyrektorem szkoły średniej.

– Musisz iść do szpitala, Nick – powiedział. – Później o tym wszystkim porozmawiamy.

– Porozmawiamy teraz – odrzekłem. – Albo nigdy. Nie żartuję... Doug.

Staliśmy pośrodku wiodącej na południe Pelham Parkway w Bronxie. Za mną, na odcinku kilku mil, stały unieruchomione na pewien czas samochody. Po mojej lewej stronie, na jezdni prowadzącej na północ, trwała powolna parada gapiów. Każda twarz o szeroko otwartych ustach wyrażała to samo pytanie: „Co tu się, u licha, stało? Przewrócona limuzyna... z dziurami po kulach? Wszędzie policja... FBI też?”.

Nie wspomnę już o robiących zdjęcia policyjnych fotografach, funkcjonariuszach mierzących ślady na asfalcie i innych, obrysowujących kredą zwłoki kierowcy D'zoria, który mimo swoich rozmiarów jakimś sposobem wypadł z wozu i zginął na miejscu. Pamiętajcie, ludziska, zawsze zapinajcie pasy. Nie chcecie wiedzieć, co zostało z uwięzionego przez szyberdach ciała Zambratty.

– Zapewne zdajesz sobie sprawę, Nick, że nie muszę ci nic mówić – powiedział agent Keller.

– Zgadza się. Doskonale to rozumiem, Doug. Tak jak ja nie muszę pisać o agencji FBI, który śledził mnie przez dwa tygodnie, grożąc przy tym pozbawieniem życia – odpaliłem. – Czy „Keller” pisze się przez dwa „l”?

Kiedy się uśmiechnął, dorzuciłem:

– Cieszę się, że znajdujesz w tym wszystkim coś zabawnego.

– A dla porządku: nigdy nie groziłem ci pozbawieniem życia, Nick.

– Nie, ale chciałeś, żebym myślał, że muszę się tego bać. Powiedziałaś, że jestem w poważnym niebezpieczeństwie.

– Bo byłeś w poważnym niebezpieczeństwie. Możliwe, że nadal jesteś.

– Tak, ale nie ze strony FBI. Ani z twojej strony. Dlaczego więc tak bardzo starałaś się mnie wystraszyć?

Keller pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie mogę, kurczę, uwierzyć, że zamierzam ci to wyjawić”.

Zrobił to jednak.

Wyglądało na to, że Vincent Marcozza, prawnik Eddiego Pinera, przez minione dziesięć miesięcy współpracował z FBI, rzecz jasna, nie na ochotnika. Przyłapano go na uchylaniu się od płacenia podatków, poszedł więc na układ.

– Jakiego rodzaju układ? – zapytałem.

– Ująłbym to tak – odparł Keller – Marcozza zgodził się nie wykorzystywać w sądzie wszystkich swoich umiejętności. Pozwolił, by Pinerro został skazany.

Szczeńka mi opadła. Musiałem wyglądać jak jeden z mijających nas gapiów.

– Czy Organized Crime Task Force wiedział o tym? – spytałem po chwili.

– Chodzi ci o to, czy uczestniczyli w tym ich prokuratorzy?

– Tak. O to mi właśnie chodzi.

– Nie, o niczym nie mieli pojęcia – powiedział Keller. – To znaczy prywatnie może drapali się w głowę, dziwiąc się niekompetencji Marcozzy podczas procesu, ale to wszystko. Przygwożdżenie Pinera uważali za wielki sukces. Nie było komentarzy.

I tuja się pojawiłem w tej historii. Dosłownie. Przyszedłem do Lombardo's w chwili, gdy Eddie Pinerro brał odwet na Marcozzie.

Tyle że Pinerro nie miał z tym nic wspólnego, jak się później dowiedzieliśmy. Tylko tak to wyglądało, bo miało tak wyglądać.

– Jak się dowiedzieliście, że to D'zorio, że wszystko było ukartowane?

– Nie wiedzieliśmy, dopóki ty się o tym nie dowiedziałeś. – Keller wyciągnął rękę. – Daj mi na chwilę swój telefon. Rzuciłem mu pytające spojrzenie, następnie podałem iPhone'a.

Keller odblokował ekran dotykowy i wszedł do ustawień. Patrzyłem, jak przewija w dół, wklepuje moje hasło zabezpieczające i wprowadza czterocyfrowy kod.

– Proszę. – Zwrócił mi telefon. – Jak nowy.

– Że jak?

– Co tam było? – zapytałem.

Keller nie odpowiedział. Nie musiał. Oto jak znalazł mnie w domu siostry. FBI zmieniło mój telefon w urządzenie naprowadzające. Ale jak? Kiedy? Kto to zrobił?

– Tak, tak. Tego ranka byłeś bardzo zaabsorbowany czytaniem gazety – powiedział Keller. Wróciłem pamięcią do Sunrise Diner i tej chwili, gdy po raz pierwszy się do mnie odezwał. „Czy to pański telefon?” – zapytał.

– No dobrze. Pozwól, że zgadnę – rzuciłem. – Ponieważ ocaliłeś mi życie, w rewanżu nigdy nie upublicznię... nigdy nie opiszę tej historii?

– Generalnie, taki właśnie jest plan – oznajmił bez ogródek. – Zwłaszcza że należy uwzględnić jeszcze jeden drobiazg, o którym powinienem ci wspomnieć.

– Co takiego?

– Ta historia jeszcze się nie skończyła, Nick.

Część piąta

**To się nie kończy, dopóki się nie
skończy**

Rozdział 90

Czułem się jak kot, który przeżył już osiem swoich żywotów. Innymi słowy: koniec z tym bajzlem. Bezpośrednio po wypadku, na środku Pelham Parkway, zawarłem własną umowę z agentem Douglasem Kellerem. Chronisz mnie i dopóki żyję, artykuł, który mógłbym napisać, jest martwy. Ja umieram, artykuł ożywa. Już ja o to zadbam, obiecałem mu.

– Popatrz, gdzie przechowuję numer telefonu swojej byłej naczelnej.
– Wskazałem numer dwa w swoim telefonie. – Mam ją na liście szybkiego wybierania. Jest lepszą pisarką i reporterką niż ja. Trudno to sobie wyobrazić, wiem.

Keller skubał wargę, powoli kiwając głową. Dziwne, ale powiedziałbym, że jakaś jego część lubiła moją ostrą grę. To ułatwiało mu nawiązywanie kontaktu.

– Okay – stwierdził. – Stoi.

Załatwił sprawę od ręki. Szybciej, niżbym przypuszczał.

Zanim odwiedził mnie na oddziale nagłych wypadków najbliższego szpitala – Jacobi Medical Center – zdążył poinformować nowojorską policję, że moją ochroną zajmie się FBI. Zamordowani zostali dwaj gliniarze próbujący mnie ochraniać. Krótko mówiąc, dość było wpadek.

– Jak już cię tu pozszywają, ja i jeszcze jeden agent zawieziemy cię do domu. Będziesz miał kilka minut na spakowanie garnituru – powiedział Keller.

Znajdowaliśmy się w oddzielonej parawanem części oddziału i czekaliśmy na lekarza. Gdyby nie tuzin opatrunków, utrzymujących mnie w jednym kawałku, mógłbym się już wykrwawić.

– A jak się spakuję, to dokąd pojedę? – zapytałem. – Przepraszam, ale nie do końca ufam procedurom ochronnym.

– Pojedziemy do naprawdę bezpiecznego miejsca za miastem. W tej

sprawie możesz mi zaufać, Nick.

– Gdzie to jest? To naprawdę bezpieczne miejsce?

– Jeśli ci powiem, to czy będzie ono bezpieczne dla następnego chronionego?

– Co z Davidem Sorrenem? – drążyłem.

– A co ma być?

– Czy wie, że zabieracie mnie do jaskini Batmana? To mu się nie spodoba. Sorren też potrafi twardo grać.

Keller uśmiechnął się nieznacznie. Dobrze było się dowiedzieć, że umie się uśmiechać.

– Sorren wkrótce się o tym dowie – powiedział. – Jeśli komuś bardziej od nas zależy na twoim bezpieczeństwie, to właśnie prokuratorowi okręgowemu Manhattanu. Potrzebny mu jesteś zdrow i cały, żeby mógł oskarżyć D'zoria.

– O ile wcześniej go diabli nie wezmą – dobiegło zza parawanu.

Sorren.

Odsunął parawan, raz tylko rzucił na mnie okiem i pokręcił głową.

– Chłopie, jak to wszystko się skończy, będziesz miał fantastyczną historię do opisania.

– Pewnie tak. O ile kiedykolwiek to się skończy, a ja będę w stanie pracować. Nie wspomnę już o tym, że właściwie nie wolno mi o tym pisać.

Zerknąłem niepewnie na Kellera.

Sorren szybko przedstawił się Kellerowi, a potem zapytał, w jaki sposób i dlaczego FBI zaangażowało się w tę sprawę. Pytanie miało swój podtekst: „W jaki sposób i dlaczego FBI zaangażowało się w tę sprawę bez mojej wiedzy?”.

Keller miał gotową odpowiedź.

– Bruno Torenzi – oznajmił.

– Kim jest Bruno Torenzi? – spytał Sorren. – Nie znam tego nazwiska.

– To twój zbrojny w skalpel psychopatyczny zawodowy morderca. Załatwił Marcozzę, Derricka Phalena i dwóch policjantów.

– Raczej trzech – wtrąciłem. – Zjawił się w moim domu, żeby wesprzeć Zambrattę. To on zastrzelił Brisona.

– Ten Torenzi... Domyślam się, że nie jest stąd? – drażył Sorren.

– Pochodzi z Sycylii, ale już pracował w Stanach. Zastanawialiśmy się, gdzie znów wypłynie. Teraz wiemy.

– Myślisz, że ma jeszcze jakieś zlecenie? – zapytałem.

Sorren potarł podbródek. Wiedział, o co w gruncie rzeczy pytałem: „Czy Torenzi idzie po mnie?”.

– To może zależeć od tego, co dzieje się piętro wyżej – stwierdził. – D’zorio jest na chirurgii. Ma masywny krwotok wewnętrzny. Pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

– Właśnie dlatego nie chcemy ryzykować dłuższego pobytu Nicka w tym szpitalu – powiedział Keller. Wyrzął zza parawanu i skierował wzrok w głąb oddziału nagłych wypadków. Westchnął niecierpliwie. – Gdzie się podziewa ten lekarz?

Sam zaczynałem się niecierpliwić.

Wtedy nagle zadzwonił mój telefon.

Rozdział 91

Spojrzałem na wyświetlacz, spodziewając się, że to Courtney albo moja siostra. Czy ktokolwiek inny. Zupełnie natomiast nie spodziewałem się telefonu od Elizabeth.

Zwłaszcza że dzwoniła z zaopatrzonej w brajlowską klawiaturę specjalnej komórki, której rzadko używała.

„Mama mówi, że mam jej używać tylko w razie jakiejś krytycznej sytuacji” – powiedziała mi kiedyś.

I kiedy teraz odbierałem telefon, te słowa dźwięczały mi w uszach.

– Elizabeth? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała.

To mi wystarczyło. Jedno słowo mojej siostrzenicy, czternastolatki z piegami na nosie, którą po raz pierwszy nosiłem na rękach, gdy miała dwa dni.

Jedno słowo.

Coś było nie tak. Elizabeth nigdy nie brakowało słów. Ta dziewczyna trajkotała jak katarynka.

– Nic ci nie jest? – zapytałem.

– Nie.

– Coś jest nie w porządku, kochanie? Jest mama? Co się stało?

– Czy mogę przyjechać do miasta i spotkać się z tobą? Wiedziałem, a przynajmniej wyczuwałem, że z trudem powstrzymuje płacz. Głos jej się łamał. Właściwie drżał.

– Elizabeth, co się stało? – powtórzyłem.

Mocno przycisnąłem telefon do ucha, jednocześnie wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Sorrenem i Kellerem. Rozmawiali, nie zwracając uwagi na to, co mówię. Aż do tej chwili. Teraz obydwaj wpatrywali się we mnie. Sorren zrobił minę, która miała znaczyć: „Kto?”.

– Strasznie pokłóciłam się z mamą i jestem naprawdę rozbita – po-

wiedziała Elizabeth. – Muszę z tobą porozmawiać. Nie mam nikogo innego.

Kłótnia z matką? To, oczywiście, nie było niemożliwe. Elizabeth była nastolatką, a jej matka... no cóż, jej matką. Na co dzień były najlepszymi przyjaciółkami, ale nawet najlepsi przyjaciele się kłócą.

Dlaczego więc nie kupiłem nic z tego, co mówiła? Prawdopodobnie dlatego, że nie mówiła jak... Elizabeth.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytałem.

– Musiałam wyjść z domu, taka byłam wściekła – odrzekła. – Mogę przyjechać do ciebie? Proszę, wujku Nicku.

– Powiem ci, jaka jest sytuacja, kochanie. W każdej innej chwili prawdopodobnie bym się zgodził, ale akurat teraz jest mi to bardzo nie na rękę. Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale później możesz się wszystkiego dowiedzieć z wiadomości. – Przerwałem na chwilę, żeby podkreślić nieco następne zdanie. – A może już słyszałaś, co mi się dzisiaj przydarzyło. Słyszałaś?

Elizabeth milczała przez kilka sekund.

– Nie, o niczym nie słyszałam – odparła w końcu. Ważne było jednak to, czego nie powiedziała. Nie zapytała, co się stało.

– Oto co moim zdaniem powinnaś zrobić – powiedziałem. – Musisz iść do domu i spróbować dogadać się z mamą. Niezależnie od tego, o co się pokłóciłyście, na pewno jakoś to poukładacie. Wszystko będzie okay.

– Nie, nie będzie – odparła twardo. – Ona powie wszystko tacie. Nie wiem, co się będzie działo, jak wróci do domu.

Już nie próbowała powstrzymać płaczu. Ja zaś nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Czułem, że zaraz zwymiotuję. Elizabeth nie była sama. Miałem co do tego całkowitą pewność. Wiedziałem też, co oznaczają odgłosy, które słyszałem. Ktoś zabierał jej telefon.

– Sprytna ta twoja mała siostrzenica, Nick. Ale wszyscy wiemy, że jej tatko nie żyje – usłyszałem. – I jeśli w ciągu godziny nie zjawisz się sam na dworcu Grand Central, ta dziewczynka też będzie martwa. I pamiętaj o jednym, Nick. Nie mam powodu jej krzywdzić. Ona niczego nie widziała.

Rozdział 92

Niespełna godzinę później wszedłem do hali głównej dworca Grand Central. Czułem, jak krew przesiąka przez bandażę na głowie i ramieniu. Potrzebowałem szycia, ale miałem to głęboko w nosie. Naprawdę zależało mi tylko na tym, by Elizabeth cała i zdrowa wróciła do domu. Nic innego się nie liczyło. Jakżeby inaczej?

Nad sobą miałem gigantyczną tablicę informacyjną, na której wyświetlano czas przybycia i trasę każdego pociągu. Mnóstwo ludzi przystawało, aby na nią popatrzeć.

Nie ja. Szedłem szybko i nawet na nią nie spojrzałem. Nie mogłbym się z niej dowiedzieć niczego, czego już nie wiedziałem.

Niezidentyfikowany mężczyzna prowadzący niezidentyfikowaną nastoletnią dziewczynkę uprowadził jadący na południe pociąg linii Metro-North wyjeżdżający o siedemnastej zero cztery z Westport w stanie Connecticut. Porywacz nie wziął zakładników, wypuścił wszystkich poza wymienioną dziewczynką i maszynistą pociągu...

Oto najważniejsze punkty pierwszego sprawozdania policji lokalnej z Westport, siostrzanego miasta Weston, gdzie mieszkały Kate i Elizabeth. Poza tym przez telefon policjanci z Westport mogli powiedzieć agentowi Kellerowi tylko tyle, że pociąg zmierza w kierunku Nowego Jorku.

Tak, wiemy to od niezidentyfikowanego mężczyzny. Powiedział też, że pociąg nie będzie się nigdzie zatrzymywał.

Byłem przed czasem. Czekałem więc, stojąc na pustym peronie numer dziewiętnaście. Obraz Brunona Torenziego tak głęboko wrył mi się w umysł, że prawie nie mogłem skupić się na czymkolwiek innym. Wiedziałem go w Lombardo's, potem w holu mojego apartamentowca. Teraz miałem go spotkać ponownie. Tak czy inaczej, będzie to nasze ostatnie spotkanie. Tylko jaki miał plan? Nie mogłem tego wykalkulować.

Niemniej stanowczo chciałem zabić sukinsyna. Nigdy w życiu w stosunku do nikogo nie czułem takiej nienawiści, takiego wstrętu.

Spoko, Nick. Trzymaj nerwy na wodzy.

Było to jednak prawie niemożliwe. Nie kiedy myślałem o Elizabeth i o tym, jak musi być przerażona. A także jak bezgranicznie przerażona jest jej matka. Kilka minut po wyjściu ze szpitala udało mi się dodzwonić na komórkę Kate. Była na zakupach. Zwyczajnie wyskoczyła na pół godzinki i za chwilę miała wracać do Elizabeth. Poważnym tonem przekazałem jej wiadomość, że po powrocie do domu nie zostanie tam Elizabeth.

„Moja mała!” – powtarzała w kółko. To było po prostu wstrząsające.

Zadzwoiłem wtedy do Courtney, by poprosić o przysługę, która w jej rozumieniu wcale przysługą nie była. Tu, w mieście, w żaden sposób nie mogła mi pomóc, ale kiedy powiedziałem jej, co się stało, natychmiast domyśliła się, o co mi chodzi. W oczekiwaniu, aż wszystko się rozstrzygnie, Kate znajdowała się w dobrych rękach – miejscowej policji.

– Ale ona potrzebuje towarzystwa kogoś, kogo zna, znajomej i przyjaznej twarzy – powiedziała Courtney. – Już jadę, okay?

Tak, dziękuję! Kiedy to wszystko się skończy, chcę być z tobą, Courtney. Okay? Nic i nikt mnie nie powstrzyma.

W tym momencie usłyszałem odległe dudnienie. Potem zobaczyłem pociąg.

Siedemnasta zero cztery z Westport wjeżdżał na dworzec niczym wolno pełznący wąż ze stali. Pneumatyczne hamulce dotknęły szyn i w uszy wwiercił mi się przenikliwy pisk.

To już. Koniec drogi, koniec toru, wszystkiego.

W jednej chwili otworzyły się wszystkie rozsuwane drzwi. Nie było jednak tłumu wysiadających, tylko koszmarna, cholerna cisza. Wstrzymałem oddech. Nie mogłem już tego znieść. I wtedy...

Stuk. Stuk-stuk-stuk...

Wreszcie ujrzałem ją na przeciwległym krańcu peronu. Elizabeth

wysiadła z pierwszego wagonu i teraz szła, białą laską badając drogę. Miała na sobie wyblakłe džinsy i zapinany na suwak zielony sweter. Włosy związała z tyłu głowy w koński ogon. Wszystko w jej wyglądzie znamionowało młodość i niewinność – z wyjątkiem wyrazu twarzy. Usta miała mocno zaciśnięte, nozdrza piegowatego nosa ściągnięte strachem – wyglądała na zmartwiałą z przerażenia.

A jednak na jej widok odczułem taką ulgę – na widok jej żywej – że początkowo wszystko to do mnie nie dotarło.

Była sama. Ani śladu Brunona Torezkiego.

– Elizabeth! – zawołałem.

Zacząłem biec ku niej. To była odruchowa reakcja. Żadnego namysłu, sam instynkt. Jak mógłbym do niej nie podbiec?

Moja siostrzenica sama mi to powiedziała. Zatrzymała się, uniosła dłoń.

– Zaczekaj, wujku Nicku! – krzyknęła z całych sił. – Stój tam! Mówię poważnie!

Rozdział 93

Boże, nie! To się nie może dziać.

Tyle że ewidentnie się działo.

Patrzyłem na Elizabeth z odległości może piętnastu metrów i nie mogłem oderwać oczu od czerwonych przewodów wychodzących z jej swetra. Zrozumiałem. Czerwone przewody połączone były z kostkami C-4 przymocowanymi taśmą do piersi Elizabeth.

– Ty skurwielu! – krzyknąłem, czy raczej wrzasnąłem. Nie widziałem Torezniego, ale wiedziałem, że gdzieś tam był. Potem nagle był wszędzie.

Powietrze rozdarł dźwięk dobywający się z systemu nagłośnienia pociągu – szum zakłóceń, a potem słowa wypowiedane z silnym włoskim akcentem:

– Co ja mówiłem na temat przyścia bez obstawy? – Brzmiało to jak głos Boga.

– Przyszedłem sam! – krzyknąłem.

– Skłamałem jeszcze raz, a zobaczysz, jak twoja siostrzenica umiera. W straszny sposób.

Wpatrywałem się w Elizabeth. Zwróciła twarz w moją stronę, ale wiedziałem, że przecież mnie nie widzi. To tylko pogarszało tę sytuację, powiększało moją winę.

– Będzie dobrze – powiedziałem. – Nie umrzesz.

Odwróciłem się i rozejrzałem po wyglądającym na pusty peronie za mną. Nie był jednak pusty. Wiedziałem o tym. Toreznie na pewno też o tym wiedział.

Powoli z cienia pod filarami wyłonił się sześćosobowy oddział SWAT wezwany przez Kellera. Jego członkowie szli pojedynczo, uzbrojeni w karabinki automatyczne z celownikami optycznymi. Pierwotny plan zakładał ujęcie Torezniego w chwili, gdy odsunie się od Elizabeth.

Ale teraz to Torenzi tu rządził.

– Wsiadaj z dziewczyną do pociągu – rozkazał. – Do pierwszego wagonu.

Cholernie denerwowało mnie to, że nie można go było zobaczyć. Widziałem tylko Elizabeth stojącą przede mną z białą laską w dłoni. Jak niewyobrażalnym tchórzem był ten sukinsyn, i to od samego początku. Nie tylko on, bo D'zorio też musiał być w to zamieszany. A w każdym razie jego ludzie. Torenzi nie mógł działać sam. A może mógł?

Podszedłem do Elizabeth, ująłem ją za rękę.

– Trzymam cię – powiedziałem.

– Nie puszczaj – szepnęła.

– Nie puszczę.

Razem wsiedliśmy do pociągu. Za nami natychmiast zamknęły się drzwi. Dieslowski silnik pracujący dotąd na jałowym biegu zwiększył obroty, wprawiając koła w ruch. Odjeżdżaliśmy.

Tylko dokąd?

No i gdzie, do cholery, był Torenzi?

– Witam na pokładzie – rozległ się nagle jego głos. Nie dobiegał jednak z głośników, ale z przodu pociągu.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi jakieś cztery metry od nas, obok kabiny maszynisty. Miał na sobie ten sam garnitur, te same ciemne okulary i zachowywał się w ten sam sposób co zwykle: jakby mówił „odpierzdelcie się ode mnie”. W jednym ręku trzymał małe urządzenie, wyglądające jak komórka z otwieraną klapką, tyle że bez klapki. Detonator. W drugim – pistolet wycelowany w głowę maszynisty.

– I co teraz? – zapytałem.

Powoli skinął głową.

– Zobaczysz. Na wszystko przyjdzie czas.

Rozdział 94

Torenci bez wątpienia panował nad wszystkim i to było naprawdę niepokojące. Bacznie obserwował monitory ochrony umieszczone w kabincie maszynisty. Pokazywały obraz z kamer wycelowanych we wszystkie drzwi pociągu. Nie obawiał się więc nieproszonych gości. Tym samym nie będzie żadnych bohaterów marzących o trafieniu na pierwsze strony gazet. Będą tylko maszynista, Nick Daniels i siostrzenica Danielsa. Miłe trio, grzeczne i posłuszne. Znikną, gdy nie będzie ich już potrzebował.

Tak, Torenci panował nad wszystkim. Poza samym pociągiem.

Tu wkraczał agent Keller.

W pociągu nie było kamer skierowanych na sufit. Co więcej, w wagonie silnikowym znajdował się panel sufitowy, który można było otworzyć z zewnątrz. Tak przynajmniej brzmiały zapewnienia urzędnika Metropolitan Transportation Authority. Przed dworcem Grand Central zorganizowano dla Kellera krótki kurs budowy wieloczołowego elektrycznego zespołu trakcyjnego typu M7, skądinąd znanego jako siedemnasta zero cztery z Westport.

„Gdy znajdzie się pan na dachu, zobaczy pan panel” – powiedział urzędnik MTA.

Facet miał rację.

Kiedy okazało się, że plan A nie wypalił, Keller opuścił się z krokwi dachu, pod którym na torze numer dziewiętnaście stał pociąg. Po raz ostatni robił coś takiego przed dwunastu laty, podczas szkolenia w Quantico.

„Nigdy nie wiadomo, czy ta umiejętność kiedyś się nie przyda” – powiedział jego instruktor.

Ten facet też miał rację.

Keller wylądował na dachu niespełna minutę przed tym, jak pociąg

ruszył z hałasem i opuścił stację. Odpiął linę i przykucnął nisko, niczym surfer jadący na monstrualnej fali. Teraz nie było już odwrotu.

Chwilę później dostrzegł panel. Znajdował się nie więcej niż trzy metry od niego. Sunąc w tę stronę, sięgnął po dwa narzędzia, które otrzymał w MTA. Pierwszym był elektryczny, akumulatorowy wkrętak, wykonujący trzy tysiące dwieście obrotów na minutę, zaopatrzony w bit do śrub płaskich. Bit był krótki, niespełna półtoracentymetrowy, w celu zmaksymalizowania momentu obrotowego. Drugim narzędziem, nieco bardziej prymitywnym, był łom.

„Po odkręceniu czterech śrub będzie pan musiał trochę popracować, żeby otworzyć ten panel – ostrzegł go inżynier z MTA. – Ciężki jest, skubany”.

Tylko w ten sposób można było niepostrzeżenie dostać się do wnętrza pociągu.

„Coś jeszcze muszę wiedzieć?” – zapytał Keller inżyniera.

„Nie, myślę, że to wszystko”.

Pomyśl jeszcze raz.

Obudził się drzemiący w nim mechanik, bo szybko usunął śruby przytrzymujące panel. Z tym nie było problemu. Prawdziwą sztuką okazało się utrzymanie równowagi na dachu. Pociąg gnał ze świstem, niestrudzenie kołysząc się z boku na bok. Keller jakoś sobie jednak poradził. Jak dotąd – nieźle.

– Czas na łom – mruknął. Miał nadzieję, że dysponuje odpowiednią krzepą.

Natychmiast zorientował się, że inżynier z MTA nie żartował. Skubaniec istotnie był ciężki. Ani drgnął. Nie poruszył się nawet o centymetr. Zakleszczył się?

Możliwe.

Spróbował jeszcze raz. Z całej siły napierał na łom, niemal słysząc tykanie zegara w głowie. Czas leciał.

Jasny gwint!

Panel wciąż się nie poruszał. To niewątpliwie był problem. Duży.

Keller odwrócił głowę i oto pojawił się problem jeszcze większy – o

ile to w ogóle możliwe.

Kątem oka spostrzegł jakieś światełko. Dosłownie – światełko w tunelu, znaczące jego koniec i jednocześnie koniec trasy podziemnej. Ten urzędnik MTA zapomniał jednak wspomnieć o pewnym drobiazgu zwanym prześwitem.

Tu go nie było.

Wylot tunelu wyglądał na ledwie kilka centymetrów wyższy niż sam wagon. Nawet gdyby Keller rozpląszczył się na dachu, w żaden sposób się nie zmieści. Pozostawało skakać albo – plask!

Albo szybko dostać się do tego cholernego pociągu.

Keller wstał, ustawił się tuż przy panelu i całym ciężarem ciała rzucał się na łom. Wylot tunelu był coraz bliżej. Wiatr smagał w twarz, strącał krople potu z brwi niczym krople deszczu z szyby samochodowej.

– Dalej, ty sukinsynu! – wrzasnął Keller. – Rusz się!

Rozdział 95

Czas był bez znaczenia. Nie miałem pojęcia, ile minut, ile sekund dotąd minęło. Wypadliśmy z podziemnego tunelu, opuściliśmy dworzec Grand Central i na chwilę oślepiły mnie promienie popołudniowego słońca. Było tak, jakbyśmy frunęli bez dotykania szyn kołami.

Torezni warknął na maszynistę, każąc mu „docisnąć gaz do dechy”, a kolejarz usłuchał. Zważywszy, że celowano do niego z pistoletu, trudno mieć mu za złe jego służalczość.

Ścisnąłem dłoń Elizabeth.

– Trzymaj się za mną – szepnąłem, stając między nią a Torenzim.

Nie spodziewałem się, że sukinsyn wda się ze mną w uprzejmą pogawędkę. Bez względu na to, jak wyglądał jego plan, nie przewidywał wtajemniczenia mnie w szczegóły. Facet przyszedł mnie zabić i tylko dlatego dotąd tego nie zrobił, że nie miał pewności, czy nie zostanie złapany. Musiałem jednak umrzeć, wiedziałem o tym aż nazbyt dobrze.

Wywnioskowałem, że nie zatrzymamy się w żadnym z miast hrabstwa Westchester i nie wysiadziemy sobie po pańsku. Agent Keller chyba też był tego pewny. Niemniej brał pod uwagę każdy scenariusz. Zaczął kombinować w chwili, gdy Torezni zadzwonił do mnie do szpitala, i polecił lokalnej policji zabezpieczyć wszystkie stacje aż do New Haven, gdzie znajdował się przystanek końcowy.

„Po prostu na wypadek, gdyby Torezni okazał się głupi” – powiedział Keller.

Ale obaj wiedzieliśmy, że nie był głupi. Za to odważny jak diabli i inteligentniejszy, niż przypuszczałem. Właściwie już wcześniej zaobserwowałem te cechy u różnego rodzaju profesjonalistów z Europy. Ciężko pracowali, ucząc się swojego rzemiosła – choćby i zabijania ludzi.

Niespełna minutę później Torezni odwrócił się do maszynisty i rozkazał:

– Zatrzymaj pociąg. Dokładnie tutaj! Natychmiast.

Maszynista szarpnął dźwignie hamulców jak... no właśnie, jak facet, w którego głowę nadal wycelowany jest pistolet.

Ślizgaliśmy się po szynach, koła pociągu zgrzytały jak tysiąc paznokci drapiących tablicę. Odwróciłem się, żeby złapać Elizabeth, która omal nie poleciała na podłogę. To niewskazane, kiedy ma się na sobie bombę – przemknęło mi przez głowę. W tej chwili myślałem tylko o tym, co zrobić, żeby Elizabeth to wszystko przeżyła. Znalazła się tu z mojego powodu, a jak dotąd nie mogłem zrobić nic, żeby jej pomóc.

Torezni miał w rękę trzymał wszystkie atuty. Dosłownie. Broń. Detonator. Plan zabicia mnie. Ja nie miałem nic. Prócz bardzo przerażonej dziewczynki, którą trzymałem za rękę.

Za oknami, po obu stronach toru, widziałem gęsty las. Zniknęliśmy z oczu ewentualnym obserwatorom, zapewne nieprzypadkowo.

– Proszę, wypuść dziewczynę! – zawołałem. – Masz mnie. To na mnie polujesz.

– Masz rację – odparł Torezni, sięgając w głąb kabiny maszynisty.

Wcisnął przycisk otwierania drzwi i wycelowwał broń dokładnie w środek mojej piersi. Po raz pierwszy wypuściłem dłoń Elizabeth.

– Padnij! Padnij, Daniels!

Głos dobiegał z tyłu pociągu. Początkowo nie wiedziałem, kto woła, i nic mnie to nie obchodziło. Zawsze ktoś!

I nagle ten ktoś zaczął strzelać do Torezniego! Złapałem Elizabeth i pociągnąłem ją na podłogę, bo Torezni odpowiedział ogniem. Kule świ stały nam nad głowami, a tymczasem ja uświadomiłem sobie, że to był głos agenta Kellera. Tylko jak on dostał się do pociągu? I czy naprawdę to dla mnie takie ważne?

Spojrzałem w górę i spostrzegłem, że Torezni chwyta maszynistę za gardło i przykłada mu lufę do ucha.

Keller przestał strzelać.

– Leż, gdzie leżysz, dupku! – ostrzegawczo rzucił Torezni, przejściem między fotelami pchając przed sobą maszynistę. Im bardziej się zbliżał, tym usilniej starałem się zasłonić Elizabeth swoim ciałem.

W wagonie panowała teraz cisza, słychać było tylko buczenie pracującego na jałowym biegu silnika. Nie odważyłem się spojrzeć na Torenziego, kiedy szedł w naszą stronę. Nawet raz. Pragnąłem jedynie, żeby wysiadł z pociągu, nawet gdyby to miało oznaczać, że nigdy nie zostanie złapany.

On jednak po dotarciu do otwartych drzwi na korytarz tuż obok nas kopnął mnie w żebra i rozkazał:

– Wstawaj!

Kopnął mnie jeszcze raz, mocniej, by się upewnić, że go słyszałem i posłucham.

Powoli zacząłem gramolić się z podłogi, ale nie zdążyłem nawet wyprostować kolan, kiedy Torenzi odepchnął maszynistę i złapał mnie. Teraz ja byłem zakładnikiem, jego przepustką poza pociąg i, oczywiście, także jego celem.

Keller miał jednak inną koncepcję. Co on w ogóle teraz robił?

Z bronią trzymaną w wyprostowanej ręce zaczął iść przejściem w naszym kierunku.

Torenzi zawarczał:

– Zostań tam!

Keller nie usłuchał. Szedł dalej, usta zacisnąwszy tak mocno, że uwidocznił się zarys kości szczęki. Wyglądał jak nawiedzony. Co on wyprawia? Nie widzi pistoletu przyłożonego do mojej głowy?

W rzeczywistości Keller nie widział nic, tylko ten pistolet.

I wtedy strzelił mi w pierś.

Rozdział 96

Impet uderzenia wyrwał mnie z uścisku Torenziego. Stało się to tak szybko, że nawet gdyby zdążył nacisnąć spust, próbując posłać mój mózg na ścianę, prawdopodobnie by chybił. Poza tym czym tu się przejmować? Dlaczego miałyby się fatygować zabijaniem mnie, skoro FBI odwalalo za niego robotę?

Upadłem na podłogę, a Torenzi wyrzucił broń przed siebie i otworzył ogień do Kellera. Niewiele jednak widziałem. Cholera! Dostał Kellera? Czy Keller dostał jego?

Nie! I nie!

Bruno Torenzi wskoczył za rząd siedzeń naprzeciw miejsca, gdzie leżałem. Spojrzałem na Elizabeth.

– Nie ruszaj się – powiedziałem.

Skinęła głową, łzy spływały jej po twarzy.

– Dobrze, wujku Nicku. Nic ci nie jest?

Obok niej leżał przyklejony do podłogi maszynista. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę i jakbym czytał w jego myślach: „Powiniennem był zadzwonić dzisiaj do pracy, powiedzieć, że jestem chory”.

Słyszę, stary. Ja też.

Widziałem Torenziego wystarczająco dobrze, by zauważyć, że ładuje broń. Jedną ręką trzymał pistolet, drugą – wyjmował magazynek.

Zaraz! Gdzie jest detonator?

Przebiegłem wzrokiem fotel obok niego. Był tam.

Bez zastanowienia odepchnąłem się oburącz od podłogi. Rzuciłem się ku detonatorowi, złapałem go.

Jest! Ale co mam teraz zrobić?

Torenzi zwrócił się w moją stronę. Znajdowałem się może półtora metra od niego – mógł strzelać bez celowania.

Wtedy Keller postrzelił go po raz pierwszy.

Kula trafiła nieco powyżej łokcia, trysnęła krew. Torenzi wydał z siebie okropne stęknienie i odwrócił się, by odpowiedzieć Kellerowi ogniem, ale wtedy dostał drugą kulę, nieco poniżej barku.

Nie upadł jednak. Strzelił w kierunku Kellera, a potem wyskoczył z pociągu. Jeszcze tylko usłyszałem odgłos jego stóp na żwirze obok torów, kiedy biegł w stronę lasu.

Rozdział 97

Przejsiłem między fotelami nadbiegł Keller.

– Mam detonator! – zawołałem, podnosząc urządzenie. Drugą ręką wskazałem drzwi pociągu. – Nie pozwól mu uciec!

Keller jednak nigdzie się nie wybierał. Przyklęknął koło mnie, wyjął radiotelefon.

– Podejrzany uzbrojony, ucieka na piechotę – ogłosił. – Cały jesteś? – zapytał mnie.

Klatka piersiowa bolała, jakbym tańcował z kulą do burzenia murów, ale mając na uwadze wszystkie okoliczności...

– Taa, nic mi nie jest – powiedziałem, wręczając mu detonator.

Podciągnąłem koszulę i wspólnie przyjrzelśmy się kuli tkwiącej w kevlarowej kamizelce kuloodpornej, którą włożyłem wskutek nalegań Kellera.

– W punkt – oznajmił z uśmiechem.

– Masz się z czego cieszyć! Mogłeś mnie zabić.

– Owszem, mogłem – odparł. – Ale Torenzi zabiłby cię na pewno.

– Wujku Nicku?

Zwróciliśmy się w stronę Elizabeth, która nadal leżała na podłodze dwa metry od nas. Wciąż miała na sobie bombę. Keller podszedł do niej i pomógł jej stanąć na nogi.

– Kochanie, to jest agent Keller z FBI – powiedziałem. – Zdejmie z ciebie bombę.

Przeniosłem wzrok na Kellera. Skinął głową w sposób oznaczający coś pośredniego między nadzieją a pewnością: „Zrobię, co w mojej mocy”.

Podniósł detonator do oczu, ostrożnie, jakby to było jajko Faberge, i szybko obejrzał ze wszystkich stron. Właściwie była to zwykła komórka z otwieraną klapką, tylko pozbawiona klapki.

– A więc Torenzi wybiera jakieś numery i wszyscy wylatujemy w powietrze, tak to działa? – zapytałem.

– Tylko jeden numer na liście szybkiego wybierania... – zastanawiał się Keller. Ruchem głowy wskazał Elizabeth. – Gdzieś na niej znajduje się druga komórka, której dzwonek podłączony jest do zapalnika. Proste. ETA pierwsza zaczęła stosować to rozwiązanie. Potem przejęli je mudżahedini i, jak widać, włoscy kontraktowi zabójcy.

Keller zakładał, że z racji swojego zawodu wiem, co to jest ETA. Istotnie, wiedziałem, że nie chodzi mu o siódmą literę alfabetu greckiego, lecz o lokalną organizację terrorystyczną Basków.

– Eee, bardzo przepraszam, ale czy nie powinniśmy na przykład wezwać saperów? – zapytał maszynista. Nadal siedział na podłodze, nieco oszołomiony, ale najwyraźniej zorientowany w sytuacji.

– Proszę mi wierzyć, saperzy są już w drodze – odrzekł Keller. – Chodzi o to, że nie możemy na nich czekać.

Maszynista spodziewał się trochę innej odpowiedzi.

– Dlaczego nie? – zapytał, wyprzedzając mnie o ułamek sekundy.

– Ponieważ w tej chwili każdy telefon może wywołać detonację bomby. Torenzi musi tylko zdobyć jakiś aparat.

– W takim razie co robimy? – zapytałem.

– My nic nie robimy – odparł Keller. – Chcę, żebyście, panowie, natychmiast się stąd oddalili. Na odległość co najmniej stu metrów. Ruśzajcie się.

– Nigdzie nie idę – oznajmiłem stanowczo. – Zostaję tutaj. Kropka.

To była najłatwiejsza decyzja w moim życiu i chyba niezbyt zaskoczyła Kellera. Nie zawracał sobie więc głowy wywieraniem na mnie nacisku. Zwrócił się natomiast do maszynisty i od razu przeszedł do rzeczy.

– Jest pan żonaty?

Facet nie był przygotowany na udział w teleturnieju, choć pytanie nie było trudne.

– Pytam, czy jest pan żonaty? – powtórzył Keller.

– Tak – przyznał maszynista.

– Dzieci są?

Keller nie musiał mówić nic więcej.

– Zmywam się. Powodzenia – powiedział kolejarz. – Będę się za was modlił.

Rozdział 98

Przez kilka sekund patrzyłem przez okno na oddalającego się maszynistę. Słusznie zrobił, wynosząc się stąd w cholerę. Keller tymczasem zabrał się do roboty, bardzo delikatnej i ryzykownej.

– Okay, Elizabeth, teraz musisz się tylko rozluźnić – powiedział łagodnie. – Na początek zdejmemy ci sweter. Co ty na to?

Zacisnęła pięści i skinęła głową.

– Okay.

Dzielna dziewczyna, najdzielniejsza, jaką znam.

Powolutku Keller rozpiął do końca zielony sweter Elizabeth. Im niżej znajdował się suwak, tym trudniej było mi stłumić sapanie, bo tak podział na mnie widok wszystkich tych przewodów i podłączonej do nich bomby.

– Świetnie ci idzie, Elizabeth, naprawdę świetnie. To w ogóle nie powinien być żaden problem. – Nie chciał straszyć i tak już ciężko przestraszonej dziewczyny, ale wyczuwałem, że ten „żaden problem” to tylko taka sobie gadanina. Prawdopodobnie chodziło mu o to, żeby odwrócić uwagę Elizabeth od tego, co się w tej chwili działo. A i samemu nie myśleć o pewnych rzeczach.

Tylko naturalnie nie uwzględnił faktu, że Elizabeth ma zadziwiający węch. Na milę potrafi wyczuć wciskany kit.

– Jest gorzej, niż się pan spodziewał, prawda? – zapytała w końcu.

– Niekoniecznie – odrzekł Keller, ściągając jej sweter z ramion. Następnie odsunął kilka przewodów, żeby uzyskać lepszy dostęp do ładunków wybuchowych. Ułożono je tak, że tworzyły duży X na podkoszulku Elizabeth.

– Jesteś pewien, że powinienes to robić? – zapytałem.

Keller nie przerwał obmacywania ładunków i jakby dowodząc swojej racji, powiedział:

– C-4 w normalnych warunkach jest bardzo stabilne. Mógłbyś w taką kostkę strzelić z pistoletu i nie wybuchnie.

Co dzień człowiek uczy się czegoś nowego. Nawet jeśli miałby to być jego ostatni dzień.

– Co więc powoduje wybuch C-4? – zapytałem.

– Fala uderzeniowa w połączeniu z bardzo wysoką temperaturą – wyjaśniał Keller – wytworzone przez zapalniki wetknięte w C-4, uruchamiane elektrycznie za pośrednictwem tych przewodów.

– A nie moglibyśmy tego po prostu z niej zsunąć? Przez głowę?

– To właśnie chcę sprawdzić – mruknął Keller, nadal majstrując przy bombie. – Rodzaj konstrukcji decyduje o jej konfiguracji, chociaż nie jestem pewien...

Urwał i znieruchomiał z taką miną, jakby zobaczył ducha.

– Co tam jest? – spytałem. – Mów.

Zamiast mówić, przyciągnął mnie bliżej i pokazał palcem. To było coś właściwie mniej sympatycznego niż duch.

To był włącznik czasowy. Odliczanie trwało.

Rozdział 99

– Wujku Nicku? Co się dzieje? Dlaczego nic nie mówicie? Elizabeth wyciągnęła ku mnie blade, szczupłe ręce, bezradnie machała nimi w powietrzu. Ruszyła w moją stronę, ale Keller ją powstrzymał.

– Nick, chodź, przytrzymaj Elizabeth – powiedział. – Możesz to zrobić? Trzymaj jej ręce w górze.

Stanąłem za Elizabeth i zrobiłem dokładnie to, o co prosił.

– Nie ruszaj się – szepnąłem jej do ucha. – Jestem tu z tobą.

Patrząc nad jej ramieniem, nadal widziałem włącznik czasowy, tani, plastikowy stoper przyklejony taśmą do komórki umieszczonej za jedną z kostek C-4.

Pięćdziesiąt cztery sekundy!

I idzie w złym kierunku...

Keller nie miał czasu na rozmyślanie. Improwizował, pracując na pełnych obrotach i z niespożytą energią. Na podobieństwo telefonistki obsługującej staroświecką centralę telefoniczną zaczął wyciągać przewody łączące się z zapalnikami.

– Ile czasu? – zapytał.

– Czterdzieści sekund.

Wyciągnął kolejny przewód. Zostały jeszcze trzy. Potem dwa. Przeskakiwałem wzrokiem z wyłącznika czasowego na jego dłonie i z powrotem.

– Mów do mnie – powiedział.

– Trzydzieści sekund.

Keller był przy ostatnim przewodzie.

– Jeszcze jeden – rzucił słumionym głosem. – No, chodź...

Przytrzymał kostkę C-4, żeby się nie poruszała. Musiał już tylko wyciągnąć ten przewód, usunąć go jak pozostałe.

– Cholera! – stęknął.

Przewód ani drgnął.

– Ciągnij mocniej! – krzyknąłem.

– Ciągnę! Musiał go przykleić.

Dwadzieścia pięć sekund!

Keller spojrzał na mnie i wyskoczył z pociągu. Wyglądało na to, że jakiś pomysł zaświtał mu w głowie. Pomysł ostatniej minuty? Prawdopodobnie.

– Czekaj! Dokąd idziesz? – zawołałem.

Tymczasem biegł już na przód wagonu, w stronę kabiny maszynisty. Kilka sekund później pociąg szarpnął i ruszył. Znowu toczył się po szynach.

– Podnieś ją! – warknął Keller, zbliżając się do nas.

– Co?

– Dźwignij ją ponad podłogę! Już!

– Proszę, zrób to, wujku!

Złapałem ją za łokcie, podniosłem. Keller już ściągał bombę w dół – biodra, nogi, stopy...

Niech to diabli! Nie widziałem już włącznika czasowego. Widziałem natomiast Kellera wskazującego drzwi pociągu rysujące się na tle zieleni drzew. Pociąg nabierał szybkości.

– Skacz! – krzyknął Keller. – Skacz natychmiast! Chwyciłem Elizabeth, objąłem ją i wyskoczyłem za Kellerem. Nie wchodziło w grę żadne „skacz i się turlaj”. Ledwie musnąłem stopami ziemię i przewróciłem się na bok, żeby osłonić Elizabeth. Łup! Potem trzask. To było moje kolejne żebro. Ból przeszył ciało niczym pocisk.

Wciąż z Elizabeth w ramionach spojrzałem za oddalającym się pociągiem. Czołowy wagon wiozący bombę stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Wciąż jednak nie był dość mały.

– Wstawaj! – warknął Keller. – Biegiem!

Wstałem, podniosłem Elizabeth, Keller prowadził nas, trzymając mnie za ramię. Biegliśmy wzdłuż torów, starając się maksymalnie zwiększyć dystans między nami a...

Bum!

Rozdział 100

– *Dark Side of the Moon* czy *Wish You Were Here*? – zapytała Anne Gram, pielęgniarka operacyjna, razem z koleżanką przygotowująca salę operacyjną Jacobi Medical Center. Odbierała właśnie telefon od doktora Ala Sassoona, chirurga prowadzącego – i wielkiego fana Pink Floyd – który wciąż szorował ręce.

Ruth Kreindler, współpracowniczka Anne, podniosła wzrok znad serwety chirurgicznej, którą układała w okolicy krocza Josepha D'zoria. Była to jedyna część jego ciała, która nie została złamana, przebita, rozdarta lub zerwana.

– Zapowiada się na to – kręcąc głową, powiedziała Ruth – że wysłuchamy obydwóch albumów i na dodatek części *The Wall*. Ach, ten Al i jego Pink Floyd.

– Hej, jest dobry i zabawnie się z nim pracuje.

Kobiety, obydwie nieco po czterdziestce, skończyły sprawdzać listę przedoperacyjną i nawet dwukrotnie sprawdziły pompy ssące, bo ostatnio się zapychały. W końcu chodziło o rutynową operację, chociaż obydwie wiedziały, że leżący na stole mężczyzna, nieprzytomny i oddychający tlenem, nie był zwykłym pacjentem.

– Wierzysz, że wszyscy ludzie zasługują na ocalenie? – zapytała w końcu Anne.

Ruth obejrzała się przez ramię. Woląла mieć pewność, że są same z cieszącym się złą sławą bossem mafijnym.

– W sensie medycznym czy duchowym? – zapytała. – Bo to robi różnicę.

Anne wzruszyła ramionami.

– Chyba w medycznym.

– Wiem, o co ci chodzi, ale szpital to nie sąd. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem. Mimo to...

Ruth opuściła wzrok na D'zoria.

– Ujmę to tak – powiedziała. – Facet taki jak ten wystawia moją wiarę na próbę. Słuszny gniew przeciw wybaczeniu.

– Co wygrywa? – zainteresowała się Anne.

– Chyba wybaczenie. W sensie duchowym wszyscy ludzie mogą być ocaleni.

Anne skinęła głową, ale raczej bez wiary. Nie mówiła tego na głos, ale miała cichą nadzieję, że doktor Sassoon będzie miał wolny dzień albo chociaż nie będzie się za bardzo popisował przy stole.

– Co mówisz? – zapytała Ruth.

Anne nic nie mówiła. Za bardzo pochłonęło ją wyobrażenie sobie, jak doktor Sassoon „przypadkiem” zostawia gazik w piersi D'zoria.

Ale ona też to słyszała. W sali operacyjnej ktoś coś powiedział.

Jak na komendę obydwie spojrzały na leżącego na stole D'zoria. Jego wąskie, sine usta poruszały się nieznacznie. Mamrotał coś pod nosem.

– Co on powiedział? – spytała Anne.

– Nie wiem. – Ruth nachyliła się nad leżącym, zbliżając ucho do jego ust. Anne poszła za jej przykładem.

– *Sorr...* – powiedział D'zorio głosem niewiele głośniejszym od szepotu. – *Sorry.*

To, w każdym razie, obydwie usłyszały.

– Wyznaje swoje grzechy – stwierdziła Anne.

– Albo przynajmniej próbuje – odparła Ruth, podchodząc do telefonu na ścianie.

Zadzwoiła do biura szpitalnego kapelana, by spytać, czy przybył już ksiądz D'zoria. Usłyszała, że jest w drodze. Miał dokonać namaszczenia chorych, skądinąd znanego jako ostatnie namaszczenie.

Najwidoczniej jednak D'zorio zaczął bez niego.

Ruth nadal czekała, aż ktoś odbierze telefon w biurze kapelana, kiedy włączył się alarm pulsometru.

– Chryste! – zawołała Anne, podbiegając do stołu, na którym leżał

D'zorio. – On umiera!

Ruth odwiesiła słuchawkę i pobiegła po doktora Sassoona, który właśnie kończył szorować ręce.

Było już jednak za późno. Tego wieczoru Pink Floyd nie zagra w sali operacyjnej. Joseph D'zorio odszedł ze świata żywych.

Zniknął.

Jak odległy dym statku na horyzoncie⁶.

⁶ Pink Floyd, *Comfortably Numb*, z płyty *The Wall*; słowa Roger Waters.

Rozdział 101

Bruno Torenzi przedzierał się przez gęstwinę. Odgarniał gałęzie i krzaki, nadstawiając ucha na wszelkie odgłosy z tyłu. Mogły oznaczać, że ktoś się zbliża.

Czekał na wybuch na torach. Według jego zegarka mógł nastąpić w każdej chwili. Niemal słyszał już w głowie całą sekwencję – symfonię dźwięków, od wstępnego grzmiącego huku, przez, zdawałoby się, niekończące się echo, po nieprzerwane skrzeczenie wszystkich spłoszonych ptaków w promieniu kilometra.

W końcu się doczekał. Bomba, echo, ptaki... wszystko na swoim miejscu. Niemal dokładnie tak, jak sobie wyobrażał.

Ale Torenzi nie zatrzymał się, by spojrzeć za siebie. Nawet na sekundę. Nie interesowało go napawanie się tym wszystkim. Nie czuł takiej potrzeby.

Nic nie czuł.

Żadnego zadowolenia, żadnej satysfakcji i oczywiście żadnej skruchy – nie miał nawet najłżejszego poczucia winy z powodu bezbronnej dziewczynki. Zwabiła wuja tak, jak to sobie zaplanował. Z jego punktu widzenia odegrała swoją rolę. Nic więcej się nie liczyło.

Jeśli chodzi o Rambo, który wprosił się na przyjęcie w pociągu, Torenzi nadal nie miał pojęcia, kim był. Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że facet musiał wiedzieć, iż Daniels ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Niemożliwe, żeby oddał tak niecelny strzał. Dwa pociski, którymi trafił Torenziego, dowodziły, że dysponował pewnymi umiejętnościami.

Skoro mowa o nieczuciu niczego...

Wcześniej Torenzi wyciągnął ze spodni czarny skórzany pasek, zrobił pętlę i zacisnął tuż pod barkiem, spowalniając krążenie. Teraz ramię miał całkowicie zdrętwiałe, pozbawione czucia. Później się tym zajmie.

Wydłubie kule ostrzem sztyletu, który nosił przymocowany do łydki, i zszycie rany, posługując się zwykłą igłą z taniego sklepiku i kawałkiem nitki. Do wielu starych blizn dojdą dwie nowe. Nic wielkiego. Kolejny dzień w pracy.

Jak to Hyman Roth powiedział do Michaela Corleonego w drugiej części *Ojca chrzestnego*: „Taki wybraliśmy sobie biznes”.

Teraz Torenzi sfinalizował swoją transakcję. Po raz kolejny to on wygrał rozgrywkę.

W końcu wyłonił się spomiędzy drzew i zauważył czekający na niego samochód. Perfekcyjne zgranie w czasie. Sprawy znów szły swoim torem – jak zawsze.

– Nie żyje? – usłyszał, zbliżywszy się do białego volvo S40.

Torenzi pochylił się ku otwartemu oknu przy siedzeniu kierowcy. Uśmiechnął się ironicznie.

– A jak myślisz? Nie słyszałeś wybuchu?

Ian LaGrange uśmiechnął się szeroko. Usta miał nadmiernie duże, niemal jak postać z kreskówki.

– Istotnie, słyszałem – powiedział. – Wsiadaj.

Volvo parkowało na opustoszałym krańcu ślepej drogi.

Jedynym śladem życia były tu dwa niewykończone domy na sprzedaż. Pozostały w takim stanie, gdyż inwestor zbankrutował po załamaniu się rynku nieruchomości.

Torenzi szarpnięciem otworzył drzwi, wsiadł do wozu.

– Jedźmy – powiedział.

LaGrange ruchem głowy wskazał ramię Torenziego, pasek i zakrwawioną koszulę pod kurtką.

– Co ci się, do cholery, stało?

– To nic takiego. W pociągu znalazł się jeszcze ktoś.

– Kto?

– Czy to ma znaczenie?

– Jestem szefem OCTF – zauważył LaGrange. – Jak myślisz, kto to był?

– Najprawdopodobniej ktoś z FBI.

– Zabiłeś go?

– Ja nie, ale bomba na pewno – odparł Torenzi. – Co z D'zorem?

– Nie wyrobił się.

– Dla ciebie to szczęśliwe wydarzenie.

LaGrange zachichotał.

– Lepiej mieć szczęście, niż być dobrym.

– A jeszcze lepiej jedno i drugie – odrzekł Torenzi. Naprawdę tak myślał. – Masz resztę pieniędzy?

– Jasne, że mam. Są w bagażniku. – LaGrange ruchem głowy wskazał tył wozu. – Dałem ci kilka dolarów ekstra, za wszystkie utrudnienia. Odwaliłeś świetną robotę.

Torenzi nie podziękował. Zastanawiał się, dlaczego LaGrange tak długo nie odjeżdża.

– Na co czekamy?

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy się zająć.

– Co to takiego?

– Ja – powiedział mężczyzna stojący za otwartym oknem.

Jak się mówi „zemsta” po rosyjsku?

Rozdział 102

Bruno Torenzi nie rozpoznał tego głosu, ale lufa pistoletu przyłożona do głowy nie pozostawiała miejsca na żadne wątpliwości.

– Połóż ręce na desce rozdzielczej – rozkazał Iwan Biełow. – Powoli. Bardzo, bardzo powoli.

Torenzi wykonał polecenie. Patrzył z odrazą, jak LaGrange wyjmuje kluczyk ze stacyjki i otwiera drzwi po stronie kierowcy.

– Przykro mi, Bruno – powiedział, nim wysiadł. – Pamiętasz hotel San Sebastian? Spieprzyłeś robotę, napalony kutasie.

Biełow, lepiej ubrana i odchudzona wersja Borysa Jelcyna, nie spuszczał oka z Torenziego. Nie zamierzał dać zawodowemu zabójcy żadnych szans. Jego dwaj synowie, kiedy w hotelu na Manhattanie próbowali oskubać Włocha, w bolesny sposób przekonali się, że to nierozsądne.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał z silnym rosyjskim akcentem. A był głową przestępczej rodziny Biełowów. Stanowiła ona amerykańską odnogę jednej z najpotężniejszych zorganizowanych grup przestępczych w Moskwie, znanej jako brać sołncewska.

– Nie – odpowiedział Torenzi. Wiedział, że najlepiej zrobi, po prostu patrząc przed siebie przez szybę.

– To moich chłopców zabiłeś tam, w hotelu. Krew z mojej krwi – rzucił Biełow z gniewem i jednocześnie z rozpaczą. Był jak gotowa wybuchnąć butelka z koktajlem Mołotowa.

Czekał na jakąś reakcję Torenziego. Zaskoczenie, może nawet żal. Nie spodziewał się wyrazów ubolewania ani niczego zbliżonego do prośby o wybaczenie, co do tego nie miał złudzeń. I nie żeby mu to robiło jakąś różnicę. I tak nie zmieniłby swoich planów. Nie było litości dla włoskiego zabójcy.

Niemniej takiej reakcji, jakiej się doczekał, nigdy by się nie spodzie-

wał.

– Byli gnojkami – powiedział Torenzi. – Dostali to, na co zasługiwali.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął Biełow, odwodząc kurek swojego makarowa.

– Czeka! – LaGrange wrzeszczał chyba jeszcze głośniejsze. Przez cały czas stał za Biełowem.

– Co? – nie odwracając się, niecierpliwie zapytał Biełow. Nadal nie odrywał oczu od Torenziego. Wiedział, że ten człowiek potrafi być śmiertelnie niebezpieczny.

– Na miłość boską, nie w samochodzie – powiedział LaGrange. – Chyba że potem sam go wyczyścisz.

Biełow niechętnie skinął głową. Wolną ręką otworzył drzwi obok Torenziego i dla bezpieczeństwa cofnął się o kilka kroków.

– Wsiadaj – polecił.

Po raz pierwszy Torenzi zwrócił się w stronę Biełowa. Ale tylko na niego zerknął i wysiadł z samochodu. LaGrange'owi posłał jednak wściekle spojrzenie, które samemu diabłu odjęłoby mowę.

– Ile? – zapytał, co miało znaczyć: „Za ile mnie sprzedałeś?”.

LaGrange nie odpowiedział. Wlepił tylko wzrok w błoto pod stopami.

Torenzi zaczął się teraz wpatrywać w Biełowa, nawet nie mrugnął. Żadnego błagania o łaskę, żebrania o wybaczenie.

– Odwróć się – rozkazał Biełow. – Niech zobaczą zad tego konia.

Torenzi stanowczo pokręcił głową.

– Nie. Patrz na mnie, kiedy to robisz.

Teraz splótł dłonie na plecach i opadł na kolana. Jakby tego nie było dość, szeroko otworzył usta.

Pokręcony świr do samego końca.

Biełow podszedł do Torenziego, luźną makarowa wsunął mu w usta aż po zęby trzonowe. Był głową rodziny mafijnej, od dobrych dziesięciu lat nikogo osobiście nie zabił. Przywykł do wydawania rozkazów, a nie do doprowadzania sprawy do końca.

Dlatego zawahał się przez ułamek sekundy. Przez mgnienie oka. To

była szansa, na którą liczył, a przynajmniej na którą miał nadzieję Torenzi.

Teraz!

Szarpnął głową w bok, tak że lufa pistoletu oparła się o wewnętrzną stronę policzka. W tym momencie zaskoczony Biełow nacisnął spust. Kula wyrwała w twarzy mężczyzny dziurę wielkości ćwierćdolarówki, ale w powietrze poleciała odrobina mięśni, nie mózg.

Padając na plecy, Torenzi sięgnął pod nogawkę spodni, po umocowany do łydki sztylet. Gdy poczuł w dłoni rękojeść, rzucił się na rosyjskiego dupka i wbił mu sztylet w udo tak głęboko, że ostrze zgrzytnęło o kość.

Biełow krzyknął z bólu i runął na ziemię, upuszczając broń. Torenzi porwał pistolet i strzelił Rosjaninowi w gardło. Zatoczył ręką łuk, by drugi strzał oddać do LaGrange'a.

Ten jednak miał inną koncepcję.

Zdążył strzelić ze swojego rugera SR9, dopasowanego do jego dużych dłoni. Kula trafiła Torenziego w brzuch. Krew rzuciła mu się ustami, przewrócił się na bok.

LaGrange zbliżył się i szybko wpakował leżącemu jeszcze dwie kule w pierś. Czekał przez chwilę, by się upewnić, że to wystarczy.

Wystarczyło.

Torenzi leżał na plecach, z szeroko rozłożonymi rękami, broń, z której nigdy już nie miał wystrzelić, nadal spoczywała w jego dłoni. Zamrugał, biorąc ostatni oddech, pierś uniosła się, potem wolno opadła.

I odszedł, prosto do piekła. Dla niego wszystko się skończyło.

Rozdział 103

– Czołem, panie Daniels, jestem Marie McCormick – powiedziała moja nowa nocna pielęgniarka. Weszła do pokoju w Lenox Hill Hospital z serdecznym uśmiechem i niecierpliwie wyczekiwany kubeczkem zawierającym vicodin. To był drugi szpital, który odwiedziłem tego dnia. Kiedy w końcu mnie pozszywano, zostałem „zatrzymany na obserwację”. Raczej nie miałem nic przeciwko temu, bo moje mieszkanie jako miejsce zbrodni nadal było miejscem działań policji.

– Bardzo miło cię widzieć, Marie – odparłem.

Nie tylko dlatego, że przyniosła mi lekarstwo. Dzienna pielęgniarka przydzielona do mojego pokoju miała wdzięk i charyzmę członków hiszpańskiej inkwizycji. Skrupulatnie przestrzegała przepisów. Czas odwiedzin kończył się o dwudziestej trzydziści, więc o dwudziestej trzydziści jeden przegoniła Courtney z pokoju jak lisa z kurnika. Jak ktoś obdarzony sercem mógł robić coś takiego? Nie widziała, jak dobrze nam razem? Przez całe pół godziny trzymaliśmy się za ręce.

Nim zdążyłem powiedzieć siostrze Ratched, gdzie może sobie wsadzić swoje przepisy, Courtney oznajmiła, że ma jeszcze coś do załatwienia.

– Muszę sfinalizować pewną sprawę – wyjaśniła. – Przykro mi, Nick. Wrócę tu rano.

– Co to za sprawa? – zapytałem.

– Coś raczej interesującego. Ale jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Nie chcę zapeszyć.

– Aha, więc ja przynoszę pecha, tak?

Pewnie tak nie myślała, ale nie miałbym jej, ani nikomu innemu, tego za złe. Zwłaszcza komuś, kto przypadkiem obejrzał wiadomości.

Siostra Marie przed przyjściem do pracy najwidoczniej obejrzała.

– Moja ciotka Peggy z Bostonu o takich ludziach jak pan mówi, że

przyciągają kłopoty jak magnes – zażartowała, owijając rękaw ciśnieniomierza wokół mego ramienia. – Oczywiście powinna uważać, co mówi. Trzykrotnie poślubiła największych nieudaczników na świecie i trzykrotnie się rozwiodła.

Złamane zebra bolały, kiedy się śmiałem, ale nie mogłem się powstrzymać. Marie była kobitką w moim typie. Trzymającą się ziemi i zabawna.

– Gdzie jest teraz pańska dzielna siostrzenica? – zapytała. – Widziałam, jak udzielała wywiadu.

– Jest bezpieczna w domu razem z matką – odparłem.

– Dokładnie tam, gdzie powinna być.

Agent Keller osobiście odwiózł ją do domu. Naturalnie znał drogę. Na dodatek został na noc, choć FBI już wyznaczyło czterech agentów do pilnowania domu.

– Na wszelki wypadek – oznajmił. – Jestem to winien Elizabeth.

Ja jednak wiedziałem swoje. Widziałem, w jaki sposób patrzył na Kate, gdy dzięki uprzejmości policji stanowej z Connecticut przyjechała z Courtney na tory w miejscu wybuchu. Okazało się, że Keller jest kawalerem. Hej, nigdy nic nie wiadomo.

Rzecz jasna, ja też jestem singlem, ale czy na pewno – nie wiem. Pamiętałem przecież, jak przy tych samych torach rzuciliśmy się sobie z Courtney w ramiona i całowali jak szaleni. Była to scena niczym z ckiego filmu, ale kochałem każdą jej sekundę. Jeśli chodzi o Elizabeth, to czas pokaże, jak sobie poradzi z tym wszystkim, co się wydarzyło. Wyszła z tego bez szwanku, ale psychiczne blizny to zupełnie inna sprawa. Z drugiej strony, jeśli ktokolwiek był w stanie się z tym uporać, to właśnie ona. Fakt, że po wszystkim zgodziła się udzielić wywiadu, nastrojał bardzo optymistycznie.

Jeszcze przez chwilę gawędziliśmy sobie z Marie, kiedy od strony drzwi dobiegł mnie głos Davida Sorrena.

– Puk, puk – powiedział.

Wszedł, a Marie, zwróciwszy się w jego stronę, zauważyła:

– Musi pan być kimś ważnym, bo policjant pod drzwiami ma nikogo

nie wpuszczać.

– Owszem, jest kimś ważnym – zapewniłem ją. – Prawdę mówiąc, być może ma pani przed sobą następnego burmistrza tego miasta.

David przedstawił się i jako dobry polityk był dla niej bardzo miły. Widziałem jednak, że chce ze mną rozmawiać w cztery oczy. Marie też to zauważyła i wyszła, zostawiając nas samych.

David zdjął kurtkę, położył ją na krześle w kącie. Następnie przekazał mi nowinę, którą – jak wiedział – musiałem uznać za bardzo dobrą.

– Bruno Torenzi nie żyje – ogłosił. – Chciałem ci to sam powiedzieć, Nick. Mam nadzieję, że to zapewni mi twój głos w następnych wyborach.

Pokręciłem głową, choć nie bez uśmiechu.

– Przykro mi. Jestem demokratą, Davidzie.

Sorren opowiedział, jak podczas przeczesywania terenu w pobliżu miejsca wybuchu znaleziono zwłoki Torenziego. Nieopodal natrafiono na ciało szefa rosyjskiej mafii. Wyobraź sobie.

– Czekaj... dla kogo więc pracował Torenzi? Dla D'zoria czy dla tego Bielowa? – zapytałem.

– Dobre pytanie. Prawdopodobnie dla D'zoria, ale z tego, co wiem teraz, wynikałoby, że ci dwaj mogli współpracować. Wrobienie Eddiego Pinera leżało w interesie ich obojga. Tak czy inaczej, niebawem sobie to wszystko poukładamy, zwłaszcza kiedy weźmiemy się za tego twojego kierownika z Lombardo's. Facet był na czyjejs liście płac.

Sorren umilkł i zerknął w kierunku drzwi.

– A na razie, skoro Torenzi, D'zorio i Bielow wypadli z gry, potrzeba sadzania gliniarza pod twoimi drzwiami gwałtownie zmaląła. To samo dotyczy twojego mieszkania, Nick.

– Alleluja – rzekłem. – A, i nie zapomnij umieścić na tej liście Zambratty. On też zszedł.

– Masz rację – powiedział Sorren. – Prawdę mówiąc, to mi przypomniało... jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Chodzi o Dwayne'a Robinsona. Jak prawdopodobnie podejrzewa-

łeś, nie popełnił samobójstwa. Jak tylko nadano wiadomość o śmierci D'zoria, facet, który mieszka w budynku naprzeciw domu Robinsona, zeznał, że widział, jak Zambratta przerzuca go przez barierkę.

– Dlaczego ten gość nic nie powiedział wcześniej? To nie bardzo po sąsiedzku.

– Za bardzo się bał. Wiedział, kim jest Zambratta i na co go stać. Do diabła, był świadkiem morderstwa, nie?

– Pewnie masz rację – przyznałem.

Sorren skrzyżował ręce na piersi, zawahał się przez chwilę.

– Posłuchaj, Nick, winien ci jestem przeprosiny. Naprawdę. W tej sprawie wyprzedziłeś nas wszystkich i powinienem był to zauważyć. A ja, zamiast ci od razu pomóc, wsiałem na ciebie. Tak było, prawda?

– Taa, w rzeczy samej – odparłem z uśmiechem. – Najważniejsze jednak, że ta sprawa znalazła swój koniec.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Potem obydwaj pokręciliśmy głowami, chichocząc z niedowierzaniem. To był wspaniały koniec wspaniałego dnia i wspaniałej historii.

Chyba jednak powinienem był mieć więcej rozumu w głowie.

Ten dzień właściwie jeszcze się nie skończył. Pozostało trochę czasu do północy. Mnóstwo czasu na różne gry i zabawy.

Rozdział 104

Vicodin robił swoje. Łagodził ból, jednocześnie powodując senność. Kilka minut po wyjściu Davida Sorrena zapadłem w drzemkę. Prawie nie słyszałem skrzypienia ponownie otwieranych drzwi.

Marie, domyśliłem się. W tej chwili nie chciało mi się odwracać głowy ani nawet otwierać oczu. Kiedy jednak szła w moją stronę, zastrzygłem uszami. To nie był odgłos miękkich, gumowych podeszew. To brzmiało jak obcasy, i to ciężkie. Te buty należały do mężczyzny. Ale kim był ten mężczyzna?

Otworzyłem oczy.

– Cześć, Nick – powiedział Ian LaGrange. Szybkim ruchem złapał przewód mojego przywoływacza i przeciął go nożem.

Potem przycisnął mi czubek noża do podbródka. Czułem, jak ostrze kaleczy ciało, jak krew spływa po moim jabłku Adama.

– Czego chcesz?

– Wiesz, czego chcę, Nick. Ponieważ to masz. Gdzie jest pendrive?

Jezu Chryste. W tym chaosie i zamieszaniu, na dodatek po vicodinie, całkowicie o tym zapomniałem. Najwyraźniej LaGrange nie zapomniał. Ale skąd on w ogóle wiedział o istnieniu tej pamięci? I co z tym nożem przy moim gardle?

– O czym ty mówisz? – zapytałem. – Jaki pendrive?

– Nawet tego nie próbuj, głupi sukinsynu – parsknął. – Wiem, że go miałeś.

LaGrange nieznacznie przekręcił czubek ostrza. Coraz więcej krwi spływało po szyi. Vicodin czy nie vicodin, to boli, kiedy człowieka dźgają w gardło.

– Masz rację, miałem tego pendrive'a – powiedziałem. – D'zorio zabrał mi go, nim sprawdziłem, co na nim jest. Już go nie mam.

LaGrange zmrużył oczy, przyglądał mi się taksującym spojrzaniem.

Zastanawiał się, czy mówię prawdę. I chyba doszedł do wniosku, że tak.

– W takim razie co z ciebie za pożytek? – zapytał, wyrywając mi poduszkę spod głowy.

Poduszka? Żartujesz chyba...

Nie żartowałem, ani trochę. Rzucił mi poduszkę na twarz, całym ogromnym ciężarem górnej części ciała przyciskając ją do nosa i ust. Nie mogłem złapać tchu. Ale o to przecież chodziło.

Im bardziej się rzucałem, tym mocniej LaGrange naciskał, czułem na sobie ciężar całych stu pięćdziesięciu kilogramów skurwiela. Brakowało mi powietrza. Jego resztki uchodziły ze mnie jak samo życie. Szybko traściłem przytomność.

Tym razem nic nie mogłem zrobić. Wyglądało na to, że zostanę po prostu uduszony.

Nie widziałem, co działo się później, ale na pewno to słyszałem. Ktoś z hałasem wtargnął do mojego pokoju. Nie padło ani jedno słowo, natomiast rozległy się strzały.

Ian LaGrange zwałił się na podłogę ze straszliwym łomotem. Zabrał nawet ze sobą poduszkę. Kiedy mrugnąwszy kilkakrotnie, odzyskałem zdolność widzenia i wciągnąłem do płuc haust powietrza najśłodszy ze słodkich, zobaczyłem, kto nacisnął spust.

Nie gliniarz czuwający pod drzwiami.

Ani też Doug Keller z FBI.

Rozdział 105

„Temu facetowi dobrze byłoby w pelerynie Batmana”, entuzjazmował się „New York Post”. David Sorren nadal dysponował niemal doskonałą umiejętnością wyboru odpowiedniej chwili. Dwa dni później wszedł na podium ustawione u szczytu schodów wiodących do Manhattan Criminal Court i oświetlony padającymi na niego promieniami słońca spojrzął na zgromadzony na placu ogromny, kipiący entuzjazmem tłum, a następnie zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza Nowego Jorku.

Do tego czasu praktycznie wszyscy czytali albo słyszeli o tym, jak wszedł do szpitala, w którym leżałem, po zapomnianą kurtkę i w holu znalazł nieprzytomnego policjanta na służbie. Wyjął mu broń z kabury i wpadł do mojego pokoju.

Nie muszę mówić, że – chociaż republikanin – miał mój głos w listopadowych wyborach.

Głos Courtney też, choć ona pozostała nieco sceptyczna w kwestii trafności sądów Sorrena, zważywszy jego zaangażowanie w związek z Brendą Evans.

– Chodzi o to, że ona nie może być aż tak dobra w łóżku – zażartowała. Stała obok mnie i oboje przyglądaliśmy się Sorrenowi, który przy wtórze chóralnych wiwatów zbliżał się do końca swojego oświadczenia. Courtney spojrzała na mnie, ciekawa, czy połknąłem przynętę i zechcę popisać się swoją wiedzą z pierwszej ręki na ten temat.

Ja tymczasem po prostu się roześmiałem. Czułem się wspaniale. Bo i czemu nie? Courtney i ja znów trzymaliśmy się za ręce. Banalne? Może. Ale kto o to dba, kiedy jest zakochany?

– A więc jakiej to wielkiej nowiny nie mogłaś mi przekazać? – zapytałem, zmieniając temat.

– Wiedziałam, że o to zapytasz, Nick – powiedziała, sięgając do to-

rebki. Podała mi jakąś notatkę prasową. „Courtney Sheppard mianowana redaktorką naczelną magazynu »New York«” – widniało w nagłówku.

– No, no – stwierdziłem. – Wspaniale. Gratulacje.

– Wzajemnie – odparła. – Słyszałeś o moim nowym redaktorze wykonawczym? Świetny facet, bardzo utalentowany. Doskonale się całuje.

– Naprawdę? Znam go?

Żartobliwie pacnęła mnie w ramię, a ja złapałem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie.

– Doskonale się całuje, co? – spytałem i pocałowałem ją.

I tam, wśród rozwrzeszczanego tłumu, tuliliśmy się jak para nastolatków.

– Czy to znaczy, że weźmiesz tę robotę? – zapytała, kiedy przerwaliliśmy, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Absolutnie nie – odparłem.

Courtney wywróciła swoimi pięknymi niebieskimi oczami.

– Dlaczego nie, Nick? Bo nie sądzisz, że możemy razem pracować oraz sypiać?

– Nie, to zupełnie nie to. Po prostu nie jestem typem redaktora wykonawczego. Piszę artykuły, artykuły takiego rodzaju, że materiału do nich nie znajdzie się w kącie biura.

Courtney uśmiechnęła się. Wiedziałem, że zrozumiała, i zrobiło mi się ciepło na sercu.

– W porządku. Po prostu będę musiała obniżyć swoje standardy i sypiać ze zwykłym etatowym reporterem.

– Poprawka, paniusiu. Twoim najwyżej płatnym etatowym reporterem.

– Zobaczymy, Nick. Tylko pamiętaj, nie zostałam redaktorką naczelną na darmo.

Już mieliśmy się pocałować raz jeszcze, kiedy uświadomiliśmy sobie, że ktoś nagle stanął obok nas. O wilku mowa... To była Brenda.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała i prawie się zaczerwieniła. Nie wiedziałem, że to potrafi. – Zauważyłam was tutaj. Chcę coś podarować Nickowi.

Podawała mi niewielkie prostokątne pudełeczko z czerwoną kokardą na wierzchu.

– Co to jest? – zapytałem, autentycznie zdziwiony.

– Dobry uczynek – odparła. – Coś, co byłam ci winna.

Zamierzałem otworzyć pudełeczko, ale mnie powstrzymała.

– Nie, nie tutaj. Otworzysz to później, Nick. Courtney... powodzenia tym razem. To właściwie całkiem przyzwoity facet.

Z tymi słowami odwróciła się i odeszła. Żadnego „do widzenia” czy czegoś w tym rodzaju. Nie zdążyłem nawet jej podziękować.

„Przyzwoity facet”? W porządku, mogłem z tym żyć. Przypuszczam nawet, że istotnie tak myślała.

Rozdział 106

Minął tydzień z niewielkim okładem. Wykonywałem pierwsze zlecenie magazynu „New York” i bez wątpienia w grę wchodził materiał na okładkę.

– Dzięki za inicjatywę, Davidzie – powiedziałem. – To będzie pierwszorzędnny artykuł. Obiecuję.

Sorren opadł na oparcie fotela. Siedzieliśmy w jego śródmiejskim biurze na One Hogan Place. David wyraźnie był ze sobą całkowicie pogodzony.

– Żartujesz? To ja tobie dziękuję. Wiem, że arogancja jest pierwszą zasadą polityki, ale zważywszy wszystko, co przeszedłeś, moje dopominanie się o artykuł już teraz było nie na miejscu. Nie chciałem w ten sposób wykorzystywać naszej przyjaźni.

– Nie ma problemu. Przynajmniej tyle mogę zrobić. W końcu ocaliłeś mi życie.

– Łut szczęścia – stwierdził i lekceważąco machnął ręką. – Rzecz jasna, to jest druga zasada polityki, nieprawdaż? Głupi łut szczęścia.

– W dużym stopniu dotyczy to także dziennikarstwa.

– Oto więc ty i ja, para szczęściarzy. Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy skończyć, osiągnąwszy wszystko, co chcemy w życiu osiągnąć. – Puścił do mnie oko.

Podniosłem z podłogi swoją sfatygowaną skórzaną torbę, położyłem ją na kolanach.

– W takim razie zaczynamy, okay?

– Jasna sprawa – odparł Sorren. – A przy okazji, co powiedziała Courtney, kiedy zaproponowałeś ten artykuł? Chodzi mi o to, że to jej pierwszy numer „New York”. Nie ma jakichś wątpiwości?

– Wątpiwości? Żarty sobie robisz? Nie napisałem jeszcze ani słowa, a ona już gwarantuje nam okładkę.

Sorren uśmiechnął się szeroko, ja zaś wyjąłem z torby notatnik, następnie magnetofon. W jednej chwili jego uśmiech zmienił się w kwaśny grymas.

– Cholera, Nick, przepraszam. Powinienem powiedzieć ci o tym przez telefon, kiedy zadzwoniłeś. Nie ma problemu z robieniem notatek, ale nie mogę pozwolić ci na nagrywanie. Taka jest polityka biura prokuratora okręgowego – wyjaśnił. – Oczywiście biuro burmistrza nie prowadzi takiej polityki.

– W porządku. – Położyłem magnetofon na biurku. – Właściwie to nie chcę cię nagrywać. Chcę ci coś odtworzyć. Jeśli wolno. Okay?

– Pewnie – powiedział Sorren. – Co to takiego? Wcisnąłem guzik odtwarzania i zwiększyłem głośność. Nie chciałem, żeby Sorrenowi umknęło choć jedno słowo Iana LaGrange’a.

Albo jego własne.

Rozdział 107

Co zrobić, kiedy się znajdzie zakrwawionego pendrive'a w mieszkaniu swojego chłopaka? W jego ulubionym, bardzo, bardzo tajnym schowku?

Wiem, co zrobiła Brenda. Była w końcu reporterką z nosem do dobrych tematów. Wrażliwym, albo – jak by ktoś powiedział – podejrzliwym nosem. Nie mogła się powstrzymać, ta krew ją zaniepokoiła.

Nie tak jednak jak to, co znalazła w pamięci.

Wszystko to odkrył Derrick Phalen i zapisał, bym mógł to zobaczyć. A raczej usłyszeć. Nie było tam żadnych fotografii, żadnych wykradzionych tajnych dokumentów. Tylko plik dźwiękowy w formacie MP3. I mogę być sobie purystą z kolekcją płyt winylowych, ale to krótkie cyfrowe nagranie biło na głowę wszystko, czego kiedykolwiek słuchałem.

Dlaczego Derrick postanowił umieścić pluskwę w gabinecie swojego szefa? To smutne, ale nigdy się tego nie dowiem. Nigdy jednak nie zapomnę jego wyglądu tego dnia, gdy ujrzał Iana LaGrange'a idącego ku nam stojącym przed wejściem do windy w budynku OCTF.

„Jasny gwint!” – Prawie słyszałem głos Derricka. Jakby nie mógł w coś uwierzyć.

Wkrótce potem miał swój dymiący rewolwer – zapis rozmowy LaGrange'a z Davidem Sorrenem.

W zaślepieniu wywołanym przerostem ambicji politycznych Sorren postanowił wyprzeć się prawa, którego przysięgał bronić. Zbudował swoją reputację, zwalczając przestępczość zorganizowaną, ale w świecie cwanych adwokatów i luk prawnych uzyskiwanie wyroków skazujących na członków mafii nie było łatwe. Musiał istnieć jakiś lepszy sposób, prawda?

Takie w każdym razie myśli leży się w zwichrowanym umyśle Sorrena. Potrzebował wyników. Było mu wszystko jedno, jak je uzyska i

kto za to zapłaci. Bo wyniki oznaczały głosy. Dziś – ratusz. Jutro – biuro gubernatora. A pewnego dnia, kto wie, może Biały Dom.

Współczesny Machiavelli najgorszego rodzaju.

Tak więc Sorren zwerbował LaGrange'a i wszedł w ostatni sekretny układ. Razem stanęli po jednej ze stron w podziemnym świecie przestępczości zorganizowanej. Wsparli Josepha D'zoria i wrobili Eddiego Pinera po tym, jak został skazany za uprawianie lichwy.

Był tylko jeden problem. Ja.

Patrzyłem na siedzącego za biurkiem Sorrena, kiedy wsłuchiwał się w zapis przechowany w tym małym urządzeniu, za które umierali ludzie. Nagle jego twarz zrobiła się biała jak płytki sufitowe w gabinecie.

„– To mi się nie podoba – powiedział podenerwowany LaGrange. – Jeśli Daniels rozmawia z jednym z moich prokuratorów, musi coś wiedzieć.

– Za bardzo się przejmujesz, Ian – rzucił Sorren.

– Nie, przejmuję się tyle, ile trzeba. Ty też powinieneś. On już się domyśla, że jego pobyt w Lombardo's to było coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Możemy się tym zająć.

– Jak? – zapytał LaGrange.

– Zostaw to mnie, Ian. Porozmawiam z kierownikiem Lombardo's, wymaże nazwisko Marcozzy ze spisu rezerwacji na ten czwartek, wszystko załatwi. Po prostu uznaj, że to już nastąpiło”.

Nagranie było dużo dłuższe, ale Sorren dość już usłyszał. Złapał magnetofon i wstrzymał odtwarzanie. Potem wybuchnął głośnym, wariackim śmiechem.

– Nie wysłuchałeś wszystkiego – oznajmiłem.

– Nie muszę. Byłem tam. Wiem, co powiedziałem. Ale nikt więcej się nie dowie. Powiedzieć ci dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Powiedz.

– Powinieneś być pójść do szkoły prawniczej. – Pokręcił głową. – To zostało uzyskane nielegalnie. Nie zostanie dopuszczone.

Jezu, kręcił piruety, przeciskając się przez własną lukę prawną. Na to wyglądało.

Ale teraz przyszła moja kolej, aby pokręcić głową.

– Jak mogłeś to zrobić, Davidzie?

– Co zrobić? – spytał.

– Wyjaśnij mi przynajmniej jedną rzecz. Dlaczego zabiłeś LaGrange'a?

– Ponieważ próbowałem zabić ciebie. Ocaliłem ci życie. Jak szybko zapominaamy.

– Myślisz, że jestem głupi? – zapytałem.

– A myślisz, że ja jestem?

– Nie, myślę, że gdzieś po drodze całkowicie zapomniałeś, na czym polega różnica między dobrem a złem, Sorren. Zrobiłeś się skrajnie cyniczny, a ja znam się na takich ludziach, wierz mi. Może i chciałeś czegoś wspaniałego dla miasta. Ale bez wątplenia jeszcze więcej chciałeś dla siebie.

– Więc teraz jesteś psychologiem?

– Nie, nadal jestem dziennikarzem. Całkiem przyzwoitym, jak sędzę – odparłem. – Ale ty? Ty jesteś przestępcą.

Sorren zacisnął szczęki, pochylił się w fotelu. Widziałem żyły nabrzmiwające mu na karku, zupełnie jak wtedy, gdy go poznawałem. Narastał w nim gniew, nad którym próbowałem zapanować.

Nie był jednak w stanie.

– Pieprz się! – powiedział. – Jak mogłem to zrobić?! Co zrobić? Nakłonić jednego nędznego, śmierdzącego bossa mafijnego, żeby załatwił drugiego? Wszystkim w tym mieście oddawałem wielką przysługę. O jednego gównianego prawnika mafii mniej, o jedną przestępczą rodzinę mniej, o wiele mniej zbrodni na ulicach... Wszyscy zyskali, a dodatkowo zyskujemy na śmierci D'zoria.

Wycelował we mnie palec.

– Nie sprzedawaj mi więc tego świętoszkowatego kitu. Nie mogłeś tej sprawy zostawić w spokoju?! Doprowadziłeś do śmierci Dwayne'a Robinsona i Derricka Phalena. To ty! Ty to zrobiłeś! To wszystko przez

ciebie!

– I tu się mylisz – powiedziałem łagodnie i wskazałem rejestrator. Nadal znajdował się w jego dłoni. – Zawsze miałeś wybór. Po prostu uparłeś się, żeby dokonywać złych wyborów.

Sorren rzucił mi żalosne spojrzenie.

– Czy już ci nie powiedziałem? To, co tu jest nagrane, nie zostanie dopuszczone jako uzyskane niezgodnie z prawem. To się nigdy nie zdarzyło... tak jak ta rozmowa.

Uśmiechnąłem się.

– Och, to się dzieje, naprawdę. Ja tutaj jestem, ty tutaj jesteś. Zdecydowanie to się dzieje.

Z tymi słowami rozpiąłem dwa górne guziki koszuli, odsłaniając aparat podsłuchowy.

– Te włosy na piersi są okropne. Mam nadzieję, że nie będzie bardzo bolało przy odklejaniu taśmy – oznajmiłem. – A nawiasem mówiąc, wszystko zostało uzyskane zgodnie z prawem.

W mgnieniu oka drzwi gabinetu Sorrena stanęły otworem i do środka wszedł oddział agentów FBI z bronią. Pod którym dowództwem? Agenta Douga Kellera.

– Gratulacje, dupku – zwrócił się do Sorrena. – Właśnie ustanowiłeś nowy rekord. Przeprowadziłeś najkrótszą w historii kampanię przedwyborczą kandydata na burmistrza.

Epilog

Happy end bez entuzjazmu

Rozdział 108

Nigdy nie byłem wielkim entuzjastą szczęśliwych zakończeń. Nie żebym był totalnym pesymistą. Po prostu przekonałem się, że za wszystko, co jest warte zachodu, trzeba zapłacić pewną cenę. W tym przypadku bardzo wysoką. Czterej dobrzy gliniarze stracili życie, podobnie jak dzielny prokurator. Nie wiem, jak ci dziękować, Derricku Phalenie. Dokonałeś aktu najwyższego poświęcenia. Obiecałem twojej siostrze, że dopilnuję, byś nie umarł na próżno, i bez wątplenia na próżno nie umarłeś.

Teraz, na wzór Courtney, muszę to i owo zaszufadkować i znaleźć drogowskaz na dalszą drogę.

Weźmy choćby ten obiad w domu mojej siostry, zagubionym w lasach Connecticut.

– Na jaki stek macie ochotę? – zapytała Kate.

– Na talerzu, najlepiej już – zażartowałem. – Umieram z głodu, siostrzyczko.

– Urodziłeś się głodny.

– Nie zaczynaj z tym swoim „mama mnie zawsze najbardziej lubiła”.

– Wystarczy – wtrąciła Elizabeth. – Dorośnijcie wreszcie.

Zebraliśmy się w pięcioro na tylnym patio domu Kate.

Przyjechałem z miasta z Courtney i Dougiem Kellerem na niedzielne barbecue w towarzystwie mojej siostry i Elizabeth. Słońce świeciło, nastroje były wyśmienite.

Kate, która uparła się, żeby stać przy grillu, pomachała do mnie drewnianą łopatką.

– Jesteś okropnie zgryźliwy – powiedziała z uśmiechem.

– Oto słowo, którego wolałbym nie słyszeć przez jakiś czas – odparłem. – Zgryźliwy.

– Wypiję za to – oświadczył Keller. Stuknęliśmy się butelkami rolling rocka. Dobrze go było zobaczyć bez garnituru – i kabury – siedzącego w dzinsach na wiklinowej sofie.

W ciągu dnia, który nastąpił po aresztowaniu Sorrena, Keller zdołał odpowiedzieć na resztę moich pytań. Dlaczego Sorren zabił LaGrange'a? Czyż obaj nie chcieli mojej śmierci? Owszem, chcieli. Ale Sorren w pewnym momencie musiał chronić siebie. Do tego między innymi doszedł Keller.

LaGrange stał się ciężarem z chwilą, gdy odstąpił od planu gry Sorrena i sprzedał Brunona Torenziego, żeby napęłnić sobie kieszenie. Ale jego chciwość doprowadziła do śmierci Biełowa, co niechybnie oznaczało presję ze strony moskiewskiej braci sołncewskiej. Cofając się po śladach, Rosjanie dotarliby w końcu do LaGrange'a, a niewykluczone, że i do Sorrena.

Tak więc Sorren, sprytny jak zawsze, zmówił się z LaGrange'em, że pozbędą się mnie raz na zawsze. Pod pozorem odwiedzin Sorren przeprowadził rekonesans w moim szpitalnym pokoju, zwracając przy tym uwagę na strzegącego go policjanta. Miał tylko zbadać, czy LaGrange ma wolną drogę, ale naprawdę chciał go złapać w pułapkę.

Elizabeth rozparła się wygodnie w fotelu i pociągnęła łyk lemoniady. Następnie posłała mi szeroki, szczęśliwy uśmiech.

– Kiedy więc następny mecz Jankesów, wujku Nicku?

– Jak tylko wrócę – odrzekłem.

– Skąd?

– Och, nie powiedział ci, co? – odezwała się Courtney. – Twój wujek jedzie do Hollywood. Właśnie sprzedał prawa do sfilmowania swojego reportażu.

– Mogę wystąpić w tym filmie? – zapytała podekscytowana Elizabeth.

– Nie omieszkałam spytać – odparłem. W końcu załatwiłem rolę Tiffany, byłej hostessie z Lombardo's. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

– Jak długo tam zabawisz? – spytał Keller.

– Po zapoznaniu się ze studiem wybieram się na przejażdżkę.

O tym nikomu nie mówiłem, nawet Courtney.

– Na przejażdżkę? Dokąd? – zdziwiła się.

– Po Pacific Coast Highway, w wynajętym ferrari f50. Uwierzysz?

To zawsze było moim marzeniem. Zamierzam więc je zrealizować.

Kate zaczęła się łamać.

– No, no. Ty naprawdę jedziesz do Hollywood.

– Mogę ci towarzyszyć? – spytał Keller.

Kate odsunęła się od grilla i żartobliwie kuksnęła go w bok.

– Nie możesz! W przyszły weekend zabierasz mnie na wspaniałą randkę. Już zapomniałeś?

– Zawsze chciałem przejechać się wzdłuż wybrzeża takim samochodem – wyjaśniłem. – Nawiasem mówiąc, Courtney, czuj się zaproszona. I wiesz, co jeszcze? Po powrocie z Kalifornii biorę pierwszą lekcję gry na saksofonie.

– Rany, akurat wtedy, kiedy wydaje ci się, że kogoś znasz – zażartowała Courtney. – A przy okazji, czy po naszej wycieczce w ferrari pojawi się szansa na to, żebyś znalazł nieco czasu na, no wiesz, robienie tego, z czego żyjesz? Pisanie?

– Na to zawsze znajdę czas – zapewniłem ją. – Prawdę mówiąc, już naszkicowałem następny duży reportaż.

– Tak? Co to jest?

– Jeszcze nie mogę ci tego powiedzieć – odparłem z uśmiechem. – Ale to się zbliża. Czuję, że się zbliża. Wszyscy – unik!

I zrobili to. Wszyscy czworo.

– To wcale nie jest zabawne, wujku Nicku – powiedziała Elizabeth.

A potem się roześmiała.

Wszyscy się roześmialiśmy.